POWYBORCZE PORACHUNKI: CO DALEJ Z KOALICJĄ? NA CO LICZY PIS?

Grubopozytywni • Co jest dzisiaj luksusem • Fałszywa psychoterapeutka • Armia Trumpa

POLITYKA.PL

POLITYKA

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA PRZYZNANA

TYGODNIK, nr 24 (3518), 11.06–16.06.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 16.06.2025

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

RAPORT POLITYKI s. 24

Polska kibolska

Ze stadionów na salony

POLITYKA

Trzymajmy się razem

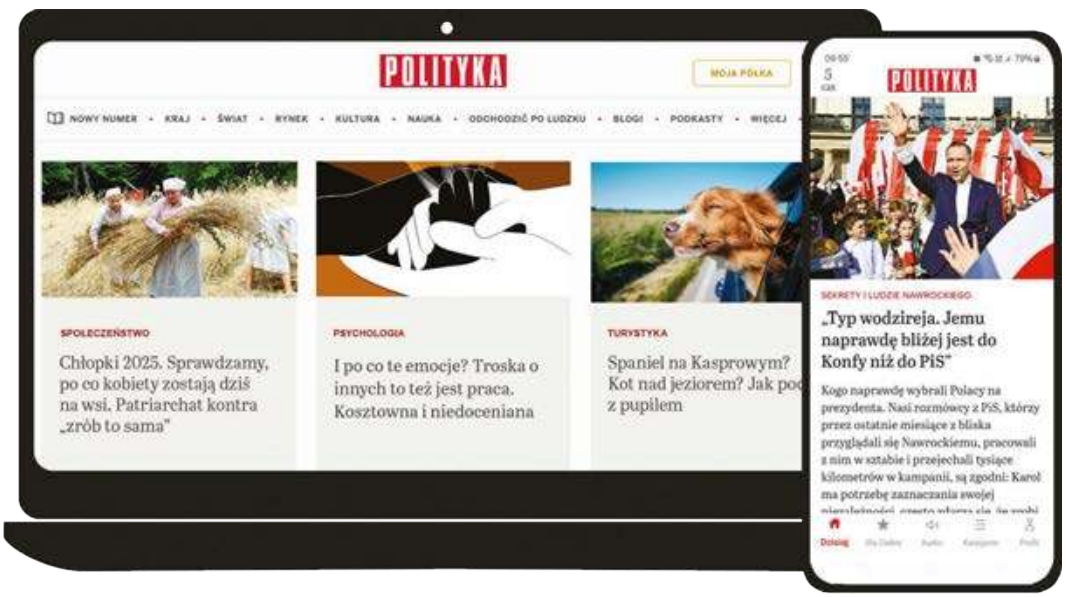

Subskrybuj za 4 zł / tydzień przez rok

lub zapłać z góry 199 zł za rok

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 54c79bd13b

12
PiS się cieszy

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

WYBORY 2025

12 Wojciech Szacki **PiS triumfuje i kalkuluje**
15 Rafał Kalukin **Gorzkie żale w koalicji**
18 Jakub Halcewicz, Michał Tomasik **Powyborcza trauma zwolenników Trzaskowskiego**
21 Prof. **Radosław Markowski** o prezydenckiej kampanii i tym, co teraz czeka obóz władzy

Społeczeństwo

24 Marcin Piątek **Dumni kibole**
28 Rozmowa z **Urszulą Chowaniec** i **Natalią Skoczylas** o dyskryminacji osób grubych, kulturze diety i skutkach presji na odchudzanie
32 Zbigniew Borek **Fałszywa psychoterapeutka**
34 Internetowa Pszczelara **Natalia Jakubus** o pasjonującym życiu pszczół
37 Paweł Walewski ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Dlaczego w Polsce pacjenci umierają w bólu?**

Rynek

40 Adam Grzeszak **Na bogato: czyli jak? – raport o polskim luksusie**
44 Violetta Krasnowska **Syndyk złodziejem**

Świat

48 Marek Świerczyński USA **Wojsko według Trumpa**
51 Rozmowa z **Serhijem Rachmaninem** o tym, co z wojną w Ukrainie zrobiły drony, i tym, czy postawa USA sprzyja Rosji
54 Łukasz Wójcik **Wkuwanie Koranu**
56 Prof. **Massimo Faggioli** o Leonie XIV i tym, co go łączy z Karolem Wojtyłą

Nauka/projektpulsar.pl

58 Andrzej Hołdys **Tajemnice piasków Półwyspu Arabskiego**
61 Agnieszka Krzemińska, Marta Alicja Trzeciak **Co daje upuszczanie krwi**
68 Agnieszka Krzemińska, Marta Alicja Trzeciak **Poławiaczki z Jeju**

Historia

70 Andrew Tompkins **Schengen: 40 lat po wielkim porozumieniu**
74 David van Reybrouck o tym, dlaczego Indonezja jest tak ważna dla historii globalnej i co ma z tym wspólnego gałka muszkatołowa

Kultura

82 Piotr Sarzyński **Nagroda Architektoniczna POLITYKI: poznajcie naszych laureatów!**
86 Bartek Chaciński **Muzyczny festiwal wspomnień lat 90.**
90 Rozmowa z **Pawłem Demirskim** o „Anieli", polityce i pracy na planie ponad podziałami
93 **Weronika Mliczewska** o „Dziecku z pyłu" i bolesnej wietnamsko-amerykańskiej historii
96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Torebkowy alarm** • **Kampanijne frazy** • **Kto komu ciśnie** • **Czarnogóra: kraj 15-minutowy** • **Wino z greckiej wyspy**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **26**, **27**, **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **78** Afisz • **97** Sulej • **98** Orliński
• **99** Chutnik i Plebanek
• **100** Mizerski • **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Kolejne wydanie POLITYKI dostępne już od wtorku 17 czerwca.
Prenumeratę POLITYKI możecie zamawiać do paczkomatów InPost.
Dostawa zawsze w środę, bez opłat za przesyłkę i niższa cena za egzemplarz niż w sklepie. Szczegóły na s. 73.

© ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

eprasa.pl 54c79bd13b

Policzone 1 czerwca

Jerzy Baczyński

Głosowanie nad wotum zaufania dla rządu było niezbędne politycznie, symbolicznie i emocjonalnie. Między euforią wygranych i traumą przegranych są jeszcze realia: koalicja 15 października ma nadal większość w Sejmie, ważny mandat jeszcze przez dwa i pół roku, no i – jak twierdzą jej liderzy – ma program i plan. Od 1 czerwca powtarzane jest wezwanie: nie biadolić, nie szukać winnych; bierzemy się do pracy i idziemy po zwycięstwo w 2027 r. Tylko że to tak nie działa. Wśród wyborców Trzaskowskiego wciąż panuje frustracja, jest złość, często poczucie wstydu, że prezydentem Rzeczypospolitej został „jakiś mroczny typ", związany z agresywną subkulturą „Polski kibolskiej". Jest też masa pretensji – może nie tyle do samego Rafała Trzaskowskiego, któremu raczej się współczuje, co do jego sztabu, a zwłaszcza do rządu i, chyba po raz pierwszy, do samego premiera Tuska.

Wiadomo, że to Tusk, praktycznie jednoosobowo, ponosi odpowiedzialność za stan koalicji i rządu. I jeśli po 20 miesiącach od wielkiego wyborczego triumfu poparcie dla rządu spada do 32 proc., a przedstawiciel koalicji i pewny, zdawałoby się, faworyt wyborów przegrywa „jak Komorowski z Dudą", to jednak jest to „wina Tuska". Zresztą dla premiera to także musiał być szok i upokorzenie, pewnie porównywalne tylko z jego własną prezydencką przegraną z Lechem Kaczyńskim w 2005 r. Wtedy wyciągnął wnioski z porażki i dwa lata później jego Platforma pokonała PiS, zdobywając 45 proc. mandatów. Dziś, mimo namiętnych personalnych spekulacji, KO i koalicja nadal nie mają innego, lepszego lidera niż Tusk. Pytanie tylko, czy on sam, zapowiadając głęboką rekonstrukcję gabinetu, jest zdolny do „autorekonstrukcji", bo wersja Tusk 2.0 nie była udana.

Dla sprawiedliwości trzeba przypominać, w jak trudnych warunkach i z jakim opóźnieniem startował gabinet Tuska, jak ciężko było prowadzić koalicję złożoną z 9–10 różnych środowisk politycznych, jak utrudniał rządzenie prezydent Andrzej Duda, jak rozpraszały i skłócały kolejne kampanie wyborcze. A jeszcze wojna w Ukrainie; jeszcze chaos wywołany szaloną prezydenturą Donalda Trumpa.

Jednak to nie tłumaczy wszystkich zaniechań. Donald Tusk jest najwybitniejszym (obok Kaczyńskiego, niestety) polskim politykiem i trudno go pouczać, zwłaszcza nie znając wszystkich zakulisowych okoliczności. Ale na tych łamach wielokrotnie wyrażaliśmy zdziwienie pewnymi praktykami. Po pierwsze, niepotrzebnym lekceważeniem koalicjantów. Dlaczego nie powstała, teraz znów się to proponuje – stała Rada Koalicji? Na logikę szefowie ugrupowań rządowych powinni regularnie i często się spotykać, pokazywać publicznie, uzgadniać plany, projekty ustaw, rewidować priorytety, rozstrzygać konflikty. Bez „braci mniejszych" nie ma tej koalicji.

Po wtóre, katastrofalna była od początku komunikacja rządu z opinią publiczną. Donald Tusk uparcie twierdził, że to on jest rzecznikiem rządu, ale takiego rzecznika premier powinien natychmiast zdymisjonować. Dopiero po przegranych wyborach zaczęto wyliczać sukcesy koalicji (130 uchwalonych ustaw, najwyższe w Europie tempo wzrostu gospodarki i płac, liczne programy socjalne, inwestycje itd.). Musztarda po obiedzie. Swoje drugie exposé premier też powinien był wygłosić raczej przed wyborami niż po nich. Ale Donald Tusk przez półtora roku izolował się, często wyjeżdżał, nie udzielał medialnych wywiadów, wrzucając jedynie krótkie złośliwe komentarze na X. Gorzej: szef rządu prawie nie pokazywał się, nie konsultował z ważnymi dla państwa – i często szykanowanymi za czasów PiS – środowiskami: prawnikami (chyba tylko raz), ludźmi kultury (chyba nigdy), wydawcami (raz), przedsiębiorcami (raz), nauczycielami, naukowcami, medykami, aktywistami itd. Po rządach PiS, uprawiających bezwstydny klientelizm i propagandę od rana do wieczora, to mogła być naturalna reakcja powściągliwości, ale wahadło cofnęło się za daleko i tam zastygło. „Demokracja walcząca" okazała się pustym sloganem.

W rozliczeniach po porażce Trzaskowskiego pada mnóstwo krytycznych uwag dotyczących samej jego kampanii: że anachroniczna, przegrana w internecie, że nie udało się zmienić elitarnego i „prymusowskiego" wizerunku kandydata, że za bardzo kojarzono go z nielubianą stolicą i nielubianym Tuskiem, że kampanię za bardzo przesunięto w prawo i na wschód itd. Ale najcięższy zarzut dotyczy nie samego Trzaskowskiego, lecz braku treści kampanii, tego, że rząd nie zdołał wrzucić na biurko Dudy pakietu ustaw, które mógłby podpisać tylko nowy prezydent. Zemściło się kunktatorstwo, przekonanie, że Trzaskowski na pewno dowiezie przewagę i wtedy naprawdę rozpoczniemy kadencję; będą dwa lata na dogadywanie się koalicjantów, spokojne głosowania. Błędem było też przyjęcie tezy, że kampania prezydencka zostanie zdominowana przez temat bezpieczeństwa. Raczej przeciwnie: groźba wojny straszyła wyborców, zwłaszcza młodych, którzy chętnie przyjmowali narrację, że Ukraina to nie nasza sprawa. Sukcesy polityki zagranicznej okazały się niczym wobec braku polityki mieszkaniowej i w ogóle pozytywnego przekazu dla młodych pokoleń.

Nie da się zaklinać rzeczywistości: 1 czerwca stało się fatalnie. Być może na dekadę straciliśmy szansę przywrócenia praworządności, rozliczenia nadużyć PiS, naprawy sądownictwa, prokuratury, mediów publicznych, wprowadzenia związków partnerskich, liberalizacji przepisów aborcyjnych. Grozi nam populistyczna licytacja w gospodarce. Przecież kandydat Nawrocki obiecywał zniesienie PIT dla rodzin z dwojgiem dzieci czy ustawę obniżającą ceny energii o jedną trzecią – i takie kuriozalne projekty będą zgłaszane, na co rząd zapewne odpowie własnymi obietnicami wydatków. Polskę czeka instytucjonalna dwuwładza, ustawowy paraliż, sabotaż ze strony znacznej części administracji, spadek znaczenia w Europie. Zagraniczne komentarze po wyborach są głównie takie, że Nawrocki to bardzo zła wiadomość dla Unii, dla Ukrainy, a przede wszystkim dla Polski, która zafundowała sobie wiele lat chaosu i kryzysu. Czy coś da się tu jeszcze ponaprawiać? Jeśli koalicja się ogarnie i poskłada, premier zacznie rozmawiać z sojusznikami i wyborcami, jeśli powstaną sensowne programy i projekty, które Nawrocki i PiS będą blokować – jest szansa na wyborczy rewanż w 2027 roku za 2025. Tylko szansa.

Jako gazeta przeżywamy razem z Państwem gorycz przegranej. Bardzo niepokoimy się o przyszłość. Ale cóż, będziemy robić swoje – opisywać świat, starać się zrozumieć nasze dziwne czasy, patrzeć krytycznie na poczynania władzy, której częścią jest teraz także nowy prezydent. Polityka (niestety) znów stanie się emocjonująca. Nie ma jednak powodów do paniki, wewnętrznej emigracji, rezygnacji z wizji Polski demokratycznej, europejskiej, solidarnej. Jest nas – policzone 1 czerwca – ponad 10 milionów. A to, co się zdarzyło, to jeszcze nie katastrofa, tylko porażka. I nauczka.

eprasa.pl 54c79bd13b

Relaks na Mauritiusie

Plaże z palmami i białym piaskiem, relaks i wyśmienita kuchnia pośrodku Oceanu Indyjskiego. Tydzień pobytu w hotelu z pełnym wyżywieniem i opieką polskiego pilota.

Mauritius to rajska wyspa na Oceanie Indyjskim, idealna na wypoczynek. Otoczona rafą koralową, oferuje piękne plaże, bezpieczne kąpiele oraz doskonałe warunki do snorkelingu i nurkowania. Wulkaniczne pochodzenie wyspy zapewnia malownicze krajobrazy z polami trzciny cukrowej, plantacjami herbaty i tropikalną roślinnością. Podczas pobytu oferujemy 3 wycieczki fakultatywne: rejs katamaranem na spotkanie delfinów, plantacja herbaty i wanilii oraz Portu Luis i ogród botaniczny.

Pełne wyżywienie

NOWOŚĆ

10 dni
Wyloty z Warszawy
19/01, 30/01 2026

od **8.998,-**

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, czas wolny i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2025 | 5.698,-

Mongolia – Szlakiem Czyngis-chana

Odwiedź Mongolię – kraj położony pośród dzikich stepów i dziewiczej przyrody, zamieszkały przez nomadów, których styl życia nie zmienił się od setek lat.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta i Historycznego Muzeum Narodowego oraz placu Niepodległości. **Dz. 3** Ułan Bator. Klasztor Gandan i pałac Bogd-chana. **Dz. 4** Ułan Bator – Park Narodowy Terelj. Park Narodowy Terelj i gigantyczna statua Czyngis-chana. **Dz. 5** Park Narodowy Terelj – Elsen Tasarkhai. Zakwaterowanie w bazie kempingowej i czas wolny. **Dz. 6** Elsen Tasarkhai – Karakorum. Stolica Czyngis-chana i klasztor Erdenne Zuu. **Dz. 7** Karakorum – Park Narodowy Chustajn Nurru. Dzikie konie Przewalskiego. **Dz. 8** Ułan Bator. Czas wolny, koncert muzyki folkowej i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Wylot do Warszawy.

9 dni | Wylot z Warszawy 25/08 2025 | 10.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL22**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 54c79bd13b

Kadra bez Lewego

Robert Lewandowski zrezygnował z gry w reprezentacji Polski. Konflikt od kilku dni wisiał w powietrzu. Zaczęło się od tego, że napastnik Barcelony odmówił przyjazdu na zgrupowanie kadry oraz udziału w meczu eliminacji do przyszłorocznego mundialu – z Finlandią – tłumacząc się zmęczeniem po klubowym sezonie. W odwecie selekcjoner **Michał Probierz** zabrał mu kapitańską opaskę. A Lewy oznajmił mniej więcej: Bawcie się beze mnie, powrotu nie wykluczam, ale nie z Probierzem u steru.

Lewandowski w reprezentacji zagrał do tej pory 158 razy i zdobył 85 goli; w obu przypadkach to polskie futbolowe rekordy, z innej planety. Jego skuteczność pomagała w awansach na mistrzowskie turnieje, ale tam, podobnie jak i reprezentacja, rozczarowywał – poza Euro 2016 we Francji, gdy drużyna Adama Nawałki dotarła do ćwierćfinału. W Barcelonie po 37-letnim Lewandowskim nie widać wieku – zdobywając 27 goli, przyczynił się do odzyskania przez Barcę mistrzostwa Hiszpanii, choć pauzował w końcówce sezonu z powodu kontuzji – ale w reprezentacji stracił skuteczność. Trudno się dziwić, bo w Barcelonie ma wokół siebie artystów, a w kadrze musi współpracować z futbolowymi kowalami, dla których szybka i kombinacyjna gra to czarna magia. Męczą się z rywalami pokroju Malty albo Mołdawii, a gdy niedawno Lewy wygarnął im ponoć w szatni, że grają poniżej krytyki, to się na niego obrazili.

Michał Probierz jako selekcjoner jest osobistą „decyzją prezesa" PZPN Cezarego Kuleszy. Prowadzi kadrę od niemal dwóch lat i miota się nie tylko podczas meczów przy linii bocznej, ale również, jeśli chodzi o pomysły, jak i kim grać. Sprawdził ponad 50 zawodników, niejedno swoje rzekome „odkrycie" porzucał bez uzasadnienia; dopatrywanie się w grze reprezentacji Probierza taktycznej myśli przewodniej to daremny trud. Lewandowski, widząc to od środka, najpierw się złościł, potem drwił, w końcu uznał, że nie ma ochoty tego bałaganu firmować. Schodząc z pokładu, wygląda, jakby „strzelał focha", ale w całej tej aferze problem jest głębszy: najlepsze od lat pokolenie polskich piłkarzy, na czele z Lewandowskim, nie wyciągnęło narodowej drużyny z peryferii futbolu. Świat odjeżdża nam coraz szybciej, a tymczasem Kulesza z Probierzem malują trawę na zielono. (MP)

I tylko koni żal

Sprawa męczenia koni na trasie do Morskiego Oka nie ma końca. Fundacja Viva! mówi jednak „dość" i zrywa współpracę z Tatrzańskim Parkiem Narodowym oraz z Ministerstwem Klimatu i Środowiska. „Oszukali nie tylko nas, ale i całe społeczeństwo, podjęli decyzję za naszymi plecami" – zżymają się aktywiści. Ministerstwo, mimo przedwyborczych obietnic koalicji z kampanii 2023 r., wyeliminowało stronę społeczną z rozmów o przyszłości transportu konnego do Morskiego Oka.

– *Wykluczenie trzeciego sektora jest niezgodne z umową koalicyjną podpisaną przez wszystkie obecnie rządzące partie* – zwraca uwagę Anna Plaszczyk z Fundacji Viva!. Zapisano tam: „Strony Koalicji dostrzegają wielki potencjał i zaangażowanie w procesy społeczne organizacji pozarządowych. Organizacje Trzeciego Sektora nie mogą być pomijane i marginalizowane". Tymczasem, decydując o przyszłości transportu konnego na trasie do Morskiego Oka, pominięto udział strony społecznej.

Chodzi o kompromis, który dwa miesiące temu wypracowali między sobą ministra Paulina Hennig-Kloska i dyrektor TPN Szymon Ziobrowski: ustalono, że konie zostają na trasie – choć w ub.r. ministerstwo zapowiadało likwidację tej formy transportu. Zignorowano tym samym 104 organizacje społeczne, które razem z Vivą! żądają likwidacji transportu konnego na tej trasie. Konie dalej będą ciągnąć wozy z turystami od Palenicy Białczańskiej do Wodogrzmotów Mickiewicza i dopiero tam turyści będą się mogli przesiąść do elektrycznych busów. – *To najgorsze rozwiązanie, bo nie daje ludziom wyboru, tylko spina transport konny z elektrycznym, na który jest jeden łączony bilet* – mówi Plaszczyk. – *Busy parku narodowego, tak szumnie reklamowane jako sukces ministerstwa, nie będą więc alternatywą, ale częścią systemu wykorzystywania zwierząt.*

W dodatku będą kursować tylko od kwietnia do października, bo nie poradzą sobie zimą na stromej górskiej drodze. Konie muszą, więc zimą będą pokonywały całą trasę.

Ministra i TPN nie dotrzymali ustaleń sprzed roku. Do komisji badającej konie miał dołączyć kolejny, niezależny lekarz weterynarii i przeprowadzić indywidualne badania ortopedyczne koni. – TPN się nie zgadza, za drogo – mówi Anna Plaszczyk. – Szokujące, bo Park zarabia na tym transporcie ok. 1 mln zł z opłat licencyjnych fiakrów.

Nie dziwi, że Fundacja Viva! postanowiła dłużej nie firmować tej fikcji. (AS)

© RONNY HARTMANN/AFP/EAST NEWS, WOJCIECH MATUSIK/ FORUM, JULIAN FINNEY/GETTY IMAGES, PAFW

eprasa.pl 54c79bd13b

Iga nie wygrywa, ale...

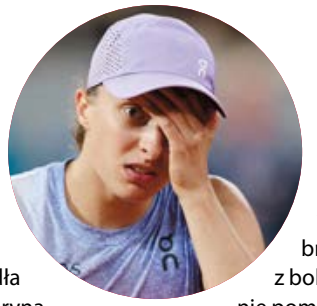

Nie udało się Polce obronić tytułu w Paryżu. Wielkoszlemowy turniej Rolanda Garrosa wygrywała czterokrotnie, tym razem odpadła w półfinale. Zacięty bój stoczyła z liderką rankingu Aryną Sabalenką. Jedna z brytyjskich komentatorek stwierdziła na żywo, że „to jakiś heavy metal tennis". Fakt, w pierwszych dwóch setach zawodniczki uderzały tak potężnie, że raz Idze Świątek wypadła rakieta, innym razem Sabalenka wywróciła się na korcie. Na tym etapie było widowisko i sprawiedliwy remis w efekcie. Na trzeciego seta Polka niestety „nie dojechała", uciekła błyskawicznie, przegrała 0:6. I to był koniec marzeń o pucharze. Białorusinka nie utrzymała nerwów na wodzy i przegrała w finale z Amerykanką Coco Gauff. Znów, jak na Australian Open, musi zadowolić się talerzem. Zawiedziona podczas konferencji prasowej wywołała małą aferę, stwierdzając, że Iga Świątek z tak dysponowaną Coco pewnie by wygrała.

Polka na razie jednak nie wygrywa. Trener „Wim jak Wimbledon" Fissette chciał się skupić na trawie, bo na tej nawierzchni Iga radzi sobie najsłabiej, ale trzeba chyba się cofnąć i zresetować do „ustawień fabrycznych". Rzucane przez psycholożkę Darię Abramowicz z boksu zagrzewające hasło „następna piłka!" też niespecjalnie pomaga. Sabalenka zatrudniła biomechanika, żeby dopracować serwis, i zrobiła kolosalne postępy – ten element gry Świątek też mogłaby poprawić. W rankingu zajmuje teraz siódme miejsce, ale w tym roku nie ma już wielu punktów do obrony (trzecia runda Wimbledonu, półfinał Cincinnati, ćwierćfinał US Open). W związku z aferą „dopingową" ominęły ją duże turnieje w Azji jesienią 2024 r.

Nadal są przebłyski, kiedy gra jak mistrzyni. Z pięcioma tytułami wielkoszlemowymi i brązowym medalem olimpijskim Iga Świątek już się zapisała w historii dyscypliny i jest dziś bez wątpienia najlepszą polską sportsmenką. Co wypada, a może i trzeba przypominać, gdy kibice odsądzają ją od czci i wiary za każdą porażkę. Kopanie leżącego bywa niestety naszym sportem narodowym. (AŻ)

Żelazny kapitał

Te liczby robią wrażenie: aż 285 mln dol. na działalność programową oraz 293 mln dol. pozyskanych z zewnątrz do programów, 35 tys. stypendiów, 45 tys. projektów edukacyjnych, 22 tys. projektów lokalnych, 1234 projekty z partnerami ze Wschodu. Do tego: 16 tys. zaangażowanych szkół, 200 tys. nauczycieli,16 tys. studentów wolontariuszy, 35 tys. uczestników szkoleń dla NGO-sów. A wszystko raptem w 25 lat. Tyle bowiem istnieje Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności, która w ub. tygodniu świętowała swój jubileusz. Fundacja działa na rzecz wyrównywania szans edukacyjnych oraz wspierania lokalnej energii obywatelskiej.

Historia Fundacji to nie tylko wielkie liczby, ale i nazwiska. Tu jednak trzeba wrócić nie do początku lat 2000, ale do 1989 r. i historycznego przemówienia George'a H.W. Busha wygłoszonego w polskim Sejmie. To wówczas prezydent USA zapowiedział pomoc dla Polski, której efektem było powołanie Polsko-Amerykańskiego Funduszu Przedsiębiorczości, promującego rozwój gospodarki rynkowej w naszym kraju. Fundusz w 2000 r. przekształcił się w Fundację hojnie wyposażoną w żelazny kapitał. Dzięki jej zaangażowaniu przez ostatnie lata do polskich organizacji społecznych popłynęły setki milionów dolarów (warto nadmienić, że bezpośrednią realizację swoich programów Fundacja powierza doświadczonym polskim organizacjom pozarządowym).

Na czele zarządu Fundacji od ćwierć wieku stoi **Jerzy Koźmiński**, były ambasador RP w Waszyngtonie (1994–2000), współautor polskiej transformacji gospodarczej i naszej akcesji do NATO. Jak widać, partnerstwo polsko-amerykańskie jest trwalsze niż polityczna koniunktura. (MD)

REKLAMA

Unia Europejska wspiera strategiczną dla Polski infrastrukturę badawczą.

Trwa nabór wniosków o dofinansowanie projektów instytucji sieciowych składających się z organizacji badawczych.

opi.org.pl/feng

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki

Działanie 2.4 Badawcza Infrastruktura Nowoczesnej Gospodarki

Budżet konkursu wynosi 350 mln złotych.

Wnioski można składać do 27 czerwca 2025 r.

Wspieramy rozwój infrastruktury badawczej o kluczowym znaczeniu dla polskiej gospodarki, a także rozwój kompetencji kadry naukowej w obszarze wykorzystania tej infrastruktury, komercjalizacji, transferu technologii i zarządzania innowacjami.

Nabór prowadzi Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy.

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską

eprasa.pl 54c79bd13b

TYDZIEŃ W POLITYCE

Działanie, nie gadanie

Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka.

„Żadnych złudzeń, panowie, żadnych złudzeń!" – frazę, którą car Aleksander II usadził wnoszącą o większą autonomię delegację polskiej szlachty, powinni sobie stale powtarzać liderzy koalicji 15 października. Ze strony Karola Nawrockiego nie będzie „pozytywnego zaskoczenia", którego premier nie wykluczył w telewizyjnym orędziu, nie będzie pokoju, będzie wojna na wyniszczenie rządu Donalda Tuska. Trzeba byłoby zatem zastosować w odpowiedzi wariant wojskowy – rozkaz i dyscyplinę, zewrzeć szyki, podciągnąć tabory, zakończyć waśnie wewnętrzne. Na razie jednak nic nie wskazuje na to, by obecna władza, skoncentrowana na żenujących potyczkach słownych w mediach społecznościowych, była do tego zdolna. Za słowotokami Szymona Hołowni nie stoi żaden plan, za hasłami typu „ofensywa" czy „rewitalizacja" nie kryje się żaden pomysł, a mające podnosić na duchu wyborców KO wystąpienie Rafała Trzaskowskiego miało za dużo fałszywych nut. Bo tak, można „mobilizować rząd do działania", pytanie tylko, czy ta koalicja będzie zdolna – skoro do tej pory nie była – uchwalić ważne dla wszystkich projekty na poziomie parlamentu i dać je zawetować prezydentowi Nawrockiemu. Przypuszczam, że wątpię.

Dotychczasowa strategia bezczynności plus aroganckie odliczanie dni do końca kadencji Dudy zemściły się okrutnie przy urnach. Teraz z kolei najgorsze byłoby – jak to ujmował Witkacy – „oczekiwanie jakichś szczęśliwych okoliczności, które wszystko zmienić mogą". Można, rzecz jasna, liczyć na to, że Kaczyński odejdzie na emeryturę i PiS się rozpadnie, że konfederaci się między sobą pokłócą, że rywalizacja obu prawicowych ugrupowań je zużyje, że Nawrocki będzie w swoim dziele niszczenia rządu nieporadny, że wahadło społecznych nastrojów odchyli się w drugą stronę, i tak dalej. Nie, tym razem albo koalicja sama wyciągnie się za włosy z bagna, albo – buksująca za sprawą kolejnych wet i tracąca wizerunkowo na odrzucaniu socjalnych i rujnujących budżet inicjatyw Nawrockiego – będzie się tak osuwać w sondażach, aż Kaczyńskiemu z Bosakiem zamajaczy na horyzoncie upragniona większość konstytucyjna.

Czasu nie ma dużo. Dwa lata, wbrew temu, co się niektórym wydaje, zlecą szybko – od wiosny 2027 r. będzie się już toczyć w Polsce kampania parlamentarna. Tymczasem słyszę w kuluarach, że na cynizm i pragmatyzm brakuje determinacji, że każdy z partnerów broni stanu posiadania w rządzie, i że do tej pory liderzy nie zbudowali między sobą takich relacji, które teraz pozwoliłyby im ruszyć z marszu do przodu. Jeśli głosowanie nad wnioskiem o wotum zaufania będzie jedynie spektaklem, a rekonstrukcja przekształci się w niekończący się serial, to w nowy sezon, jesienią, koalicja wejdzie słaba i nierokująca. A wtedy – ratuj się, kto może! Każdy z podmiotów będzie ciągnął w tę stronę, gdzie, jak mu się będzie wydawać, jest szansa na zbudowanie poparcia, choćby i kosztem wszystkich pozostałych, a nawet po trupie koalicji. To najgorszy możliwy scenariusz. Niestety, ale po pierwszym powyborczym tygodniu wydaje się, że także najbardziej prawdopodobny.

Braun chce się budować

W prezydenckim wyścigu **Grzegorz Braun** zdobył 6,3 proc. i nieco ponad 1,2 mln głosów. Wynik chce powtórzyć w wyborach parlamentarnych w 2027 r., kiedy ze swoją partią wystartuje już nie z list koalicyjnej Konfederacji, z którą rozstał się na początku roku, lecz samodzielnie, pod szyldem monarchistycznej Korony Polskiej.

Widać, że Braun nie próżnuje. Krótko po drugiej turze wyborów uczynił kolejny krok, który ma mu pomóc się pobudować. Dotychczas w Sejmie mógł się pochwalić ledwie dwuosobową reprezentacją, która po rozłące z Konfederacją wpadła do worka „posłów niezrzeszonych". 4 czerwca koroniarzom z pomocą przyszedł poseł PiS **Sławomir Zawiślak**, ogłaszając, że wstępuje w szeregi partii Brauna, umożliwiając jej tym samym powołanie koła poselskiego. To oczywiście rzecz symboliczna, wszak politycy spod znaku Korony Polskiej dalej na Wiejskiej będą prawie niedostrzegalni. Ale koło poselskie to dodatkowe pomieszczenie do pracy, przywileje na mównicy czy – od niedawna – dostęp do posiedzeń Konwentu Seniorów. Na prośbę partii Razem, również zrzeszonej w kole, marszałek Hołownia, zdecydował bowiem o zaproszeniu przedstawicieli

mniejszych ciał sejmowych na spotkania marszałków i szefów klubów.

Na koniec o pośle Zawiślaku: lat 62, z czego 20 w Sejmie, od urodzenia związany z ziemią zamojską. W PiS od kilku lat był jednak na wylocie: nie głosował w sprawie słynnej „piątki dla zwierząt", sprzeciwiał się obostrzeniom wprowadzanym przez rząd Morawieckiego w pandemii. Swoją krnąbrność przypłacił degradacją na wyborczej liście PiS w 2023 r., kiedy w macierzystym okręgu chełmskim wylądował dopiero na 11. miejscu. Nie przeszkodziło mu to wziąć mandatu już po raz szósty, choć – jak słyszymy w kuluarach – krótko po wyborach zaczął szukać sobie miejsca gdzie indziej.

Najpierw zapukał do Konfederacji, która szybko mu podziękowała. – *20 lat w Sejmie w ławach PiS, średnio pasuje do świeżej antysystemowej siły* – słyszymy od jednego z jej posłów. Teraz okazja przyszła sama, w dodatku z obopólną korzyścią. Zawiślak w kolejnych wyborach z pewnością otworzy jedną z list Korony, z kolei Braun przez dwa lata będzie miał swój szyld w parlamencie. W całej tej historii jest jeszcze wątek przekazania poparcia lidera Korony dla kandydata PiS kilka dni przed 1 czerwca. Czy doszło do wymiany poparcia za posła? Tego nikt oficjalnie nie przyzna, choć byli koledzy Brauna z Konfederacji, z którymi rozmawialiśmy, i tego scenariusza nie wykluczają. (MPIED)

© MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 54c79bd13b

BNP PARIBAS

Bank
zmieniającego się
świata

JESTEŚMY CZĘŚCIĄ GRUPY BANKOWEJ NR 1 W UNII EUROPEJSKIEJ

WSPIERAMY PRZEDSIĘBIORSTWA I KORPORACJE W ROZWOJU, ŁĄCZĄC GLOBALNE DOŚWIADCZENIE ZE ZNAJOMOŚCIĄ POLSKIEGO RYNKU

nr 1

bnpparibas.pl

Grupa bankowa BNP Paribas nr 1 w UE na podstawie globalnej wielkości sumy bilansowej dla grup bankowych, z siedzibą główną na terenie Unii Europejskiej – wg raportów rocznych za 2024 r. opublikowanych na stronach internetowych tych grup na 31.12.2024 r. BNP Paribas Bank Polska Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie przy ul. Kasprzaka 2, 01-211 Warszawa, zarejestrowany w rejestrze przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego przez Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, pod nr. KRS 0000011571, posiadający NIP 526-10-08-546 oraz kapitał zakładowy w wysokości 147 880 491 zł, w całości wpłacony.

eprasa.pl 54c79bd1ob

Pęka milion

Józef Stalin miał kiedyś powiedzieć, że jedna śmierć to tragedia, ale milion zabitych to statystyka. Władimir Putin ma dla Stalina osobisty podziw i nie kryje tęsknoty do jego stylu rządów. Choć nie dorównał mu wciąż pod względem liczby ofiar swojego reżimu, to bardzo konsekwentnie zmierza od tragedii do statystyki. W czerwcu najprawdopodobniej padnie wśród żołnierzy Federacji Rosyjskiej milionowa ofiara rozpętanej przez niego wojny przeciw Ukrainie. Wskazują na to liczby – czasem kwestionowane, bo podawane przez kijowski sztab generalny – i trendy, wyraźne też dla sceptyków.

Codziennie **tysiąc i więcej rosyjskich żołnierzy** traci życie, odnosi rany lub zostaje uznanych za zaginionych. Brytyjski „The Economist", który przeanalizował dane z różnych źródeł, pisze: „Szacunkowa liczba nadwyżkowych zgonów wśród rosyjskich mężczyzn, oparta na dokumentach spadkowych, wyniosła 165 tys. do końca 2024 r., przy czym 90 tys. zostało dodanych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Biorąc pod uwagę intensywność rosyjskich działań przez większą część ostatniego roku, nie byłoby trudno osiągnąć liczbę ok. 250 tys. zabitych do tej pory". Tygodnik ocenia, że stosunek zabitych do ciężko rannych i zaginionych jest jak jeden do czterech. Szacowanie strat po ukraińskiej stronie utrudnia wojenna cenzura. W 2024 r. prezydent Wołodymyr Zełenski mówił o 45 tys. zabitych. Waszyngtoński CSIS w ubiegłym tygodniu wyliczał 60–100 tys. poległych, co może dawać ogółem 400 tys. ofiar.

W minioną niedzielę globalne straty przeciwnika według ukraińskiego sztabu miały jeszcze sześć cyfr, ale do miliona brakowało mniej niż 4 tys. Jeśli trend rosyjskich strat się utrzyma, w połowie bieżącego tygodnia pęknie milion. Sprzyja temu nasilenie rosyjskich natarć w obwodach charkowskim i sumskim, określane jako letnia ofensywa. Od końca maja Rosjanie zbliżyli się do Sum na 20 km od pozycji na niedalekiej granicy (w lutym 2022 r. obeszli miasto, a po udanej kontrofensywie Ukrainy cofnęli się do Rosji). Ataki idą też z obwodu biełgorodzkiego w kierunku Charkowa, ale nie ma mowy o przełomie.

Ukraińska obrona działa. Agresorzy najpierw stają naprzeciw „ściany dronów", a jeśli jakimś cudem ją przebiją lub oszukają – czekają artyleria i lotnictwo, aktywniejsze niż kiedykolwiek. W miniony weekend ukraińskiemu F-16 udało się po raz pierwszy zestrzelić nowoczesny rosyjski myśliwiec Su-35. Straty w lotnictwie strategicznym po operacji Pajęczyna Moskwa będzie odbudowywać latami, o ile w ogóle jej się uda. Cios w bombowce sprawił, że w odwetowych nalotach Rosja używa największych, najrzadszych i najdroższych maszyn Tu-160, bo kończą się bardziej dostępne Tu-95 i Tu-22M3. Na wszelki wypadek przesunęła jednak dwa Białe Łabędzie aż na Czukotkę. Kto wie, gdzie znowu ukąszą ukraińskie pająki.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Zaręczynowa dymisja

Wybranka syna premiera Mongolii **Luvsannamsraina Oyun-Erdene** nieopatrznie wrzuciła do sieci zdjęcia z hucznych zaręczyn. A miała się czym pochwalić: helikopter, wypasiony pierścionek i Mercedes wśród licznych prezentów. Z tego powodu wybuchły w Ułan Bator gwałtowne protesty, młodzi uczestnicy żądali, żeby szef rządu wskazał źródło dochodów, które pozwalają na takie ekstrawagancje. Ten najpierw kluczył, a po dwóch tygodniach wystąpił o wotum zaufania i sromotnie przegrał głosowanie. Wyglądało to jak pucz.

Protesty z tłem antykorupcyjnym to w Mongolii codzienność, bo nastroje społeczne, zwłaszcza wśród młodych, są podłe: rosnące koszty utrzymania, inflacja, kryzys mieszkaniowy i smog w stolicy, a przede wszystkim poczucie, że wielkie bogactwa naturalne tego kraju o pięciokrotnej powierzchni Polski z 3,3 mln ludności zawłaszczyła grupka bogaczy i polityków. Trzy lata temu zamieszki wybuchły, kiedy się okazało, że 385 tys. ton węgla opuściło kraj poza systemem celnym. To kwintesencja mongolskich problemów. Przy tym wszystkim jednak od upadku komunizmu w 1991 r. państwo pozostaje demokracją parlamentarną, wciśniętą między dwa autorytarne giganty, Rosję i Chiny.

Rządzący od pięciu lat Oyun-Erdene, absolwent Uniwersytetu Harvarda, wykazał sporo inwencji: nowy szlak kolejowy do Chin, rafineria uniezależniająca od Rosji, kopalnia uranu do spółki z Francuzami, a sztandarowym projektem miał być „fundusz suwerenności narodowej" przejmujący jedną trzecią dochodów przemysłu wydobywczego na rzecz przyszłych pokoleń. Co bardzo nie spodobało się oligarchom. A prezydenta Uchnaagijna Chürelsücha, który w maju świętował z Władimirem Putinem na placu Czerwonym, uwierała samodzielność premiera i jego dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi i z Unią Europejską. Za dwa lata głowie państwa mija sześcioletnia kadencja (w konstytucji przewidziano jedną) i zaczyna się głośno mówić o chrapce na drugą. Coraz częściej też słychać, że w dzisiejszych trudnych czasach rosyjski i chiński model sprawowania władzy dałby siłę i stabilizację, co raczej źle rokuje demokracji. Może się więc okazać, że jedna panna młoda wywołała głęboki kryzys konstytucyjny, bo chciała się pochwalić pierścionkiem.

© VLADIMIR ALEKSANDROV/ANADOLU/GETTY IMAGES, JIM WATSON & SERGEI GAPON / AFP/EAST NEWS, NG HAN GUAN/AP/EAST NEWS, LEE YOUNG-HO/SIPA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 54c79bd13b

Zwycięzca polaryzacji

Lee Jae-myung został właśnie prezydentem głęboko podzielonej Korei Południowej. Wygrał w przyspieszonych wyborach i już dzień później został zaprzysiężony podczas błyskawicznej ceremonii. Korei się spieszy, przez ponad pół roku trawił ją głęboki chaos. Wywołał go poprzedni prezydent Yoon Suk-yeol, który w grudniu wprowadził stan wojenny, próbując się pozbyć niewygodnej większości w parlamencie. Lee jako jej lider stanął na czele obrońców porządku demokratycznego, doprowadził do pozbawienia Yoona urzędu, pokonał kandydata z jego partii i „domknął system". Może głosować nad ustawami bez udziału ugrupowań opozycyjnych i niewiele brakuje mu do konstytucyjnej większości dwóch trzecich.

Obiecuje zrobić to, co dziś prawie każdy przywódca – zjednoczyć podzielony kraj i wzmocnić podupadającą gospodarkę. Chce przerzucać mosty, być prezydentem wszystkich Koreańczyków i jednocześnie rozliczyć rywali politycznych. Jego

konserwatywni konkurenci obawiają się też, że zepsuje poprawione przez Yoona stosunki z Japonią i poszuka zbliżenia z Koreą Północną i Chinami, co narazi na szwank przymierze ze Stanami Zjednoczonymi, jedynym obrońcą w razie poważnych kłopotów. Za Lee ciągną się też niewyjaśnione podejrzenia o popełnienie poważnych przestępstw: łamanie prawa wyborczego i nakłanianie do fałszywych zeznań.

Stawką prezydentury Lee będzie południowokoreańska reputacja, nadszarpnięta ostatnimi miesiącami niepowagi. Do tradycyjnych kłopotów wymuszonych geografią i polityką sąsiadów, zwłaszcza z Północy, doszły ostatnio amerykańskie cła na kluczowe produkty eksportowe – samochody i stal. W pierwszym kwartale gospodarka się skurczyła. Obywatele są zmęczeni wysokimi kosztami życia, korporacyjnym porządkiem bardziej sprzyjającym wielkim firmom niż pracownikom, którzy nie mogą liczyć na dobrą posadę, własne mieszkanie i awans społeczny. Zwolennicy nowego prezydenta liczą, że odpędzi zmory różnic płac dla kobiet i mężczyzn czy zwyczajowo niepłaconych nadgodzin.

Lee ma 61 lat. We wczesnej młodości zamiast chodzić do szkoły średniej, pracował jako robotnik fabryczny, szył m.in. rękawice bejsbolowe. Zdołał dostać się na studia, jako prawnik specjalizował się w prawie pracy i obronie wolności obywatelskich. Nie będzie miał wiele czasu – Korea Południowa wybiera prezydenta na jedną pięcioletnią kadencję.

Wielka piękna kłótnia

Stało się to, co od początku wszyscy przewidywali: **Donald Trump** i **Elon Musk** się pokłócili. Najbogatszy człowiek świata nazwał „obrzydliwością" przygotowaną przez Republikanów i popieraną przez Trumpa „wielką piękną ustawę" obcinającą podatki i wydatki socjalne, co znacznie zwiększy – jak ostrzegł – deficyt budżetu. Skrytykował też wojnę celną. Trump oświadczył, że to koniec ich przyjaźni. W odpowiedzi Musk poparł impeachment prezydenta, przypomniał jego związki z seksualnym drapieżcą Jeffreyem Epsteinem i zapowiedział, że NASA nie będzie mogła już korzystać ze zbudowanej przez jego firmę SpaceX rakiety Dragon do transportu załóg na Międzynarodową Stację Kosmiczną. I stwierdził, że gdyby nie on, Trump nie wygrałby wyborów, co zapewne najbardziej rozwścieczyło prezydenta.

Jego sekundant Steve Bannon wezwał do deportacji Muska jako „nielegalnego cudzoziemca" – bo urodził się w RPA i nie ma podobno uregulowanego statusu imigracyjnego – i przypomniał, że jako szef odchudzającego administrację biura DOGE zażywał narkotyki. Trump zagroził mu cofnięciem dotacji i kontraktów rządowych. Te ostatnie to wobec bojkotu aut Tesli i spadku akcji tej firmy coraz ważniejsze źródło dochodów Muska. Od 2015 r. zarobił na umowach z NASA miliardy dolarów.

Trump dysponuje więc potężną dźwignią nacisku, co nie znaczy, żeby miał w ręku wszystkie karty. Miażdżąca recenzja „pięknej ustawy" może wzmocnić opozycję wobec niej w Kongresie, a to kluczowy punkt programu prezydenta. W 2024 r. Musk wydał 292 mln dol. na kampanie wyborcze Trumpa i republikańskich kandydatów do Kongresu – najwięcej ze wszystkich sponsorów GOP. Teraz grozi, że przed wyborami w 2026 r. jego hojność może się skończyć. Zresztą ideowym Republikaninem nigdy za bardzo nie był – w 2020 r. głosował na Joe Bidena. Jako właściciel platformy internetowej X dysponuje skutecznym narzędziem walki z prezydentem. A w Partii Republikańskiej jest niemal tak samo popularny jak Trump. Uwielbia go zwłaszcza tzw. internetowa prawica, czyli młodzi przeważnie Amerykanie o libertariańskich poglądach. Trumpiści mają powody do niepokoju. Prezydent zagroził więc Muskowi, że jeśli poprze Demokratów, czekają go „poważne konsekwencje".

W ostatnich dniach Musk złagodził swą retorykę, usuwając z sieci X co mocniejsze wpisy atakujące Trumpa. Niewykluczone zatem, że kiedy tekst ten trafi do czytelnika, obaj panowie już się pogodzą. W świecie trumpizmu nic nie powinno zaskakiwać.

TOMASZ ZALEWSKI
Z WASZYNGTONU

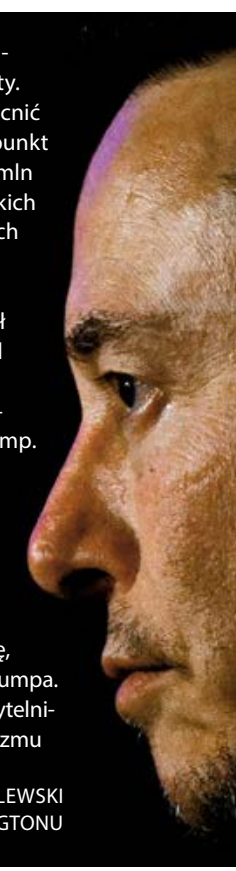

eprasa.pl 54c79bd13b

Prezes się cieszy

W noc wyborczą, gdy ukazał się late poll dający bezpieczną przewagę Karolowi Nawrockiemu, i potem na pierwszym posiedzeniu Sejmu po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich PiS przeżyło swój moment triumfu. Później zaczęły się kalkulacje.

WOJCIECH SZACKI

Z partii, która ledwie półtora roku temu straciła władzę, dobiegł zbiorowy oddech ulgi, a potem ryk radości. Posłowie PiS we wtorek rano na widok sztabowca Rafała Trzaskowskiego Sławomira Nitrasa zaczęli ironicznie bić brawo i skandować jego imię. Do innego sztabowca – Patryka Jaskulskiego, znanego z występów na wiecach prezydenta Warszawy – pokrzykiwali: „Gdzie megafon?".

Ulga jest zrozumiała. W partyjnych szeregach nie było pewności zwycięstwa, długo tliły się obawy, że Platformie uda się jednak „domknąć system". Przez większość kampanii to Trzaskowski miał wyraźną przewagę w sondażach, a Nawrocki ze swej strony dbał o to, żeby PiS nie poczuło się zbyt pewnie. – *Miałem parę chwil zwątpienia. Zdrętwiałem oczywiście, gdy nasz obywatelski kandydat nazwał się „decyzją prezesa" na konwencji w Łodzi. Drugi moment to wzięcie snusa w czasie finałowej debaty z Trzaskowskim. Z większych rzeczy naprawdę bolesna okazała się*

© ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 54c79bd13b

jedynie sprawa z kawalerką, to nas prawdopodobnie kosztowało porażkę w pierwszej turze. Pozostałe publikacje już Nawrockiemu nie zaszkodziły – wspomina ważny polityk PiS.

Rozkład głosów w pierwszej turze był korzystny dla Nawrockiego z uwagi na przewagę kandydatów antyrządowej prawicy. Kandydat PiS stał się faworytem wyścigu, ale nawet na dwa dni przed drugą turą jeden z posłów powątpiewał w jego zwycięstwo: – *Frekwencja podskoczy do 74–75 proc. i to będą ci wyborcy, których zmobilizuje przekaz o „gangusie w Pałacu". Minimalnie przegramy*.

Jak to się skończyło, wiemy, Trzaskowski czuł się prezydentem przez niecałe dwie godziny, ostatecznie Nawrocki wygrał o prawie 2 pkt i ok. 370 tys. głosów. Nowi wyborcy, którzy nie głosowali w pierwszej turze, podzielili się niemal po równo, co pozwoliło kandydatowi PiS utrzymać przewagę, którą mimo drugiego miejsca uzyskał 18 maja dzięki sukcesom Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. I tak po trzech kampaniach w latach 2023–24, w których ponad połowa wyborców głosowała na partie centrowe i lewicowe, teraz to prawica miała większość przy urnach.

Uldze, że się mimo wszystko udało, towarzyszyła radość. Nie chodziło tylko o zadowolenie ze zwycięstwa w tych konkretnych wyborach i z tego, że nastanie prezydent, który zawetuje, co trzeba, a może i kogo trzeba ułaskawi w razie jakiegoś przykrego wyroku. PiS poczuło, że jeszcze przed półmetkiem kadencji Sejmu zaczęły w Polsce przeważać nastroje antyrządowe, że straszenie powrotem Jarosława Kaczyńskiego do władzy nie działa i że ten powrót jest jedynie kwestią czasu. W Waszyngtonie przyjaciel Trump, w Pałacu Prezydenckim Nawrocki, koalicja rządowa w ewidentnym kryzysie – czegóż można chcieć więcej.

Wśród posłów PiS krąży żart, że wygrana Nawrockiego zmartwiła tylko dwie osoby z tego ugrupowania – europosłów Tobiasza Bocheńskiego i Patryka Jakiego, którzy widzieli się w roli kandydatów na prezydenta w 2030 r.

Nawrocki rusza na Tuska i mebluje Pałac

Prezydent elekt dzień po wyborach spotkał się ze swoim sztabem i z Kaczyńskim. Potem odbył dłuższą rozmowę z Andrzejem Dudą. Swoje biuro do zaprzysiężenia 6 sierpnia będzie miał w pomieszczeniach Kancelarii Prezydenta na ul. Wiejskiej, nieopodal Sejmu. 5 czerwca udzielił pierwszych dwóch wywiadów zaprzyjaźnionym z PiS telewizjom – wPolsce24 i TV Republika. Trzaskowskiemu „po chrześcijańsku życzył zdrowia" i zadeklarował wolę współpracy z rządem „w pewnych sprawach", ale to był tylko ornament. Nazwał Tuska „najgorszym premierem po 1989 r." i zasugerował koalicji wymianę na tym stanowisku. Zapowiedział, że nie da sobie „zabierać kompetencji prezydenta Polski" i że szef rządu musi się nastawić na „silny odpór" z Pałacu Prezydenckiego. „Na razie nie udał się plan na prezydenta panu premierowi, więc niech weźmie głęboki oddech. Niech nie straszy ani mnie, ani Polaków, że będzie szukał innych rozwiązań" – mówił Nawrocki w Republice. Oskarżył też instytucje państwowe (nie wskazał które) o to, że prowadziły kampanię przeciwko niemu.

Prezydent elekt zdradził też pierwsze decyzje personalne. Zapowiedział, że w Kancelarii znajdzie się miejsce zarówno dla doświadczonych polityków, jak i jego dotychczasowych współpracowników, ludzi spoza świata polityki.

Kancelaria liczy ok. 400 osób, ale ważnych politycznie stanowisk w otoczeniu prezydenta jest kilkanaście. To sekretarze i podsekretarze stanu oraz etatowi doradcy. W tym gronie najważniejsi będą: szef Kancelarii, szef gabinetu prezydenta, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, szef Biura Polityki Międzynarodowej oraz prezydencki prawnik.

Szefem gabinetu prezydenta zgodził się zostać Paweł Szefernaker, który w kampanii kierował pracą sztabu wyborczego. Zwycięstwo bardzo wzmocniło jego pozycję w partii. Szefernaker (rocznik 1987) to polityczny wychowanek Joachima Brudzińskiego i doświadczony sztabowiec, który wyróżnił się już w pierwszej kampanii prezydenckiej Dudy. Później był sekretarzem stanu w Kancelarii Premiera za Beaty Szydło i wiceministrem spraw wewnętrznych w dwóch rządach Mateusza Morawieckiego. Szefernaker w PiS słynie z lojalności wobec Nowogrodzkiej, unikania wojen frakcyjnych, pracowitości i sprawności organizacyjnej. Zapowiedź jego nominacji oznacza, że Kaczyński będzie miał w Pałacu jednego ze swych najbardziej zaufanych ludzi. Szefernaker będzie się natomiast musiał pożegnać z Sejmem, bo stanowiska w Kancelarii Prezydenta nie można łączyć z mandatem posła.

Zastępcą szefa gabinetu prezydenta zostanie Jarosław Dębowski, dotychczasowy dyrektor biura prezesa IPN. Nawrocki poinformował też, że rzecznikiem prasowym będzie obecny rzecznik IPN Rafał Leśkiewicz.

Resztę nominacji poznamy w najbliższych dniach. W PiS mówi się, że ważne stanowisko – może nawet szefa Kancelarii – przypadnie Karolowi Rabendzie. To gdański działacz PiS, a wcześniej Porozumienia Jarosława Gowina i Partii Republikańskiej Adama Bielana. Z Nawrockim zna się od lat z Gdańska. Jak słyszymy, to właśnie Rabenda poznał Nawrockiego z Bielanem, co z czasem zaowocowało nominacją prezydencką od Kaczyńskiego.

W PiS mówi się też, że do Kancelarii może trafić bliski partii historyk Sławomir Cenckiewicz, który był mentorem Nawrockiego i promotorem jego kariery w Muzeum II Wojny Światowej i IPN. Na karuzeli nazwisk jest także Tomasz Szatkowski, za czasów PiS ambasador Polski przy NATO, a ostatnio społeczny doradca Dudy.

Są też politycy PiS, którzy podobno chętnie dołączyliby do prezydenckiej administracji: byli wiceministrowie spraw zagranicznych Szymon Szynkowski vel Sęk i Marcin Przydacz czy były wiceminister infrastruktury Marcin Horała. To wszystko będzie jednak jeszcze przedmiotem negocjacji.

Kaczyński proponuje rząd techniczny

Z przyszłej Kancelarii przenieśmy się do Sejmu. Już dzień po wyborach prezes PiS rzucił pomysł powołania „rządu fachowców", który zapewniłby spokojną współpracę z nowym prezydentem. W PiS mało kto łudzi się, że znajdzie się w Sejmie większość, która by taki rząd poparła. Kaczyńskiemu chodziło o coś innego – ten pomysł miał utrwalić przekaz, że wybory prezydenckie były w istocie referendum nad ekipą Tuska. A także przypomnieć wszystkim, że to do prezesa PiS należy inicjatywa polityczna i że już dziś Kaczyński zaczyna pracować nad zmiękczeniem PSL, potencjalnie najsłabszego ogniwa koalicji rządowej. Koncepcja Kaczyńskiego była też oczywiście odpowiedzią na wniosek Tuska o wotum zaufania dla rządu. Można jednak patrzeć na ten ruch także z trochę innej perspektywy, jako na przejaw narracyjnej rywalizacji z Konfederacją. ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ PiS ma prawo być szczęśliwe po wygranej Nawrockiego, ale pamiętajmy, że dla Kaczyńskiego od lat najważniejsza jest partia. A pierwsza tura wyborów obok dobrych przyniosła także niepokojące wieści. Nawrocki miał niecałe 30 proc. głosów, Mentzen i Braun – ponad 20 proc. (w tym na wsi 26 proc.). Kandydat Konfederacji wygrał z Nawrockim zarówno wśród wyborców do 30. roku życia, jak i 40-latków. A jego partia ma w sondażach ponad 15 proc. Gdyby w wyborach do Sejmu wyniki przypominały te z pierwszej tury, PiS straciłoby pewnie w stosunku do obecnego Sejmu ze 30–40 posłów, a klub Konfederacji urósłby do ok. 70. I byłby niewygodnym, mnożącym żądania kandydatem na koalicjanta.

A sytuacja na styku PiS i Konfederacji jest skomplikowana, zwłaszcza że Konfederacja to nie tylko Nowa Nadzieja Mentzena, lecz także Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka. – *Mentzen pomógł nam wygrać wybory. Spotkał się z Nawrockim, pozwolił zrobić kilka zdjęć, których użyliśmy w kampanii adresowanej do wyborców Konfederacji. Pamiętamy też, że w dniu głosowania zachęcał do pójścia do urn. Prawie 90 proc. jego zwolenników głosujących 1 czerwca poparło Nawrockiego. Ale lider Konfederacji teraz widzi w tym zagrożenie, bo nie chce, żeby ludzie, którzy poparli kandydata PiS, stali się z rozpędu częścią elektoratu tej partii* – tłumaczy działacz PiS.

Mentzen nie może zatem wejść w rolę sympatycznego sojusznika Kaczyńskiego. Nie może też być przesadnie antypisowski, bo – jak pokazały reakcje na piwo z Trzaskowskim przed drugą turą – elektorat konfederacki zdecydowanie bardziej nie znosi Tuska niż Kaczyńskiego. Charakterystyczna była odpowiedź Mentzena na pomysł rządu technicznego. Zaproponował prezesowi rozmowę, a gdy ten odmówił (argumentując, że mniejsza partia nie powinna zapraszać większej, tylko na odwrót), Mentzen napisał na dawnym Twitterze: „Nie chodzi wam o realne odwołanie rządu Tuska, a o propozycję czysto medialną, zwykły spin i zajmowanie uwagi mediów przez miesiące, jak kiedyś z prof. Glińskim. Zwykła zasłona dymna. Nie macie większości, nie macie kandydata, nie macie konkretów".

Nie wydaje się, żeby Kaczyński już wypracował długofalowy plan na rozegranie Konfederacji. Prawdopodobne jest podtrzymywanie paktu o nieagresji z kampanii prezydenckiej – i okresowe go łamanie, też jak w kampanii prezydenckiej.

PiS uważnie śledzi też relacje Mentzena i Bosaka. To od jednego z polityków bliskich Kaczyńskiemu słyszymy historię o tym, że parę miesięcy temu lider Nowej Nadziei powiedział w gronie współpracowników, że jak dostanie ponad 15 proc., to w kolejnych wyborach do Sejmu pójdzie pod szyldem własnym, a nie Konfederacji. Wypowiedź ta dotarła do Bosaka i zapoczątkowała gwałtowne pogorszenie się wzajemnych relacji (Mentzen zresztą, pytany w Kanale Zero, czy lubi Bosaka, nie mógł z siebie wydusić odpowiedzi twierdzącej). Ewentualny konflikt tych dwóch polityków PiS przyjęłoby pewnie z radością.

PiS wybiera prezesa na prezesa

Ustalenie *modus vivendi* z Konfederacją to jednak pieśń przyszłości. Na razie partia żyje przygotowaniami do swego kongresu 28 czerwca (10 dni po 76. urodzinach Kaczyńskiego). Poprzedzają go zjazdy lokalne, na których wybierani są delegaci na kongres, w którym poza tym z urzędu uczestniczą wszyscy parlamentarzyści należący do partii.

Głównym zadaniem kongresu będzie wybór szefa partii. Od 2003 r. jest nim Jarosław Kaczyński (a przed nim Lech Kaczyński) i nic nie wskazuje, by 28 czerwca cokolwiek się zmieniło. Prezes dawno temu wycofał się z deklaracji, że to jego ostatnia kadencja, zapowiedział, że będzie kandydował, i nic nie słychać, by ponownie zmienił zdanie. Nic też nie wskazuje, by ktoś zechciał wystartować przeciwko niemu. Wygrana w wyborach prezydenckich daje perspektywę odzyskania władzy i tym samym utrwala dominującą pozycję Kaczyńskiego oraz zmniejsza prawdopodobieństwo rozłamu.

W dniu kongresu mogą jednak zapaść inne ważne dla życia wewnętrznego partii decyzje. Niewykluczone są zmiany w komitecie politycznym oraz na stanowiskach wiceprezesów. W PiS mówi się, że zagrożony jest np. europoseł Mariusz Kamiński. Wcześniej były zaś spekulacje, że wiceprezesurę straci starszy o rok od Kaczyńskiego Antoni Macierewicz. Nasz rozmówca z władz partii twierdzi natomiast, że wiceprezesami bardzo chcieliby zostać Bocheński oraz posłanka Anna Krupka. I dodaje, że decyzje w sprawach personalnych zapadną dopiero na kilka dni przed kongresem.

Dalsze plany Kaczyńskiego

Kampania prezydencka była kolejnym krokiem ewolucji PiS ku prawej ścianie. Mowy nie było o jakimś ruchu w stronę centrum, ukłonie pod adresem umiarkowanych wyborców, stępieniu retoryki, chowaniu co skrajniejszych polityków. Było antyunijnie, antyukraińsko, antyimigrancko – a jeśli kandydatowi zdarzyło się już krytykować rządy PiS, to z pozycji konfederackich. Była też normalizacja przemocy w postaci akceptacji dla leśnych bijatyk kiboli, co przyszły prezydent nazywał „szlachetną walką". Nawrocki nie krył też, że byłby za dalszym zaostrzeniem prawa antyaborcyjnego. Nie reagował w debacie na antysemickie tyrady Brauna. Zapowiedział również zerwanie ze zwyczajem wprowadzonym przez Lecha Kaczyńskiego, czyli zapalaniem świecy w Pałacu Prezydenckim w święto Chanuki.

PiS z 2005 r., gdy kandydował Lech Kaczyński, i PiS z Nawrockim z 2025 r. łączy w zasadzie tylko ciągłość przywództwa w partii. Kurs i towarzysząca mu retoryka są całkiem inne. Ta przemiana odpowiada oczywiście na zmieniający się popyt – PiS jest taki, jakim chcą go jego wyborcy. Coraz więcej w tym Dmowskiego, a jeśli Piłsudski, to raczej bardzo późny.

Rzecz w tym, że choć Kaczyński dociska pedał gazu i pędzi w prawo, to wcale nie rozjeżdża prawicowej konkurencji. Wybory prezydenckie były poza wszystkim innym porażką duopolu PO-PiS. Bardziej oberwał przegrany Tusk, ale trudno nie zauważyć, że dla Polaków do 40. roku życia obie te partie w zasadzie mogłyby nie istnieć. To jest zmiana generacyjna, lecz także programowa – młodsi prawicowi wyborcy, fani Konfederacji mogą to samo co PiS mniemać na temat Ukrainy, zakazu aborcji czy imigrantów, ale są znacznie liberalniejsi gospodarczo. To z kolei może kiedyś doprowadzić do podziałów w większej partii, czego zwiastunem mógł być niedawny spór o głosowanie nad obniżeniem składki zdrowotnej, gdy grupka posłów PiS była bliżej Konfederacji niż władz swojego klubu.

To są jednak wszystko przyszłe zmartwienia Kaczyńskiego, podobnie jak potencjalna próba uniezależnienia się Nawrockiego, który nie zechce zapewne wejść w rolę Adriana z „Ucha prezesa" z czasów pierwszej kadencji Dudy. Na razie prezes się cieszy.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 54c79bd13b

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Wstrząsy wtórne

Nazajutrz po wyborach w obozie władzy otworzył się worek wzajemnych pretensji. Mniejsze partie podważyły pozycję premiera, czego ten nie przyjmuje do wiadomości. Koalicja kłóci się coraz bardziej i nie wiadomo, jak tę spiralę złych emocji zatrzymać.

RAFAŁ KALUKIN

Chociaż Rafał Trzaskowski nigdy nie był faworytem stuprocentowym, jego przegranej w wyborach prezydenckich chyba nikt w rządzącej koalicji nie brał na serio pod uwagę. Zbyt wiele wcześniej postawiono na tego konia. W końcu właściwe rządzenie z realną „sprawczością" i „dowożeniem projektów" miało się zacząć dopiero po zastąpieniu Andrzeja Dudy przedstawicielem sejmowej większości. Co zresztą obiecywano od bardzo dawna zdaniami formułowanymi nie tylko w trybie warunkowym („jeżeli nasz kandydat wygra..."), ale często również w sposób przesądzający („kiedy wygra"). I nawet Bruksela przyjęła takie założenie, odblokowując Polsce pieniądze na KPO głównie na podstawie deklaracji woli rządu, że po wyborach prezydenckich zacznie się wreszcie przywracanie praworządności. Dziś już wiadomo, że nic z tego nie będzie.

Ale porażka kandydata KO to również wstrząs dla wyborców koalicji 15 października. Mieli więc prawo oczekiwać od swoich liderów szybkiej i zdecydowanej reakcji po ogłoszeniu wyników. Najlepiej byłoby natychmiast wspólnie się spotkać, potwierdzić wolę dalszej współpracy, uspokoić nastroje. Byłaby to zresztą reakcja całkowicie naturalna, wszyscy w końcu wiosłują na tej samej tratwie. Okazało się jednak, że premier Donald Tusk nie tracił czasu na uzgadnianie czegokolwiek z partnerami. Od razu kazał nagrywać swoje orędzie, które w poniedziałkowy wieczór wyemitowała TVP. Zapowiedział w nim złożenie wniosku o głosowanie wotum zaufania dla rządu. Co samo w sobie było ruchem właściwym, wręcz niezbędnym w obecnej sytuacji. W demokracji parlamentarnej nie ma lepszego sposobu na uspokojenie rozdygotanych nastrojów i potwierdzenie politycznego przywództwa. Przy stosunkowo niewielkim ryzyku, gdyż koalicyjna większość w Sejmie na razie wydaje się stabilna. Chociaż to oczywiście zagrywka obliczona jedynie na złapanie oddechu.

Na początek w samej Platformie, która wyszła z wyborów ciężko ugodzona i trochę też popękana. Kampania była w końcu dziełem wąskiego grona zaufanych prezydenta Warszawy ze Sławomirem Nitrasem na czele, które konsekwentnie broniło się przed zasileniem sztabu ludźmi Tuska. A premier długo ten stan tolerował, chociaż podobno stawał się coraz bardziej sceptyczny co do przyjętej strategii. Na ostatniej prostej sam za to ruszył do mediów, wyświadczając jednak Trzaskowskiemu przysługę raczej niedźwiedzią. Szczególnie nieprzekonujący był jego zagadkowo nerwowy wywiad w Polsacie.

Trzaskowski miał swoje racje, żeby trzymać Tuska na dystans. Nie chciał skojarzeń z niepopularnym rządem, ale ważne też były ambicje. Kandydatowi zależało na samodzielnym sukcesie i braku zobowiązań, co pewnie uważał za wstęp do suwerennej prezydentury. Przestało to jednak mieć znaczenie, kiedy przegrał. A ponieważ nie da się klarowanie rozstrzygnąć, czy bardziej za sprawą ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ wadliwej strategii, czy też bagażu rządów Tuska, partia się w tej kwestii podzieliła i ostatecznie autorytet obu liderów podupadł. Bardziej musiał to jednak odczuć Tusk, bo teraz tylko on pozostał w grze.

Premierowi nie opłacało się więc brnąć w wewnętrzne rozliczenia, bo sam mógłby oberwać rykoszetem. Zwołał nadzwyczajne zebranie klubu KO, na którym kazał wygasić dyskusje o przyczynach porażki. Bo też miał już na głowie znacznie poważniejszy problem z mniejszymi koalicjantami.

Maluchy nerwowo zareagowały na zapowiedź głosowania wotum zaufania. Nie dlatego, żeby skreślały sam pomysł. Źródłem napięć było to co zawsze, czyli tryb ogłoszenia decyzji premiera. To, że zostały postawione przed faktem dokonanym. Tusk tak już po prostu ma, że lubi zaskakiwać swoimi decyzjami. Do tej pory koalicjanci zaciskali jednak zęby i jakoś takie numery tolerowali. Pewnie dlatego, że trochę bali się szefa, ale też ogólnie uznawali nadrzędność jego autorytetu. Wiadomo, że tylko Tusk jest w stanie utrzymać w ryzach trudny polityczny układ.

Ale ta gwarancja właśnie przestała obowiązywać i kredyt zaufania w dużej mierze wyparował. Co Tusk otwarcie miał teraz usłyszeć w trakcie spotkania na szczycie. Mniej więcej w takim tonie, że partnerzy już nie będą się go we wszystkim słuchać, a jeśli będzie im groził przyspieszonymi wyborami, to proszę bardzo, bo oni są już pogodzeni z wizją utraty reprezentacji w Sejmie. A jeśli premierowi tak się spieszy do tego, żeby samotnie wylądować między PiS i Konfederacją, to już jego sprawa. Na tak jednoznaczne wypowiedzenie posłuszeństwa premier miał ponoć zamilknąć.

Realnym skutkiem buntu przystawek było na razie odwleczenie o tydzień głosowania nad wotum zaufania. Decydował oczywiście Szymon Hołownia, dzięki czemu zyskał czas, żeby sobie pofolgować w mediach, gdzie z impetem zaatakował silniejszego partnera. Jak zawsze przybierając pozę zewnętrznego recenzenta, tak jakby jego formacja nie miała z tym rządem wiele wspólnego. Ale też stawiał premierowi warunki i formułował własne żądania. Co oczywiście wywołało stosowną reakcję w Platformie oraz we wspierających ją społecznościach.

Ale poruszył też PSL, chociaż już wedle własnych schematów, czyli poprzez harcowników. Zresztą tych co zawsze, uaktywniających się przy okazji każdej wewnątrzkoalicyjnej zadymy – Marka Sawickiego i Michała Kamińskiego. Obaj ostro przejechali się po kampanii Trzaskowskiego, żeby dalej otwartym już tekstem zakwestionować przywództwo Tuska. W tle pojawiła się też już znajoma sugestia, że na czele rządu mógłby stanąć Kosiniak-Kamysz, jakkolwiek pomysł powierzenia teki premiera liderowi partii mającej realne poparcie na poziomie 3–4 proc. wydawać się może ekscentryczny.

A sam Kosiniak-Kamysz oczywiście najpierw dał się wyhasać swoim jastrzębiom, po czym zajął bardziej wyważone stanowisko, mające pokazywać jego propaństwową troskę. Chociaż i on zagrał na podważenie pozycji Tuska, proponując doszlusowanie do politycznego dyrektoriatu Trzaskowskiego. Co mogło trochę dziwić, gdyż ludowcy zawsze uciekali przed skojarzeniami z „tęczowym Rafałem", ale tym razem chodziło o rozproszenie władzy premiera.

Na koniec sporo szumu wywołało ujawnienie wewnętrznej ankiety rozesłanej aktywowi PSL, w której m.in. zadano pytanie o ewentualność wejścia w koalicję z PiS i Konfederacją, jeżeli korzyścią byłaby teka premiera dla Kosiniaka-Kamysza. Była to niewątpliwie próba pokazania partnerom, że ludowcy nie są zdani na obecną koalicję i zawsze mają alternatywną opcję. Tymczasem dali jednak do zrozumienia, że nie zamierzają z niej skorzystać, skoro 70 proc. odpowiedzi było na „nie". Ale kiedyś?

W ogólnym rejwachu trudno było oddzielić sensowne argumenty od bicia piany. Bo przecież Hołownia nie miał papierów do zmasowanej krytyki koalicjanta. Jego niespełna 5-procentowy wynik w wyborach był przecież grubo poniżej oczekiwań. Ale też atakując Tuska i Trzaskowskiego, chciał przykryć własną klęskę, w oczach zarówno opinii publicznej, jak i swojego środowiska politycznego. Tym bardziej że Polska 2050 już wyraźnie się kruszy, jej struktury obumierają. A do tego pozycję Hołowni coraz silniej kwestionuje ambitna ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Tyle że postulaty zgłaszane przez marszałka Sejmu akurat były całkiem słuszne. Bo faktycznie byłoby dobrze renegocjować umowę koalicyjną i wpisać do niej strategiczne priorytety. Dokument w obecnej wersji jest na tyle ogólny, że nie bardzo wiadomo, jaka jest tak naprawdę agenda tego rządu. Tuskowi było to do tej pory na rękę, gdyż mógł arbitralnie zapalać zielone bądź czerwone światło inicjatywom legislacyjnym z poszczególnych resortów, trzymając ich szefów w ciągłym napięciu. Bo też decyzje premiera najczęściej wynikały nie tyle z logiki państwowej, ile czysto politycznej, będąc narzędziem taktycznego manewrowania i umacniania własnej pozycji. Ale już z zewnątrz wyglądało to tak, jakby rząd nieustannie dryfował i nie bardzo wiedział, do jakiego portu właściwie zmierza.

Tyle że Hołownia też nie sprawiał wrażenia lidera posiadającego jakąś wizję. Przedstawiona przez niego lista ustaw do uchwalenia to dosyć przypadkowy zestaw pomysłów z różnych obszarów i rozmaitej wagi, które nie układają się w czytelny wzór. Zresztą apelując do Tuska o wynegocjowanie priorytetów, szef Polski 2050 też w istocie zabiegał przede wszystkim o własny stołek. Bo jeżeli mamy już zmieniać umowę koalicyjną, to może przy okazji będzie można usunąć punkt o rotacyjnym marszałku?

Hołownię bardzo by to oczywiście urządzało. Nie chce o tym jednak słyszeć odmierzający już czas do przejęcia schedy Włodzimierz Czarzasty. I nieprzypadkowo to Nowa Lewica broni dzisiaj umowy koalicyjnej jak niepodległości, nie zgadzając się na żadne zmiany. Tusk podobno miał już jednak wysłać sygnał, że może jednak byłby skłonny postawić na Hołownię, co może wynikać z obawy, iż pozbawiony państwowego stanowiska polityk straciłby ostatnie powody do bycia lojalnym. Byłaby to jednak niesprawiedliwa kara dla Czarzastego, który akurat tradycyjnie zachowuje spokój i nie atakuje lidera koalicji. Chociaż i on daje do zrozumienia, że jego ugodowość ma granice, a fotela marszałkowskiego nie zamierza odpuszczać.

No i wreszcie Hołownia może też mieć trochę racji, kiedy domaga się powołania rzecznika rządu, chociaż to tylko część problemu. Bo komunikacyjnym problemem tego rządu prędzej jest deficyt opowieści o dalekosiężnych celach. Tusk zawsze był jednak premierem wręcz programowo odrzucającym wizje i skupiającym się na rozwiązywaniu doraźnych problemów, co już za jego pierwszych rządów – w nieporównanie bardziej sprzyjającej sytuacji niż teraz – stawało się z czasem źródłem

eprasa.pl 54c79bd13b

problemów. Próbowano więc na różne sposoby uwznioślać „ciepłą wodę w kranie” w roli paliwa napędzającego wielką zmianę cywilizacyjną, co jednak ostatecznie zbankrutowało. Po 2023 r. taką klamrą miało być z kolei rozliczenie rządów PiS i odbudowa praworządności, tyle że pierwsze do dziś kuleje i już nie budzi społecznego aplauzu, a drugie przy prezydencie Nawrockim stało się nierealne.

W całej tej dyskusji o rzeczniku tak naprawdę znów chodzi o ograniczenie władzy Tuska, który pełniąc *de facto* tę funkcję, stawał się twarzą wszystkich legislacyjnych inicjatyw, również pochodzących od koalicjantów. Ci zaś nigdy nie mieli możliwości, żeby wepchnąć się na konferencję prasową premiera i wystąpić u jego boku, z kolei ich resortowe prezentacje już nie przykuwały takiej uwagi. Rzecznik siłą rzeczy już nie byłby tak asertywny jak premier i – jak liczą koalicyjne partie – dużo łatwiej byłoby go skłonić do sprawiedliwego pokazywania zasług. Tusk miał zresztą ulec presji i podobno już się zaczęło poszukiwanie rzecznika, co jeszcze jednak nie znaczy, że szybko się ono zakończy.

Ale najważniejsza dla koalicjantów jest dzisiaj rekonstrukcja rządu. Zapowiedziana przez Tuska już wiele miesięcy temu i planowana na zaprzysiężenie nowego prezydenta. Wedle planu miał to być oczywiście Trzaskowski, a zmiany w rządzie traktowano jako element nowego otwarcia. Spekulowało się również, że premier może wykorzystać słabsze wyniki pozostałych koalicyjnych kandydatów do zmniejszenia parytetów ich formacji. Bo rekonstrukcja miała polegać na okrojeniu części resortów, tak żeby mocno odchudzić faktycznie rozrośnięty dziś ponad miarę gabinet.

Ale po zwycięstwie Nawrockiego może być z tym trudniej. Każdy z koalicjantów czuje się bowiem osłabiony i mniejsza jest ich chęć, żeby się pozbywać stanowisk z własnej puli. Dodatkowo liderzy małych partii zaczęli jeszcze oglądać się za siebie. O napięciach w Polsce 2050 była już mowa, a swoje wyborcze zjazdy mają też jesienią PSL i Lewica. Pozycja Kosiniaka-Kamysza wydaje się raczej pewna, chociaż jego główny oponent Waldemar Pawlak może podjąć próbę stworzenia frakcji, która wystawi obecnemu wicepremierowi liczącego się kontrkandydata.

Z kolei w Nowej Lewicy już teraz mówi się o całkiem sporym gronie chętnych do ubiegania się o stanowisko lidera, bo zapowiedziała start Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, a podobno przymierzają się jeszcze Krzysztof Gawkowski, Tomasz Trela oraz Marcin Kulasek. Wraz z każdym kolejnym kandydatem rosnąć będą jednak szanse Czarzastego, który w trakcie kampanii pracowicie objeżdżał regiony, oficjalnie szukając poparcia dla zmian statutowych (chodzi przede wszystkim o zniesienie podziału na oficjalne frakcje dawnego SLD i Wiosny oraz wynikającego z tego podwójnego kierownictwa), a nieoficjalnie – budując sobie pozycję w partyjnych wyborach.

© OBYWATEL JANEK

Co jednak prowokowało cierpkie uwagi młodych polityków, którzy pracowali w kampanii Magdaleny Biejat, że ich lider wykorzystał okazję do ustawienia pod siebie zjazdu. Wzrosło więc pokoleniowe napięcie, czemu trochę też sprzyja niezła – w swojej skali – passa Adriana Zandberga i jego środowiska Razem, które poszło na swoje i dzisiaj kontestuje rząd Tuska. Ten ma tymczasem jeszcze mocniej skręcić na prawo, toteż na lewej flance coraz częściej pojawia się dzisiaj pytanie o korzyści z trwania w tym układzie. I jeśli takie nastroje będą narastać, może się to odbić na Czarzastym, który jest głównym orędownikiem utrzymania dobrej relacji z Tuskiem.

Na razie konkretne ustalenia zostały jednak odłożone na połowę lata, bo teraz mogłoby się to skończyć karczemną awanturą. Inna sprawa, że na poważną przebudowę raczej i tak się nie zanosi. Po pierwsze, premier osłabł i już nie ma takiej swobody w układaniu koalicyjnych klocków jak dawniej. Po drugie, na zapleczu trudno dopatrzeć się istotnych kadrowych rezerw. A po trzecie, to najpewniej miała być operacja wyłącznie marketingowa.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystko tu jest robione od niewłaściwej strony. Bo jeżeli miałoby to być naprawdę nowe otwarcie, to należałoby jednak zacząć od strategicznej koncepcji i wskazania kilku priorytetów. Dobrze byłoby je zresztą wpisać do umowy koalicyjnej, tak żeby wszyscy partnerzy wreszcie wiedzieli, na czym stoją i czego premier od nich oczekuje. To jedyny sposób na uniknięcie wzajemnych przepychanek, które wybuchają pomiędzy zastępczo rywalizującymi o uwagę opinii małymi partiami, jak choćby w sprawie subsydiowania kredytów hipotecznych i budowania tanich mieszkań na wynajem. Nieprzypadkowo w Niemczech i innych krajach zachodniej Europy tak długo zwykle trwa negocjowanie tego typu ustaleń, co nie jest czasem straconym, bo potem oszczędza się wielu konfliktów. I dopiero z gotową agendą można następnie pomyśleć o łączeniu resortów albo powoływaniu nowych, co zresztą w niektórych przypadkach może wymagać zmiany ustawowej, ergo akceptacji prezydenta. I dopiero na koniec należałoby poszukać optymalnej obsady kadrowej.

Problem w tym, że Tuskowi taki model zarządzania zawsze był obcy, bo również jako premier zwykle skupiał się na prowadzeniu gry politycznej, podporządkowując temu celowi właściwą treść rządzenia. Co może i dawało w przeszłości niezłe efekty, ale dzisiaj już wyraźnie nie wystarcza, co zresztą udowodniły wybory prezydenckie.

O zmianie premiera nie ma oczywiście mowy, chociaż takie sugestie też w ostatnich dniach się pojawiały. Co może byłoby warte rozważenia, gdyby udało się znaleźć odpowiedniego kandydata. Kogoś, kto kompetentnie potrafiłby zająć się rządzeniem i byłby sprawny komunikacyjnie, ale zarazem lojalny wobec Tuska. Kierownictwo polityczne powinno bowiem pozostać pod kontrolą niezastąpionego w tej roli szefa KO. To jednak model czysto hipotetyczny, gdyż premier w ogóle nie dopuszcza takiej możliwości i jego dymisja byłaby pewnie równoznaczna z nowymi wyborami. Prędzej już można się spodziewać po inauguracji Nawrockiego wyostrzenia konfliktu obu pałaców, w czym Tusk psychicznie radzi sobie najlepiej.

Tylko że to już nie wystarczy. Dzisiaj raczej nikt nie ma wątpliwości, że ta ekipa będzie rozliczana z wymiernych efektów rządzenia i nie wystarczy jej być zaporą przed recydywą rządów PiS. Warto byłoby więc zreformować mało funkcjonalny sposób zarządzania koalicją i myśleć bardziej strategicznie. Tylko czy Tusk w późnym okresie swojej kariery będzie w stanie porzucić dawne nawyki? Jego dotychczasowe patenty działają coraz gorzej, a zostało tylko nieco ponad dwa lata.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 54c79bd13b

Trauma poniedzielna

Radość trwała dwie godziny i tylko nasiliła późniejsze rozczarowanie. Jak wyborcy Rafała Trzaskowskiego radzą sobie z jego wyborczą porażką?

JAKUB HALCEWICZ, MICHAŁ TOMASIK

Małgorzata, prawniczka z warszawskiej kancelarii, skrupulatnie śledziła wieczór wyborczy. Dla otuchy spotkała się z koleżankami i w napięciu oglądały telewizję. Najpierw o 21, a później o 23, pierwszej i przez całą noc. Ona i inni rozmówcy POLITYKI przyznają, że budzili się i sprawdzali napływające doniesienia. Towarzyszyły im rozczarowanie, strach, złość.

Tak samo było w mediach społecznościowych (poniższe wpisy z X). „Jadę po hawajską. Zaraz na zawał zejdę" (Aleksander Twardowski). „Nie chcę żyć w kraju, gdzie społeczeństwo wybiera gangstera" (Krzysztof Marcinkiewicz). „Mam nadzieję, że obudzę się rano i zobaczę, że Trzaskowski wygrywa" (promissum). „Tak dobrze wam za PiS? Jak była inflacja prawie 20 proc.? Jak był Zielony Ład i strajki rolników? Strajki kobiet?"; „Mam 24 lata, a przez 10 lat rządzi PiS. dorastałam w takim kraju i k (...) nigdy więcej"; „Zrobię wszystko, żeby wyjechać z tego kraju, jeśli wygra Nawrocki" (tyna). „Jesteśmy k (...) pośmiewiskiem dla całej Europy, zresztą k (...) całego świata" (Nicole). „Śmieliśmy się z USA, że wybrali sobie przestępcę na prezydenta... a my zrobiliśmy to samo"; „Polacy to są k (...) hipokryci... Przez 10 lat narzekają na PiS, po czym idą i głosują na PiS" (Oliczka). „Wstyd mi, że jestem Polką. Tego jeszcze nie było" (Aga D). „Miały być rozliczenia PiS, a tymczasem rozpoczęły się rozliczenia sztabu Rafała Trzaskowskiego i rządu Donalda Tuska. Jak to wszystko szybko się zmienia" (Robert Boxer).

Nie tacy fajni

Ursynowskim Centrum Kultury „Alternatywy" kieruje Krzysztof Czubaszek. Działa tam ponad 80 grup zajęciowych. „Alternatywy" to esencja Ursynowa, dzielnicy aktywnej warszawskiej klasy średniej; Trzaskowski w drugiej turze zdobył tu 73 proc. głosów, co daje trzeci najwyższy wynik w kraju po Wilanowie i wielkopolskich Komornikach.

Czubaszek wygraną Karola Nawrockiego kwituje na Facebooku: „Zawdzięczamy takiego prezydenta ludziom bez wykształcenia, ze wsi i małych miasteczek, nacjonalistom, ksenofobom, antysemitom, pisowskim cynikom i Kościołowi katolickiemu. Żyjemy w takiej Polsce, choć wydaje się nam, że w Unii Europejskiej. Niestety znowu wyszły nam z butów onuce...".

Zamienia zdjęcie profilowe na czarny kwadrat i dodaje jeszcze: „Szanowni moi znajomi z Facebooka – jeżeli ktoś z Was głosował na Nawrockiego, proszę uprzejmie o opuszczenie grona moich znajomych. Nie mam z Wami nic wspólnego oprócz tego, że jesteśmy obywatelami tego samego kraju i mówimy tym samym językiem. Inaczej kochamy Polskę, inaczej rozumiemy rzeczywistość, inne wartości wyznajemy. Nie łączy nas nic, więc rozstańmy się w pokoju. Żegnam!".

– *Nie mogę mówić, że nic się nie stało* – tłumaczy Czubaszek po kilku dniach. – *Stało się i zdrowo jest przeżyć wyborczą porażkę w formie żałoby*.

Zresztą nie sam wynik jest jest dla Czubaszka najgorszy, lecz to, że Nawrocki stał się emanacją poglądów milionów osób, które głosowały na niego, a w pierwszej turze także na Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. Dziś czyta wyniki wyborów z podziałem na gminy w rodzinnym województwie lubelskim: – *Poziom antysemityzmu, jaki się ujawnił, jest zatrważający.*

– *Nie pałam nienawiścią* – tłumaczy. – *To nas, libków, się odczłowiecza. Moglibyśmy kontynuować zmiany zaczęte w 1989 r., a od tego odchodzimy. Kiedy zobaczyłem pierwsze słupki z przewagą Trzaskowskiego, podskoczyłem, jakby nasi strzelili gola. Przemówienie mógł mieć jednak bardziej stonowane, bo było wiadomo, że wynik może się zmienić, a i w zwycięstwie nie chodziło o osobę, tylko dobro kraju. Chwyciliśmy się zwycięstwa, tym większy zawód porażką.*

© OMAR MARQUES/GETTY IMAGES

Magda Krzyżanowska-Mierzewska, radczyni prawna, przed ciszą wyborczą oglądała zdjęcia (i dzieliła się nimi w socialach). A na nich najbliżsi, którzy z różnych powodów lądowali w komunistycznych więzieniach. Mąż, Piotr Mierzewski, działacz Solidarności – zdjęcie zrobione w 1984 r., w dniu zwolnienia z aresztu przy Rakowieckiej, gdzie siedział pół roku, podejrzany o „zdradę ojczyzny". W tym samym mokotowskim więzieniu w 1951 r. zmarł jej dziadek Aleksander Krzyżanowski, gen. „Wilk", zawodowy oficer Wojska Polskiego, żołnierz Armii Krajowej, dowódca Okręgu Wileńskiego. I jeszcze trzech wujów, więźniów stalinowskich.

eprasa.pl 54c79bd13b

– *Z praktyki politycznej PiS wiemy, że partia dążyła do posługiwania się prawem karnym do eliminowania przeciwników. Nie w sensie fizycznej eliminacji, ale nękania i zamykania. Temu służyła napaść na sądownictwo* – mówi.

Kiedyś taki system został nam narzucony. Wybierając PiS, fundujemy go sobie sami. – *Mam uczucie, że ofiara moich najbliższych, którzy walczyli o wolność, poszła na marne* – kończy prawniczka.

Kandydat młodych

Prezydenta Nawrockiego wybrali młodzi. To duże uproszczenie, ale faktem jest, że kandydat PiS uzyskał w grupie 18–29 ponad 53 proc. głosów. To druga najbardziej zmobilizowana grupa wyborców (frekwencja 76,3 proc.). Studenci jednej z warszawskich uczelni, którzy na Nawrockiego nie głosowali, tłumaczą, że „takie mamy czasy". – *Prawica rośnie od lat, a po drugiej stronie nie ma nic* – mówi studentka Marta. Jej kolega zwraca uwagę, że Polska nie jest tak spolaryzowana, jak się wydaje. W pierwszej turze kandydaci PiS i KO otrzymali wśród młodych łącznie 24 proc. – *W drugiej turze właściwie głosowaliśmy przeciwko Nawrockiemu i przeciwko Trzaskowskiemu.*

Głos zabrała bohaterka tekstu „Zapomniani, niezaopiekowani" z przedwyborczego wydania POLITYKI – Dagmara Adamiak, prezeska fundacji RÓWNiE. Wyznała w mediach społecznościowych, że czuje się zdruzgotana i rozczarowana. Nie tylko wynikiem, lecz także reakcjami środowiska prodemokratycznego. „Proszę Was, nie piszcie, że wygrał ciemnogród, że naród jest głupi. Każdy wybiera to, co czuje, że jest dobre dla niego. To zadanie partii, aby przekonać większość (...) Kampania nie była autentyczna. PO udawało prawicę i zdziwiło się, że ludzie wolą oryginał niż tanią podróbę".

Obserwujący Dagmarę podzielają jej emocję. Monika pyta, czy głosy kobiet na zwolenników zakazu aborcji nie są głupotą. Klaudia pisze o smutku i porażce systemu edukacji. Inna użytkowniczka gorzko obwinia młodych mężczyzn: „Nienawidzą mniejszości, nienawidzą kobiet, boją się edukacji seksualnej, imponuje im przemoc i używki. Wspaniali patrioci".

Ale ludzie i tak piszą pod postami osób wspierających Trzaskowskiego: „Podkarpacki ciemnogród ma się dobrze" (Katarzyna), „Jak zwykle wieś i wschód... ciemno tam oj ciemno" (wtóruje Dariusz). Określeń agresywnych pojawia się więcej – wraz z apelami o odebranie głosu Polonii, która „i tak nie wróci".

Nie pierwszy raz

Jak co roku 4 czerwca na warszawskim pl. Konstytucji spotkali się ci, którzy wspominają pierwsze częściowo wolne wybory do Sejmu. Około 150 osób. Podobnie w Krakowie na Plantach. Skromne, być może coraz skromniejsze społeczne obchody, bo przez lata nie udało się przebić z tym świętem do szerszej świadomości. „W poniedziałek po wyborach wszyscy do siebie dzwonili, że są załamani" – słychać w rozmowach. Obawiają się, że Nawrocki ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ wprowadzi do Pałacu Prezydenckiego kiboli, że będzie promował bojówki.

Jakub Wygnański z Fundacji Stocznia mówił do mikrofonu na pl. Konstytucji, że „demokracje są niebezpieczne", bo zdarza się, że popełniają samobójstwa. „Byliśmy naiwni, myśląc, że czas działa na naszą korzyść i będzie tylko lepiej". Przypominał ostatnią zwrotkę „Murów" Jacka Kaczmarskiego, która stała się w czasach PiS nieformalnym hymnem spotkań 4 czerwca. Mówi ona o tym, że wolności można się pozbyć, „łańcuch kołysze się u nóg". „Czas się zapętla, ale to jeszcze nie koniec – zagrzewał Wygnański. – Nie jesteśmy skazani na brunatną koszulę ani białą flagę".

Seweryn Blumsztajn z opozycji demokratycznej w PRL starał się trochę żartować: „Muszę przyznać, że dawno mnie już tak nikt nie upokorzył jak Jarosław Kaczyński. Wystawić na kandydata do prezydentury kogoś takiego i jeszcze doprowadzić do zwycięstwa – to przekracza granice mojego poczucia humoru. Jednak – jak wiecie – to nie Kaczyński ani Nawrocki stanowią problem, ale ta większa połowa Polaków, która na nich głosowała. Można się obrazić na naród, ale nie radzę – naród ma to zazwyczaj gdzieś. Był też kiedyś pomysł, żeby wybrać sobie inny naród – to jednak raczej mało realistyczne. Budowa demokracji to taka syzyfowa praca. Jeśli zrozumiemy to, nie będziemy obrażać się na przegrane wybory. Nie po raz pierwszy musimy zaczynać od nowa".

W krakowskie obchody angażuje się Anna Kozłowska-Kalbarczyk z zarządu Fundacji Jerzego Turowicza. Tym razem w nich nie uczestniczyła, była w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku na XI Międzynarodowym Forum „Europa z widokiem na przyszłość". – *ECS wręczył m.in. odznaki Lechowi i Danucie Wałęsom. Wałęsa powiedział, że jest już stary, więc teraz młodzi muszą zrobić to samo, co on kiedyś. Problem w tym, że – w świetle raportu kolektywu ResFutura „Algorytm zwycięstwa" – walka o demokrację jest poza zasięgiem dzisiejszych działaczy społecznych. W nierównej walce mierzymy się z technologiami, które sprawiają, że wyborca staje się pionkiem w niezrozumiałej dla siebie grze* – mówi Kozłowska-Kalbarczyk. – *Potrzeba specjalistów i pieniędzy, by konstruować przekazy, na których nam zależy.* Jej samej trudno sobie poradzić z tym, co się stało 1 czerwca. – *Kiedy umiera ktoś bliski, można to sobie poukładać, istnieje logiczne wytłumaczenie. Inaczej z bezradnością wobec kłamstwa, nieprzewidywalności, gdy dwa lata wcześniej wybieramy demokrację, a potem oddajemy władzę osobie z ponurą przeszłością, jaką ma Nawrocki. A głosują na niego osoby identyfikujące się z Kościołem. To całkowity upadek* – dodaje Kozłowska-Kalbarczyk. Najbardziej przygnębia ją to, co robią teraz Szymon Hołownia i Adrian Zandberg – próby zbijania kapitału politycznego, wykorzystania swoich pięciu minut, bez patrzenia na konsekwencje. – *Na co oni liczą? Że rozwalą system? W imię czego? Kilku ulotnych punktów procentowych?*

Bańka terapeutyczna

Wpisy w mediach społecznościowych w kolejnych powyborczych dniach zbadali analitycy ResFutury. Gdzie wyborcy PO szukali winnych porażki? Kościół, niski poziom edukacji, manipulacja. Bańka lewicowa oskarżyła liberałów o błędy i współudział w normalizacji radykalizmu. Po lewej stronie internetu również dominowała frustracja. Krytykowano koalicjantów – sposób rządzenia premiera Tuska (niespełnione obietnice) oraz peeselowców (nepotyzm).

Niezależny senator Wadim Tyszkiewicz mówi, że coś pękło. We wpisie na Facebooku poinformował o ograniczeniu aktywności wyłącznie do pracy parlamentarnej i zakończeniu jej wraz z kadencją. Za powód wskazuje wynik wyborów, w których jego wizja Polski nowoczesnej, przyjaznej, europejskiej i samorządowej przegrała z brunatnym populizmem. – *W poniedziałkowy poranek dostałem politycznym obuchem w łeb. Naród przy poparciu Kościoła wybrał Polskę Nawrockich i Mejzów. Ta sama liga* – tłumaczy w rozmowie z POLITYKĄ. – *Oszust, który łgał przed notariuszem, został prezydentem Polski. Jak to się ma do Dekalogu?*

Niedzielnego wyniku spodziewała się Dominika Lasota z Inicjatywy Wschód. Śledziła wieczór wyborczy. – *Obrazek świętującego sztabu zostanie z nimi na długo* – ocenia i dodaje, że nie jest to koniec świata. Nawet dostrzega iskierkę nadziei. W wybory zaangażowały się miliony ludzi, które wyraziły sprzeciw wobec obecnego kształtu sceny politycznej. – *Trzeba zagospodarować tę energię i nie pozwolić im zwątpić.*

Według niej sprzeciw należy kuć póki gorący. Zwłaszcza że u liderów obozu rządzącego nie widać specjalnego pomysłu co dalej. – *Może wstrząs jest potrzebny* – zastanawia się. I wskazuje, że przytomnie zachowały się ministry Joanna Mucha i Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Mucha zwracała uwagę, że Kaczyński przeprowadził casting na kandydata; do sztabu wysłał ludzi z wyborczymi sukcesami na koncie, którym dostarczono badania; a następnie schowano prezesa PiS. To przyniosło sukces, gdy w tym samym czasie prawybory w KO były według niej pozorowane, kampanię prowadzili ci, co zawsze, badania zignorowano. „Oni nie wyciągają żadnych wniosków i wciągają nas, stronę demokratyczną, w przepaść" – powiedziała w TOK FM.

Gorzką diagnozę przedstawiła również ministra Pełczyńska-Nałęcz. Wskazała porażki obecnego rządu: ustawa o TVP, zarządzanie spółkami Skarbu Państwa, wspieranie dużych miast czy polityka mieszkaniowa. Te argumenty zgadzały się z emocjami wyborców, którzy w socialach przypominali inne zaniechania. Renata wspomina obietnice ustaw o związkach partnerskich i aborcji. Jako winną ich braku wskazuje Trzecią Drogę. Niektórzy – jak Michał – pytają, czy warto tak ostro krytykować koalicję dwa dni po wyborach. A Aldona wyznaje, że publiczne rozliczenia pogłębiają jej rozczarowanie.

Nie ma ucieczki

Bogdan Białek, założyciel i honorowy prezes Stowarzyszenia im. Jana Karskiego, mówi, że arytmetyka była nieubłagana, wystarczyło zsumować liczby po pierwszej turze, by widzieć, że szanse Trzaskowskiego są minimalne, a gdy uderzono w Nawrockiego sutenerstwem, prawicowy elektorat Podkarpacia, Kielecczyzny i Podlasia tylko się zmobilizował. Nazajutrz po wyborach napisał na fejsie: „Nikt nie przegrał, nikt nie wygrał. Straciliśmy wszyscy".

Znajomości z nikim Białek nie zrywa. – *Nie będę nienawidził osób z drugiej strony, bo to by znaczyło, że moje reakcje zależą od nich. Jak śpiewał za komuny Jacek Kaczmarski „Każdy Twój wyrok przyjmę twardy (...) Ale chroń mnie Panie od pogardy". Słuchałem tej piosenki codziennie rano. I nie dam się zaprogramować, by na pogardę odpowiadać pogardą. Każdy człowiek ma swoją godność i możliwość wyboru. Komu to oceniać?*

Przypomina słowa Leszka Kołakowskiego, który mówił, że żadne zwycięstwo nie jest na zawsze. Ani żadna porażka. I choć będą to zmarnowane lata, takie jest życie.

JAKUB HALCEWICZ, MICHAŁ TOMASIK

eprasa.pl 54c79bd13b

To nie klęska

Radosław Markowski, profesor nauk społecznych, o wyniku wyborów prezydenckich i co z tego wynika dla dzisiejszego obozu władzy.

JAKUB MAJMUREK: **– Trwa dyskusja nad przyczynami klęski Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Czy była ona pana zdaniem efektem błędów w kampanii, niepopularności rządu Tuska, czy może zdecydowanego przesunięcia polskiego społeczeństwa na prawo?**

RADOSŁAW MARKOWSKI: – Na pewno nie był to ten ostatni powód. Badania Europejskiego Sondażu Społecznego, najlepsze, jakie są dostępne, pokazują, że biorąc pod uwagę niemal wszystkie możliwe wskaźniki – poparcie dla prawa do aborcji, związków partnerskich, stosunek do imigrantów, relacje państwo – Kościół, obecność Polski w Unii Europejskiej – polskie społeczeństwo wcale nie jest konserwatywne i nacjonalistyczne. Wręcz przeciwnie: jest raczej liberalne, progresywne i kosmopolityczne, opowiada się za różnymi postępowymi rozwiązaniami w proporcjach 2 do 1, w najgorszym przypadku 5 do 4.

Skąd więc klęska Trzaskowskiego?

Używa pan już drugi raz określenia klęska, z którym bym się nie zgodził. Sięgnijmy do konkretnych liczb. W 2023 r. PiS wygrał z Koalicją Obywatelską różnicą 4 pkt proc. Teraz kandydat PiS wygrał z kandydatem KO różnicą 1,78 pkt proc.

Zabrakło mu jednak tych 370 tys. głosów. Dlaczego?

W tej kampanii mieliśmy z jednej strony kandydata, który doskonale nadawał się na prezydenta, ale miał fatalnie zrobioną kampanię, ze sztabem działającym czasem jak we mgle; z drugiej kandydata, który zupełnie nie nadawał się na najwyższy urząd w kraju, ze świetnym sztabem, który – rozpatrując to czysto w kategoriach politycznego rzemiosła – naprawdę zasługuje na jakiegoś kampanijnego Nobla za to, że z kogoś takiego jak Karol Nawrocki byli w stanie stworzyć przyszłego prezydenta Polski.

Porażka jest więc winą słabej kampanii i błędów sztabu?

Nie chcę się bawić w autocytaty, ale można sprawdzić, że gdy Platforma wybierała kandydata, to przestrzegałem, że najgorsze, co można zrobić, to postawić na Trzaskowskiego, a potem zmuszać go, by w kampanii udawał konserwatystę. On się do tego zupełnie nie nadaje. Jaki był sens fotografowania go z Zenkiem Martyniukiem, przecież na coś takiego wyborca może zareagować, tylko pukając się w głowę. Jeśli Platforma miała pomysł, by zaprezentować się jako bardziej cywilizowana prawicowa alternatywa dla PiS, to wtedy oczywistym wyborem był Radek Sikorski.

Sam pomysł, by w kampanii skręcić lekko w prawo, był dobry?

Trzaskowski szukał elektoratu tam, gdzie go nie było, a skręcając w prawo, ▶

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ zraził do siebie takie grupy, jak wykształcone, zaradne kobiety – stracił około miliona takich wyborczyń. Tymczasem przykłady ostatnich wyborów z USA, Kanady czy Austrii pokazują, że to wykształcone kobiety są największą ostoją demokracji – podczas gdy mężczyźni mają skłonność do głosowania na populistyczną prawicę. Kobiety i tak zagłosowały w większości na Trzaskowskiego – 52,8 do 47,2 proc. – ale nie w wystarczającej liczbie, by zapewnić mu zwycięstwo.

Myślę, że ten pomysł, by skręcić w kampanii w prawo, wynikał przede wszystkim ze sposobu myślenia Donalda Tuska i jego otoczenia. Tusk wrócił do kraju po 10 latach nieobecności i otoczył się tymi samymi ludźmi, co w 2007 r. Premier jest chyba święcie przekonany, że polskie społeczeństwo jest głęboko konserwatywne. To jest pozbawiona podstaw wiara, bo naprawdę wyniki najlepszych badań pokazują, że tak nie jest.

Oprócz problemów z kampanią wskazałbym na jeszcze jedno. PiS w 2015 r. zapewniło sobie samodzielną większość, zdobywając 5,71 mln głosów przy 30,6 mln uprawnionych do głosowania – niecałe 19 proc. poparcia przełożyło się na 51 proc. mandatów. Od tego czasu PiS bardzo skutecznie – w czasie swoich rządów wykorzystując też do tego zasoby państwa – wyciska maksimum z tego, co jest wyborczo do wyciśnięcia z bardziej tradycjonalistycznego elektoratu. Tymczasem elektorat liberalno-progresywny, choć wyraźnie liczniejszy, pozostaje permanentnie niezmobilizowany – 2023 r. był tu wyjątkiem.

Jakie są powody tej różnicy mobilizacji?

Elektorat progresywny jest lepiej wykształcony, bardziej zaradny, lepiej radzi sobie na rynku pracy, a przez to ma większe wymagania wobec swoich polityków. Jemu nie wystarcza prosta opowieść o celach, pyta o środki, alternatywy, skutki uboczne, jest kapryśny i łatwiej się rozczarowuje. Tymczasem prawie trzy czwarte osób z podstawowym wykształceniem i dwie trzecie bezrobotnych głosowało na Karola Nawrockiego. Prawica oburza się, gdy przytaczam tę statystykę, mówi, że „obrażam naród". A ja nikogo nie obrażam, tylko przywołuję obiektywne fakty. Osoby słabiej wykształcone, bezrobotne, często poza rynkiem pracy, potrzebują pomocy państwa i naszego solidaryzmu, ale jest to w znacznej części elektorat, do którego proste „czarno-białe" obrazy łatwiej trafiają; on nie dopytuje o szczegóły, jemu znacznie częściej po prostu chodzi o ochronę jego statusu przez państwo.

Łatwo mobilizują się też głęboko konserwatywni wyborcy, którzy przerażeni zmianami, chcą bronić swojego odchodzącego świata. Podobny proces obserwujemy w Stanach, gdzie część białych Amerykanów nagle zaczyna się obawiać, że przestają być większością, że ich kultura przestaje być dominująca, i mobilizują się wokół Trumpa, który obiecuje zatrzymać ten proces.

U nas coś takiego dzieje się z „Polakiem katolikiem". Dane pochodzące z Instytutu Badań Statystyki Kościelnej pokazują, że w ciągu ostatnich 30 lat mamy w Polsce powolny, ale znaczący spadek religijności, że katolicyzm traci status czegoś absolutnie normotwórczego dla narodowej wspólnoty. To skupia przywiązane do religii – coraz mniej liczne – osoby wokół partii obiecującej opóźnienie, a nawet zatrzymanie tych zmian. Oni są w stanie swojej partii wybaczyć naruszenia reguł demokratycznej gry. Wiele ostatnio popularnych w politologii eksperymentów jednoznacznie wskazuje, że nawet przekonani liberalni demokraci przyzwalają na łamanie jej zasad, gdy chodzi o ich istotne interesy lub elementy tożsamości.

Jednocześnie na Nawrockiego czy kandydatów radykalnej prawicy zagłosowali nie tylko starsi wyborcy broniący odchodzącego świata, ale też młodzi – Mentzen wygrał w pierwszej turze w grupie 18–39 lat, w tej samej grupie w drugiej turze Trzaskowski przegrał.

Tak, tylko pamiętajmy, że w drugiej turze trudno mówić o jakichś spójnych elektoratach popierających jednego kandydata. W drugiej turze mamy mobilizację negatywną, głosowanie przeciw, a nie za.

Przeformułuję więc pytanie: dlaczego młodzi uznali, że Nawrocki będzie mniejszym złem niż Trzaskowski?

Zacznijmy od najmłodszych, od grupy 18–25 lat. Mamy to bardzo dobrze udokumentowane w wielu badaniach: to jest grupa, która chce trochę zadymy, czegoś anarchistycznego, często szuka dróg na skróty. Badania Polskiego Generalnego Studium Wyborczego dobrze dokumentują zachowania tej grupy na przestrzeni dekad i ona zawsze wybierała radykalnych kandydatów – kiedyś masowo głosowała na Janusza Korwin-Mikkego. I ci ludzie dziś w pierwszej turze poparli najbardziej „wyrazistych": Mentzena i Zandberga.

Elektorat Konfederacji to jednak nie tylko osoby w grupie 18–25 lat, ale też 30-latkowie.

Przestrzegam przed wielkimi kwantyfikatorami: nie ma czegoś takiego jak elektorat Konfederacji. On dzieli się na różne, niewiele mające ze sobą wspólnego grupy. Z jednej strony mamy tam młodych sfrustrowanych mężczyzn – i oni głosują na populistyczną prawicę w oczekiwaniu, że będzie ich chronić przed zmianami na rynku pracy albo przed postulatami radykalnych feministek. Z drugiej – młodych ludzi, którzy odnieśli względny materialny sukces i popierają Mentzena, bo są sfrustrowani ekonomicznym populizmem wszystkich innych partii, w tym Platformy Obywatelskiej.

Dlaczego ta druga grupa zagłosowała przeciw „liberałowi" Trzaskowskiemu? Czy mógł tu zadziałać mechanizm: skoro cały establishment atakuje Nawrockiego, to z przekory go poprę?

To jest coś, co muszą zbadać kompetentni psychologowie polityczni. Ja stawiałbym hipotezę, że istotną rolę odegrała niechęć do tego, co reprezentował sobą Trzaskowski i jego sztab, ale też lęk przed zdobyciem „monopolu władzy" przez obecną rządową większość. To mógł być też argument działający na wyborców Zandberga, sam lider Razem zresztą bardzo nakręcał niechęć do Tuska i Trzaskowskiego po lewej stronie.

Przyznam, że dla mnie największym zaskoczeniem tych wyborów, większym nawet niż skala poparcia Brauna, jest to, że 16,5 proc. wyborców Zandberga i prawie 12 proc. wyborców Biejat – głosujących w drugiej turze – poparło Nawrockiego. A więc polityka niechętnego większości progresywnych postulatów.

Choć przypomnę, że już w 2015 r. to Zandberg i Partia Razem umożliwiły PiS samodzielne rządy, dzieląc lewicę. Ponad 12 proc. zmarnowanych głosów w tamtych wyborach to zasługa podzielonej lewicy. Dziś znów Zandberg podzielił lewicę, gdy była okazja, by wejść do rządu i coś realnie zmienić, to zupełnie z niej nie skorzystał. On pod wieloma względami – obiektywnie, choć zapewne nie intencjonalnie – jest w Polsce wielkim zasobem skrajnej prawicy.

Większość rządowa debatuje, jak zareagować na przegrane wybory prezydenckie, czy rząd ma skręcić w prawo, czy w lewo? W prawo mocno ciągnie

eprasa.pl 54c79bd13b

PSL; odejście od lewicowej agendy ma też zapowiadać Tusk. To dobra interpretacja wyników wyborów?

Wszystko, co wiem o społeczeństwie polskim, wszystko, co pokazują badania, mówi mi, że teza zgłaszana przez Władysława Kosiniaka-Kamysza, Marka Sawickiego czy w bardziej miękkiej wersji przez Donalda Tuska – że polskie społeczeństwo jest konserwatywne i rząd musi skręcić w tę stronę – jest po prostu błędna.

Czyli rząd powinien się zdecydować raczej na skręt w stronę centrolewicową?

Nie tyle na skręt, bo tam już był, tylko porzucił ten kierunek w kampanii prezydenckiej. Ale tak, badania pokazują, że tam właśnie jest elektorat, o który może zawalczyć obecna koalicja, nie po prawej stronie. Powtórzę: badania Europejskiego Sondażu Społecznego pokazują, że w Polsce mamy wyraźne poparcie dla troski o klimat, dla związków partnerskich, limitowania publicznej roli Kościoła itd., choć społeczeństwo ciągle wyraźnie się nie godzi na adopcję dzieci przez pary jednopłciowe. Kiedy jednak przed wyborami w 2023 r. robiliśmy badania, to wychodziło z nich, że dla kobiet od spraw aborcji ważniejsze jest to, że żyjemy w kraju bezprawia. Wydaje się, że koalicja w ogóle zlekceważyła wagę rozliczeń władzy z lat 2015–23 i zbyt łagodnie podeszła do tematu.

Czy wygrana Nawrockiego jednak ostatecznie nie zamyka projektu „rozliczeń PiS"? Wszelkie ustawy próbujące np. uporządkować sytuację w KRS zostaną przecież zawetowane. Podobnie jak te realizujące progresywną agendę.

Ja na miejscu Tuska uchwalałbym teraz i wysyłał na biurko Nawrockiego kolejne progresywne ustawy. Niech je wetuje, niech społeczeństwo zobaczy w ciągu następnych dwóch lat, z czyjej winy w kraju blokowane są konieczne zmiany.

Przyznam, że nie rozumiem pretensji do Tuska, że czekał na zmianę prezydenta. To przecież jasne, że w sytuacji gdy pewne było, że Duda blokował pewne rzeczy, warto było poczekać na przyjaznego lub neutralnego prezydenta. I całkiem nie zgadzam się z oceną, że ten rząd nie ma osiągnieć; lista jest długa, nie sposób choćby pominąć odblokowania KPO, in vitro, wzrostu płac realnych, 800+, psychiatrii dla dzieci, języka śląskiego, kwestii religii w szkołach etc.

Czy wynik wyborów nie sugeruje, że to była błędna taktyka? Może należało zarzucić Dudę tymi ustawami?

Może. Ale pamiętajmy, że rząd przejął władzę dopiero 13 grudnia 2023 r., realnie zaczęli rządzić na początku 2024 r. Chwilę później mieliśmy wybory lokalne i europejskie. Nie chcę wszystkiego bronić, ale wyniki wyborów europejskich i samorządowych wskazywały, że KO znajduje się na fali wznoszącej i dawały nadzieję na korzystny wynik wyborów prezydenckich.

Na kandydatów PO i PiS w pierwszej turze padło najmniej głosów od 2005 r. Czy to jest znak, że Polacy są coraz bardziej zmęczeni trwającym od 20 lat duopolem? Czy te wybory otwierają drogę do jakiejś głębszej przebudowy sceny politycznej?

Mówi pan o zmęczeniu duopolem. On trwa jednak dopiero 20 lat. Co mają powiedzieć Amerykanie czy Brytyjczycy, gdzie system dwupartyjny trwa 200 lat, a podział na Partię Pracy i Konserwatystów ponad 100. 20 lat to zaledwie jedno pokolenie. I poza ośmioma latami PiS rządy w tym okresie zawsze miały koalicyjny charakter, choć i to była koalicja z dominującym aktorem.

Zanim odpowiem na pana pytanie, zrobię pewną dygresję: demokracja jest systemem, który może trwać tylko dzięki zgodzie przegranych. Bo rządy demokratyczne są najczęściej rządami mniejszościowymi, jeśli spojrzymy na wszystkich uprawnionych do głosowania. Mniejszość może wygrywać, bo większość jest od niej mniej zdeterminowana i bardziej podzielona. A jednocześnie godzi się z porażką, bo wie, że w następnym cyklu wyborczym, jeśli bardziej się zmobilizuje, może odwrócić swoją porażkę.

Dlatego wybory nie są żadnym świętem demokracji. Po nich większość zawsze czuje się przegrana, sfrustrowana, w najlepszym wypadku zmuszona do poparcia jakiegoś mniejszego zła.

I czy teraz tę sfrustrowaną mniejszość mają szanse zagospodarować siły spoza duopolu? Na przykład Konfederacja?

Mimo odejścia Brauna Mentzen był w stanie osiągnąć bardzo dobry wynik w pierwszej turze. I powiem panu, że ja mniej boję się przyszłości, w której rządzi wolna od Brauna Konfederacja niż jakaś kontynuacja PiS. Bo nie wyobrażam sobie większego poziomu defraudacji publicznego mienia i dewastacji prawnej niż to, co widzieliśmy w latach 2015–23.

Żeby była jasność: miałbym kłopot z głosowaniem na tę partię, ale Konfederacja, z zapleczem wśród prowadzących swoje firmy 30–40 latków, mogłaby być siłą przeciwstawiającą się ekonomicznemu populizmowi. Mogłaby rozpocząć bardzo potrzebną nam dyskusję, kto w Polsce wkłada do wspólnego garnka, a kto z niego wyjmuje.

Bo to jest też istotny wymiar tegorocznych wyborów; spójrzmy, gdzie odnotowujemy nadreprezentację pewnych grup: Nawrocki wygrał tylko na wsi, Trzaskowski nawet w najmniejszych miastach (choć oczywiście Nawrocki ma tam też poparcie); Nawrocki wśród ludzi bezrobotnych, z wykształceniem podstawowym i zasadniczym, Trzaskowski wśród tych z wyższym. Polska realnie wytwarzająca dochód narodowy zagłosowała na innego kandydata niż ta, która korzysta z jego redystrybucji.

By była jasność: te grupy społeczne ponadnormatywnie wspierające PiS i Nawrockiego zasługują tak samo jak inne na polityczną reprezentację, na pochylenie się nad ich sytuacją – często niełatwą – jak i na wsparcie. Ale tym bardziej potrzebna jest dyskusja o źródłach tego wsparcia i jego zakresie. I właśnie elektorat Konfederacji zdaje się być szczególnie wrażliwy na te sprawy.

Najlepszy wynik w wyborach prezydenckich od 2010 r. zdobyli w sumie przedstawiciele lewicy. To też jakiś znak na przyszłość?

Z badań wynika, że w Polsce jest miejsce na partię nowoczesnej socjaldemokracji. Poglądy lewicowe – a nie tylko liberalne – deklaruje nawet do 35 proc. wyborców. Więc partia centrolewicowa powinna spokojnie zbierać 20 proc.

Ona mogłaby być siłą nowoczesnej redystrybucji, budującej uniwersalne państwo dobrobytu, tak jak w Skandynawii, państwo inwestujące w infrastrukturę i usługi publiczne, a nie to, co zaproponował PiS w postaci klientelizmu udającego państwo opiekuńcze. Bo nowoczesna polityka społeczna to nie jest wkładanie ludziom pieniędzy do kieszeni, by głosowali na konkretną partię.

Pomyślałem, że kimś, kto mógłby stanąć na czele takiej odnowy lewicy, mógłby być Aleksander Kwaśniewski. On oczywiście w pełni zasłużył na polityczny spokój i cieszenie się opinią najlepszego polskiego prezydenta. Ale być może nadszedł czas, by raz jeszcze podjął polityczne ryzyko.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

eprasa.pl 54c79bd13b

Polska kibolska

MARCIN PIĄTEK

Dzięki skuteczności policji o chuligańskie ustawki coraz trudniej, a najgroźniejsze gangi zostały rozbite. Jednak radykalni kibole mają ogromną satysfakcję: prezydentem kraju został jeden z nich.

W politycznych kampaniach przerabialiśmy już wiele tematów, ale tego, że staną się nim kibolskie ustawki, w których brał udział jeden z kandydatów na prezydenta, jeszcze nie było. Okazało się, że wśród licznych grzechów z przeszłości prezydenta elekta Karola Nawrockiego ten nie był najcięższy, zaś

© MIKOŁAJ KAMIEŃSKI/FORUM

eprasa.pl 54c79bd13b

jego sprawni piarowcy przekuli ten epizod sprzed lat w dowód, że mamy do czynienia z silnym i odważnym człowiekiem. A ustępujący prezydent Andrzej Duda w jednym z wywiadów oznajmił, że przecież takie potyczki odbywają się na zasadach dżentelmeńskich i „że nie jest to sytuacja, by mówić, że komuś się dzieje jakaś straszna krzywda".

Policjant ze Śląska, zorientowany w rozbijaniu stadionowej bandyterki: – *Każdy mecz to impreza podwyższonego ryzyka, weekendy w robocie, nadstawianie karku, stres, bo nie wiadomo skąd nadleci kamień. Ustawki jako bójki są ścigane z urzędu, ale to przede wszystkim tam zdobywa się chuligańskie szlify. Kto się sprawdzi, dostaje przepustkę do bojówek, skąd już często prowadzi bardzo krótka droga do poważnej przestępczości: narkotyków, porwań, napadów, stręczycielstwa, a nawet zabójstw. To tyle w kwestii bagatelizowania ustawek przez prezydenta Dudę.*

Policjant z Warszawy: – *Do ustawek nie idzie byle kto. Przesiadujący na siłowniach, regularnie uprawiający sporty walki, umiejący się naparzać, bo w końcu wygrana w takim starciu to sprawa chuligańskiego honoru. 90 procent z tych, których legitymowaliśmy, było już wcześniej notowanych.*

„Tusku, matole, twój rząd obalą kibole"

Fanatycy z trybun zacierają ręce: pierwszą osobą w państwie został jeden z nich. Nigdy nie ukrywali swego politycznego zaangażowania po narodowo-konserwatywnej stronie. Dla radykałów świat jest czarno-biały. Poza tym, że ich wspólnym wrogiem jest policja, zieją nienawiścią do mniejszości seksualnych i etnicznych, o których nie mówią inaczej niż „pedalstwo" i „czarnuchy", a mianem lewaków określają wszystkich, którzy sprzeciwiają się kibolskiej wizji Polski, czyli kraju jednolitego etnicznie, wrogiego imigrantom, arcysuwerennego, trwającego w silnym sojuszu z Kościołem, kultywującego pamięć historycznych bohaterów oraz chlubne karty z historii Polski. No bo innych przecież nie było, a kto uważa inaczej, ten zdrajca.

Swe poglądy demonstrują na stadionach, podczas Marszu Niepodległości, licznych uroczystości patriotycznych (zwłaszcza ku czci żołnierzy wyklętych otoczonych w tym środowisku kultem), atakując marsze równości, jak również w czasie dorocznych kibicowskich pielgrzymek na Jasną Górę, organizowanych przez księdza Jarosława Wąsowicza, wywodzącego się z Gdańska i dobrze znającego Karola Nawrockiego. Gdy już się tam wymodlą pod świętym obrazem, odpalają na błoniach race i krzyczą, że „na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści", a „czerwoną hołotę" będą gonić „raz sierpem, raz młotem". Sami uważają się po prostu za „antykomunistów". To dalekie echo przeszłości. W PRL większość klubów była resortowa, zaś na stadionie Lechii od lat 70. wyraźnie pulsowała nienawiść wobec władzy ludowej, która kazała strzelać do robotników na Wybrzeżu. Demonstracje z trybun często przenosiły się na ulice, a stadion Lechii był uważany za trzeci, obok kościoła św. Brygidy i Stoczni Gdańskiej, bastion antykomunistycznego oporu. Szalikowcem Lechii był wtedy Donald Tusk.

W wolnej Polsce szlachetną legendę Lechii przykrył brunatny cień ekstremistów, którzy na gdańskim stadionie wywieszali portrety Rudolfa Hessa, krzyczeli „Guantanamera, Gdańsk to jest miasto Hitlera" i sławili Ku Klux Klan. Ostatnio ich bohaterem wyeksponowanym na banerach został Janusz Waluś, zabójca czarnoskórego przywódcy ruchu wolnościowego w RPA; zresztą zagościł również na innych stadionach.

W „Brunatnych księgach" publikowanych od kilkunastu lat przez walczące z rasizmem i ksenofobią stowarzyszenie Nigdy Więcej roi się od przykładów gloryfikowania przez kibiców ideologii nazistowskiej, rasistowskiej, szerzenia antysemityzmu, nawoływania do przemocy.

Badacze kultury stadionowej twierdzą, że identyfikacja kibiców z tym radykalizmem bywa powierzchowna, że wielu przejmuje te hasła bezrefleksyjnie, kieruje się instynktem stadnym albo po prostu nie ma odwagi, by przeciwstawić się nadającym ton napakowanym karkom z bojówek. Nikt nie pamięta przypadku, by to któryś z kibiców zdjął wyjątkowo haniebny baner albo żeby „normalna" część stadionu, tzw. niedzielni kibice, gwizdała, słysząc antysemickie hasła.

Stadiony zarówno w Polsce, jak i w całej Europie są wyraźnie przechylone na prawo. Kibicom aktualnie najbliżej do Konfederacji, co wpisuje się też w silnie obecny w tym środowisku nurt wsparcia dla partii antysystemowych. A że przy okazji „piątka Mentzena", czyli nie dla podatków, Unii Europejskiej, gejów, Żydów i aborcji, z grubsza rzecz biorąc się zgadza, tym lepiej.

Marek, ultras z Żylety na stadionie Legii Warszawa: – *To kwestia czasu, aż dojdą do władzy i zrobią wreszcie w Polsce porządek, pogonią wszystkich darmozjadów i miękiszonów* – twierdzi. Mówi, że głosował jak zdecydowana większość towarzystwa z trybun: w pierwszej turze za Mentzenem, w drugiej za Nawrockim, czyli przede wszystkim przeciw Tuskowi. – *Żeby wiedział, że wymyślone kilkanaście lat temu hasło „Donald matole, twój rząd obalą kibole", jest ciągle aktualne. Nienawidzimy go od czasów, gdy przed Euro 2012 zaczęła się inwigilacja, śledzenie, nękanie za byle co, że tylko przypomnę słynną akcję „Widelec", gdy ponad 700 kibiców Legii zostało zatrzymanych pod zarzutem udziału w zbiegowisku, a koronnym dowodem ich morderczych instynktów był znaleziony u kogoś w tłumie widelec. Rozwożono ich potem po komisariatach chyba w całym Mazowszu, stawiano przed wyborem: albo pisemne przyznanie się do zarzutów, albo areszt. Niektórzy z zatrzymanych relacjonowali, że zostali pobici, że nie pozwolono im korzystać z toalety, że nie dostali wody ani jedzenia. Pały* (policja – przyp. red.) *wtedy triumfowały, bo dostały wolną rękę. Mieli nas spacyfikować, żeby w czasie turnieju był spokój.*

Sprawy za akcję „Widelec" trwały potem latami i zakończyły się kompromitacją prokuratury: przygniatająca większość zatrzymanych wówczas kibiców Legii została uniewinniona, niektórzy skierowali pozwy o odszkodowania za bezprawne zatrzymania i w związku z przewlekłością postępowania. I wygrali. Mistrzostwa faktycznie minęły spokojnie, poza bijatyką z gośćmi z Rosji przed meczem obu reprezentacji na Stadionie Narodowym. – *Skrzyknęli się wtedy kibice różnych drużyn. Ale w imię hasła „bić Ruska" został ogłoszony chwilowy pakt o nieagresji* – opowiada były policjant z warszawskiego wydziału do spraw walki z pseudokibicami.

Roszady w triadach

Pakt o nieagresji obowiązywał również podczas meczów reprezentacji Polski, ale rasowi chuligani stracili nimi zainteresowanie, głównie z powodu lepszego zabezpieczenia imprez oraz wszechobecnego monitoringu. Pogardliwie wyrażali się, że są to imprezy dla „pikników". Symbolicznie położyli kres zawieszeniu broni podczas Euro 2016 w Marsylii. To był pokaz siły nowej koalicji ultrasów spod znaku Wisły Kraków (Sharks) oraz Ruchu Chorzów (Psycho Fans), ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ którzy postanowili wyrównać stare porachunki z odwiecznymi wrogami oraz z zaskoczenia poturbować swoich niedawnych „braci po szalu", z którymi przestało już być im po drodze.

Jeszcze kilkanaście lat temu mapa chuligańskich zgód była klarowna. Rządziły trzy wielkie triady. Lechia Gdańsk-Śląsk Wrocław-Wisła Kraków, Legia Warszawa-Zagłębie Sosnowiec-Pogoń Szczecin oraz Lech Poznań-Arka Gdynia-Cracovia. Plus małe, drugo-, trzecioligowe przystawki. Przetrwała tylko ta ostatnia, wzmocniona sojuszem z ŁKS Łódź. W Krakowie zasady chuligańskiego fair play już dawno poszły w odstawkę – wojna między Wisłą a Cracovią szła na noże, tasaki i maczety. Ginęli członkowie chuligańskiej wierchuszki, ale również stawiający w bojówkach dopiero pierwsze kroki. Ci, którzy przeżyli, milczeli jak zaklęci na temat okoliczności napadu.

Gorąco było na Górnym Śląsku, z uwagi na mnogość klubów, a strefy wpływów nie ograniczały się do konkretnych miast, ale przecinały i krzyżowały wewnątrz nich, jak np. w Świętochłowicach i Rudzie Śląskiej. Nienawiść buzowała głównie między fanatykami Ruchu Chorzów i Górnika Zabrze. W książce „Wojny niebieskie", szokującej opowieści z perspektywy członków chorzowskich Psycho Fans, autor Marcin Pietraszewski przypomina, że reguła oko za oko zaczęła obowiązywać po tym, jak jeszcze pod koniec lat 90. bandyci z Górnika zakatowali Remiego, maturzystę kibicującego Ruchowi. Gdy niespełna 10 lat temu członkowie bojówki Psycho Fans w kilkanaście sekund pobili na śmierć jednego z przywódców zabrzańskiej Torcidy, Dawida Pastora, wojna rozgorzała na całego.

Stadionowa chuliganerka wyżywała się jednak przede wszystkim w ustawkach. Miały one swoje reguły – walka na gołe pięści, ochraniacze na zęby dozwolone, pokonanych nie wolno „dobijać", ale muszą zejść z placu boju – co nie zmieniało faktu, że były niezwykle brutalne; zdarzało się, że nie wszyscy wracali z nich żywi. Uczestnicy prowadzili swój ranking pojedynków i przez lata miano najmocniejszej ekipy dzierżyli kibole Lecha Poznań. Ich pozycją zachwiała dopiero porażka w ustawce z Lechią Gdańsk, tej zresztą, w której brał udział – po stronie Lechii – Karol Nawrocki. Poznaniacy tłumaczyli potem, że dostali propozycję z zaskoczenia, na polu walki stawił się ich drugi skład, tymczasem w gdańskiej bandzie, oprócz regularnej chuligańskiej bojówki byli rugbyści, zapaśnicy i ludzie z półświatka.

Śląski policjant: – *Do ustawek dochodzi coraz rzadziej i są coraz słabiej obsadzone. Rozpracowanie środowiska chuliganów przez policję, błyskawiczna reakcja na sygnały o umówionych bójkach, robią swoje. Kiedyś na miejscu legitymowało się po 200 osób z każdej strony, teraz spotyka się co najwyżej po 50.*

Hajs, fury, dragi, laski

Przeskok od obstawiania dyskotek i kasyn, czy załatwiania panienek do towarzystwa (o czym obecny prezydent też zdaje się coś wiedzieć) do zakładania własnych gangów był kuszący. Po co ganiać się z maczetami, skoro można zarabiać krocie na narkotykach, kradzieżach i karuzelach vatowskich? A potem zainwestować w legalne interesy. Gdy starzy mafiosi z Górnego Śląska skończyli odsiadki i po wyjściu na wolność zorganizowali spotkanie z członkami Psycho Fans, żeby zorientować się co do ewentualnej współpracy, w krótkich żołnierskich słowach usłyszeli, że teraz rządzą Psycho, którzy zlecenia mogą dawać, a nie brać.

Marcin Pietraszewski: – *Przywódcy Psycho Fans okazali się cynikami i oszustami, wyrachowanymi do granic. Wmawiali małolatom, że kibicowski honor jest święty, że sojusze są nienaruszalne, że za barwy trzeba w razie czego oddać życie, ale też zabić, a sami w tajemnicy robili interesy z liderami znienawidzonych ekip. Młodzi trochę tego nie ogarniali, jednak sami chcieli awansować na Psycho już nie dzięki wjeżdżaniu do wrogich dzielnic i malowaniu klubowych symboli, ale dzięki grubszej robocie, np. przemytowi narkotyków. Jeśli się dobrze spisali albo jeśli wpadli i nie dali się złamać podczas przesłuchań, po jakimś czasie adwokaci wyciągali ich zza krat. W nagrodę mogli liczyć na skromny udział w torcie, np. swój lokal do obstawy.*

Tak realizowały się marzenia chłopaków z patologicznych, biednych chorzowskich dzielnic, chorych na alkohol, przemoc domową i brak perspektyw. Na myśl o tym, że zostaną Psycho i będą wreszcie mieli *hajs na fury, dragi i laski* (jak mawiał bohater „Wojen niebieskich"), świeciły im się oczy.

Zorganizowana przestępczość, przede wszystkim przemyt i handel narkotykami, skusiła też bandytów spod znaku Wisły i Cracovii, a krakowska wojna futbolowa rozgorzała z nową siłą, tym razem o podział rynku. – *To właśnie z myślą o wspólnych interesach zawiązał się sojusz Sharks i Psycho Fans. Z tych samych powodów niedawno układ Widzew-Ruch-Wisła został poszerzony o Pogoń Szczecin. Pogoń ma zgodę z kibicami Feyenoordu Rotterdam, a Rotterdam to przecież największy port w Europie. Dlaczego silne ekipy GKS Katowice i Zagłębia Sosnowiec mają zgody odpowiednio z JKS Jarosław i Czuwaj Przemyśl, ekipami trzeciorzędnymi? Bo Jarosław i Przemyśl są blisko ukraińskiej granicy, można położyć łapy na przemycie* – mówi śląski policjant.

Niedawno funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego zatrzymali osiem osób powiązanych ze środowiskiem pseudokibiców pod zarzutem przemytu i produkcji narkotyków, jak również organizowania przemytu nielegalnych imigrantów, co jak na dłoni pokazuje obłudę tego środowiska.

Wojny domowe

Do brudnych interesów wchodzi kolejne już pokolenie. Stare gangi Psycho Fans i Sharks zostały bowiem już kilka lat temu rozbite przez policję. Twardzi w gadce o chuligańskiej omercie zmiękli, gdy skonfrontowano ich z zarzutami, dowodami oraz wizją wieloletniej odsiadki. Na współpracę z prokuraturą poszli przywódcy gangów, w tym również owiany złą sławą Misiek, który zaistniał w ogólnopolskiej świadomości pod koniec lat 90. jako ten, który rzucił nożem w głowę Dino Baggio podczas meczu Wisły z Parmą. Ich zeznania pogrążyły wielu niedawnych kumpli.

Na opowieściach skruszonych kiboli opierają się również sprawy, w których zarzuty o handel narkotykami postawiono członkom bojówek m.in. Cracovii, Lechii, Legii i Lecha. Spieszyło im się do szybkich i łatwych pieniędzy, ale jeśli chodzi o deprawację, nie mogą się równać z działającymi ramię w ramię Sharks i Psycho Fans. – *Planowali zabójstwa, zamach na prokuratora prowadzącego sprawę przeciw Psycho, podpalenie sądu, usiłowali storpedować proces, zabijając Balusia* (jednego z przywódców chorzowskiego gangu – przyp. red.). *Strzelali do niego z rakietnic, ale nie trafili* – opowiada Pietraszewski. Sycylia się kłania.

W Cracovii chwilowo największe zakapiory bardziej niż wojną ze znienawidzoną Wisłą są zajęci wewnętrznymi walkami o podział schedy po zatrzymanych przywódcach ich bojówki Jude Gang. Noże i maczety znów idą w ruch, tyle że nawet między kibicami noszącymi te same barwy.

eprasa.pl 54c79bd13b

MAREK KWIATKOWSKI

Układy z trybunami

Zagorzali kibice narzekają, że są przez opinię publiczną traktowani niesprawiedliwie, wrzucani do jednego worka z napisem „stadionowe bydło", zawsze obsadzani w roli winnych wywoływania burd i zadym, nikt nie pisze zaś o policyjnych prowokacjach oraz o tym, że kibice wyciągają swoje kluby z dna w ligach okręgowych (*casus* np. Widzewa i Lechii), pomagają potrzebującym i organizują akcje charytatywne. Prawdą jest, że ultrasi od meczowych opraw często nie dostępują „zaszczytu" wstąpienia do chuligańskiej bojówki, a wielu po prostu wcale się tam nie garnie. Ale bywa, że media wpadają też w pułapkę fascynacji. – *Tak stało się choćby w przypadku emitowanego przez Canal+* (transmitującego mecze Ekstraklasy – przyp. red.) *serialu „Niebieskie chachary" o fanach Ruchu. Obok zwykłych, zapalonych kibiców występowali przed kamerami również bandyci z Psycho Fans* – zauważa Marcin Pietraszewski.

– *Problem polega na tym, że choć ci radykałowie i przestępcy są na trybunach w mniejszości, to sieją postrach, nikt im nie podskoczy. Nadają ton, jak wtedy, gdy wywieszają ogromne transparenty „pozdrowienia do więzienia". Ale już hasła i okrzyki o wyraźnym zabarwieniu politycznym albo światopoglądowym, ziejące jadem i nienawiścią, często adresowane personalnie, to głos większości trybun zajmowanych przez najbardziej zagorzałych fanów* – uważa jeden z działaczy klubu Ekstraklasy.

Członek zarządu piłkarskiego klubu: – *Jeśli chodzi o policję, uważam, że polscy kibice nie mają prawa narzekać. Byłem na wyjazdach w paru krajach zachodniej Europy i na Bałkanach. Tam rozmawia się z kibicami przede wszystkim pałami i gazem.* Pytany o konieczność układania się z ultrasami, przymykania oczu na zabronioną na stadionach pirotechnikę i obraźliwe transparenty, oddania kibicom organizacji wyjazdów na mecze, w tym dystrybucji biletów, mówi: – *U nas jeszcze nie jest tak źle, są w Ekstraklasie kluby, w których kibole spod ciemnej gwiazdy przejęli stadionowy catering, prowadzenie oficjalnych sklepów z klubowymi gadżetami albo mają wpływ na wybór firmy ochroniarskiej. Najdalej zaszło to w Wiśle Kraków, gdzie swego czasu Sharksi de facto przeniknęli do władz klubu i korzystając z jego bazy, prowadzili interesy.*

Jego zdaniem krytykować układy z trybunami łatwo, będąc na zewnątrz. – *Znajomy działacz mówił mi, że lekko go zmroziło, gdy poproszony o dossier przywódców bojówki zobaczył, że to goście mający nazistowskie sympatie. Ale rozmawiać z nimi musi, bo mają posłuch na trybunach, potrafią zapanować nad tłumem, co już się nieraz przydawało, zwłaszcza podczas wyjazdów, gdy zadyma wisiała w powietrzu. Paru prezesów już próbowało pójść na zwarcie z fanatykami i jeszcze żaden nie wygrał. Najgorzej oczywiście mają ci, którym kibice wypowiedzieli otwartą wojnę z powodu braku wyników i fatalnych transferów. W Legii Darek Mioduski od paru lat siedzi na beczce prochu, która niebawem może eksplodować. Ultrasi już oficjalnie wezwali, by w proteście wobec tego, że od paru lat Legia, najbogatszy klub w Polsce, gra grubo poniżej oczekiwań i kontraktuje słabych piłkarzy, zbojkotować kupno karnetów na nowy sezon.*

Powtórka bez rozrywki

Ze stadionowym tłumem liczą się również politycy. Przede wszystkim lokalni. Finansują kluby, często zresztą pod przykrywką sponsorowania miasta albo regionu, angażują do roli dobroczyńców miejskie spółki, ale przede wszystkim budują i utrzymują nowe stadiony, nie bacząc na aktualny stan finansów albo wręcz na konieczność dodatkowego zadłużenia. Patronują lokalnym galom mieszanych sztuk walk, w których biorą udział członkowie chuligańskich bojówek. W trakcie kampanii wyborczej pojawiają się na meczach, przypominają o swoich zasługach i składają nowe obietnice.

To działa. Niejeden prezydent albo burmistrz zostali już wybrani kibicowskim głosami. A w Chorzowie kibice Ruchu od roku mają na fotelu prezydenta jednego z nich, Szymona Michałka. Startował z poparciem Polski 2050 i w najbardziej platformerskim mieście w województwie śląskim wygrał już w pierwszej turze. – *Organizował na trybunach sektor rodzinny, ale bawił się też do rana na weselu jednego z członków Psycho Fans, niejakiego Pepka, skazanego w pierwszej instancji na pięć i pół roku więzienia m.in. za przygotowanie ładunków zapalających, które miały eksplodować w sektorze kibiców Górnika Zabrze. Przypadkiem odkrył je jeden z ochroniarzy i tragedii udało się zapobiec. Przed wyborami kibice Ruchu zmobilizowali się w celu przeforsowania Michałka. Nie tylko nawoływali do tego na stadionie i w internecie, ale też zorganizowali akcję tymczasowego meldunku w Chorzowie, żeby wpłynąć na wyniki. A Rafał Śniechowski, kibic Ruchu, który koordynował meldunkowy zryw, w nagrodę został szefem miejskiej spółki wodociągowo-kanalizacyjnej* – opowiada Pietraszewski.

Po chorzowskich wyborach sensacyjny wynik komentowano jako efekt tego, że dotychczasowy prezydent Andrzej Kotala z PO stał się ofiarą niewybrednego hejtu ze strony zwolenników konkurenta (czyli kibiców Ruchu). Ale również tego, że Kotala przespał kampanię. Był pewien zwycięstwa, a jego ludzie tak bardzo starali się obrzydzić Michałka jako kibola, że wywołali w stosunku do niego odruch najpierw obrony, a potem poparcia.

Historia, jak widać, powtórzyła się w skali ogólnopolskiej. Jako farsa, która wcale nie jest śmieszna.

MARCIN PIĄTEK

O subkulturze kibolskiej czytaj też w rozmowie z Pawłem Demirskim na s. 90.

eprasa.pl 54c79bd13b

Hejt wagi ciężkiej

Urszula Chowaniec i Natalia Skoczylas, autorki książki „Grubancypacja", o dyskryminacji osób grubych, kulturze diety i skutkach presji na odchudzanie.

KATARZYNA KACZOROWSKA: **– Macie wagi w swoich łazienkach?**

URSZULA CHOWANIEC: – Nie.

NATALIA SKOCZYLAS: – Mam. Przyznam, że przez wiele lat było to dla mnie trudne doświadczenie – patrzeć na numerek na wadze, ale pracowałam nad sobą i zdecydowałam, że mogę czasami się zważyć. Mam doświadczenia gwałtownego tycia i chudnięcia. I dlatego lubię wiedzieć, że nic się gwałtownie nie dzieje. Poza tym, kiedy idę do lekarza, to wolę wiedzieć, ile ważę, żeby nikt mnie do ważenia nie zmuszał i nie uzależniał od tego konsultacji.

Byłyście pod presją swoich bliskich, że za dużo jecie, za mało się ruszacie i za dużo ważycie?

N.S.: Przybierać na wadze zaczęłam w klasie komunijnej. Byłam u lekarki w Centrum Zdrowia Dziecka, która zasugerowała wysłanie mnie na obóz, gdzie będę jeść marchewkę, dużo się ruszać i na pewno szybko schudnę. Nie pojechałam. Po raz pierwszy schudłam jakiś czas później. Ale wtedy było jeszcze mniej narzędzi pozwalających przeciwstawić się kulturze diety. A ja sama, nawet jak już wiedziałam, o co w niej chodzi, dalej w niej tkwiłam. Moje odchudzanie z przerwami trwało ok. 20 lat. Miałam prawie 30 lat, kiedy zauważyłam konsekwencje w postaci poważnych zaburzeń odżywiania, negatywnego myślenia o sobie i swoim ciele. Stwierdziłam, że wystarczy obwiniania siebie.

U.CH.: Statystyczna kobieta 17 lat życia poświęca na odchudzanie. U mnie trwało to 10 lat. Zawsze wiedziałam, że jestem większa niż rówieśniczki, ale nie miałam poczucia, żeby w moim otoczeniu to był temat. Zaczęło się po liceum, kiedy trafiłam do studium aktorskiego i usłyszałam, że aby mieć jakąkolwiek szansę w zawodzie, muszę się dopasować do standardu i te 20 kilo schudnąć. Schudłam więc, potem odzyskałam te 20 kilo, kariery nie było, a ja przy nie wiadomo którym podejściu do odchudzania odkryłam,

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 54c79bd13b

że intensywne metody nie działają już na mój organizm tak, jak przekonywała propaganda kultury diety. Jakby mówił mi: „Sorry, wystarczy". W tej presji nawet aktywność fizyczną traktowałam nie jak przyjemność, coś fajnego, tylko obowiązkowy koszt chudnięcia. W schyłkowej fazie mojego zaangażowania w kulturę diety bardzo intensywne odchudzanie się i równie intensywne praktykowanie różnych form udręki fizycznej praktycznie zabiło moje życie towarzyskie. I uznałam, że koniec z tym.

Kiedy jesteście w restauracji, ludzie patrzą, co macie na talerzu?

N.S.: Często obserwują, co jemy. Od kiedy pamiętam, jestem gotowa na zniesienie nie tylko spojrzeń, ale i np. nieprzychylnych komentarzy. Choć te ostatnie na szczęście zdarzają się rzadko.

U.CH.: Ale przykre interakcje z ludźmi zdarzają mi się w innym kontekście. Na przykład na stacji benzynowej jakaś kobieta zablokowała dystrybutor. Podeszłam i zapytałam, czy może odjechać, a ona mi wypaliła, żebym przestała się wkurzać, bo i tak jestem gruba i dostatecznie już szkodzę swojemu zdrowiu. Innym razem w kolejce do kasy zwróciłam uwagę wpychającej się przede mnie kobiecie i usłyszałam: „Ja przynajmniej nie jestem gruba". Ale ja nie przepraszam i nie uważam, że sformułowanie „gruba" jest obelgą. Co z kolei jest szokiem dla tych, którzy sobie na taką agresję pozwalają, bo są zdziwieni, że ja, gruba, się nie zamknę i nie położę uszu po sobie.

Opisujecie przykład modelki plus size Ewy Zakrzewskiej, która na fotografii na okładce pisma „Charaktery" była naga. I na którą wylał się w mediach społecznościowych za tę nagość hejt. Pod nazwiskiem obrażali ją nauczyciele, psycholodzy, pedagodzy…

N.S.: Hejt w mediach społecznościowych to codzienność grubych osób, a pretekstem jest zwykle troska o zdrowie. W swojej książce odnosimy się do artykułu, w którym autorki bardzo trafnie ujęły istotę tego problemu, pisząc, że grubość jest repozytorium lęków społecznych. To taka cecha wyglądu, której od lat, od wieków nawet, przypisuje się konkretne znaczenie i odpowiedzialność za konkretny problem.

U.CH.: Pod artykułami o naszej książce mamy teraz komentarze, które w ogóle nie dotyczą książki, tylko jakiegoś wyobrażonego konstruktu w głowie osoby, która postanowiła ulżyć swojej frustracji. Zakładam, że ten hejt jest o tych abstrakcyjnych tworach, bo chciałabym wierzyć, że ludzie nie są dla siebie bezinteresownie tak okropni.

Urszula Chowaniec – kulturoznawczyni, od 2016 r. zajmuje się grubością w kontekście kulturowym i społecznym. Pomaga firmom tworzyć produkty odpowiadające faktycznym potrzebom grubych osób, szkoli i doradza.

Natalia Skoczylas – prawniczka, ekspertka antyprzemocowa i antydyskryminacyjna, certyfikowana specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy domowej. Mówczyni TEDx Talks. Tworzą duet Vingardium Grubiosa nominowany w plebiscycie OFeminin InFluence Awards (2022), wyróżniony tytułem Kobiety Roku Glamour (2022) w kategorii e-aktywizm, przez „Wysokie Obcasy" umieszczone na liście Śmiałe 2021. Od 2021 r. prowadzą podkast i profil na Instagramie.

Jak wyglądało wasze dorastanie?

U.CH.: Od przedszkola wykorzystywałam to, że byłam większa od rówieśniczek. Byłam taką ochroniarką i szeryfką grupy. Rodzice byli wzywani do szkoły na dywanik, bo jak coś się działo, to wiadomo było, że Ulka znowu zrobiła dym. Bo jak trzeba było komuś spuścić manto, to wiadomo było, że tylko ja to zrobię. Nie bałam się stawiać starszym dzieciakom i klasowym łobuzom, bo uważałam, że jestem supersilna.

N.S.: Byłam wrażliwym, spokojnym dzieckiem, któremu zdarzyło się też być grubą osobą. Doświadczałam okropnego znęcania się w podstawówce, zwłaszcza od chłopaków, którzy udawali, że chcą się ze mną umówić. To znęcanie się przedłużała kadra pedagogiczna, zwłaszcza nauczycielki WF. Od jednej usłyszałam, że lepszej oceny niż trójka nie dostanę, bo grube dzieci nie zasługują na piątkę.

„Grubancypacja" to tytuł waszej książki z podtytułem „O grubości bez przepraszania". Ruch wyzwolenia grubych po polsku?

N.S.: Zacznijmy od tego, kto to jest gruby człowiek. To bardzo umowna kategoria, bo słowo „gruby" funkcjonuje z jednej strony jako inwektywa, ale z drugiej grubość to coś bardzo niedoprecyzowanego. Czasem ktoś czuje się źle ze sobą, z wyglądem i mówi: „Czuję się grubo". A to niekoniecznie oznacza, że ma większą masę ciała niż przeciętna.

U.CH.: Staramy się podejść do tematu od strony społeczno-politycznej, antydyskryminacyjnej i proponujemy się przyjrzeć cielesności z perspektywy osób, które są dyskryminowane z powodu wagi.

Czyli nie chodzi tylko o szkolne koszmary czy chamstwo w sklepie?

N.S.: Nie. Chodzi o sytuacje, kiedy nie mieszczę się ze swoim ciałem w kinie, bo są twarde podłokietniki. Albo nie mieszczę się na jednym siedzeniu w tramwaju. To oznacza, że te przestrzenie nie zostały zaprojektowane dla mnie. I jedyne, co mi zostało, to...

…zostać w domu, a więc zniknąć z przestrzeni publicznej. Co myślicie w takim razie o oszałamiającej karierze pewnego leku?

N.S.: To sprzedawanie iluzji, która jest jakąś formą społecznej stygmatyzacji. Tak zresztą działa cały biznes związany z dietami, suplementami, obozami odchudzającymi. Na tej presji na odchudzanie zarabia się dzisiaj ogromne pieniądze. Ale też ta presja pokazuje nam realne rozwarstwienie – zamożnych stać na cudowny lek i fantastyczne obozy, niezamożni mogą co najwyżej przestać jeść. Jestem na świeżo po serialu „Lekomania" o epidemii opioidów. Opowiada historię firmy, która postanowiła wykreować problemy, żeby potem sprzedawać lek w celu ich rozwiązania, ale tak naprawdę uzależnienia od niego. Wszyscy wiemy, do czego ▶

© KAROLINA JACKOWSKA (2)

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ to doprowadziło w Stanach Zjednoczonych. Moim zdaniem ten sam mechanizm dotyczy tzw. kultury diety.

U.CH.: Spójrzmy na restrykcyjne diety – bardzo rzadko osiągają tę skuteczność, o którą nam chodzi, czyli utratę wagi w dłuższej perspektywie. Najczęściej doprowadzają do rozchwiania układu hormonalnego, rozwinięcia się zaburzeń odżywiania, pogorszenia relacji z jedzeniem, spadku ogólnego zdrowia psychicznego. Ale będziemy płacić kolejnym specjalistom za kolejne programy stworzone dla nas. Bo wierzymy, że problem jest w nas, że to nasza indywidualna odpowiedzialność, by sobie z tym poradzić. To nie jest dobre dla nas, ale dla fitbiznesu jak najbardziej. Fatfobia w połączeniu z kulturą diety i kapitalizmem to nic innego jak zrzucanie winy na jednostkę za system zaprogramowany nie po to, żeby ludziom się w nim dobrze żyło, tylko żeby mała grupa ludzi mogła generować dla siebie odpowiednio wysokie zyski.

Brzmi rewolucyjnie, ale przecież lekarze mówią o epidemii otyłości, za którą idą choroby cywilizacyjne i wysoka śmiertelność. Przyznam, że już samo sformułowanie „epidemia otyłości" sugeruje, że otyłość jest zaraźliwa jak grypa.

U.CH.: W 2023 r. opublikowałyśmy raport, który zawiera historię grupy osób i ich doświadczenia w kontakcie z przedstawicielami systemu ochrony zdrowia. To ponad tysiąc opowieści o tym, jak zachowują się lekarze, o nadużyciach, jakich dopuszczają się przede wszystkim wobec pacjentek.

N.S.: Zacznijmy od określenia „epidemia otyłości", bo mam poczucie, że w ogóle nie powinno go być. To bicie na alarm – bo taki jest semantyczny sens tej „epidemii" – przy braku odpowiednich narzędzi antydyskryminacyjnych indywidualizuje poczucie winy. Nikt z nas nie zaraża otyłością czy nadwagą. Jestem za tym, żeby naukowo przyglądać się temu, jak zmienia się człowiek. Bo rzeczywiście grubych ludzi jest więcej i trzeba się zastanowić nad tym, czemu ludzie zmieniają się w taki, a nie inny sposób.

Otyłość diagnozuje się na podstawie współczynnika BMI, czyli stosunku wzrostu do wagi, który to współczynnik ma już co najmniej 200 lat i był pomyślany jako miara statystyczna populacji, a nie informacja o zdrowiu. A mimo to nadal lekarze i dietetycy stosują tę miarę, by stwierdzić tzw. otyłość, o której z kolei specjaliści mówią, że jest niesamowicie skomplikowaną chorobą. Bo jeśli spojrzeć na kontekst zdrowotny właśnie, to odnalazłyśmy ogrom korelacji dużej masy ciała z różnego typu kondycjami zdrowotnymi.

Przed tym właśnie ostrzega „epidemia otyłości".

N.S.: Tylko że niekoniecznie duża waga ciała wpływa na rozwój danej choroby.

U.CH.: A ja przypomnę, że ta zbitka językowa została wprowadzona przez osoby piastujące urząd lekarza generalnego USA jako narzędzie polityczne. „Epidemia otyłości" była wrogiem, którym należało się zająć, by zapewnić sobie sukces polityczny. Richard Carmona, pełniący tę funkcję na początku XXI w., porównywał ów „problem" do terroryzmu.

Wspominacie o pewnej polskiej celebrytce, która na swoje media społecznościowe wrzuciła filmik ze stacji benzynowej: rodzina, duża w sensie wagi, je hot dogi.

N.S.: Po pierwsze, gdyby to byli szczupli ludzie, pewnie by nie komentowała ich posiłku, a już na pewno nie wrzucałaby swoich uwag do sieci.

U.CH.: Po drugie, po fali krytyki tłumaczyła się, że to z troski o zdrowie tych ludzi. Uczestniczymy w spychaniu grubych osób i całego naszego życia do medycznego kontekstu. A priori zakłada się, że każda gruba osoba jest chora, co jest wbrew kultowi „wszystko dla zdrowia". Możemy być zdrowe – czyli w wyobrażeniu opinii publicznej po prostu szczupłe – albo w ogóle ma nas nie być.

N.S.: Mamy wpływ na nasze zdrowie w 36 proc. Reszta to środowisko, genetyka.

U Rubensa tusza była synonimem dobrobytu. „Trzy gracje" nie spełniają dzisiejszych norm dla modelek. Co się zmieniło?

U.CH.: Z jednej strony mamy bezprecedensowy dostęp do medycyny estetycznej czy osiągnięć farmakologii, które pomagają nam się dopasować do standardów piękna. A jednocześnie w takich systemach jak kultura diety, patriarchat czy rasizm nie chodzi o doprowadzenie do sytuacji, w której wszyscy są tacy sami. To narzędzia kontroli społecznej mówiące jasno, kto bardziej, a kto mniej zasługuje na różnie rozumiane przywileje.

Weźmy ten cudowny lek na odchudzanie. Dziś każdy większy koncern farmaceutyczny pracuje nad swoją wersją analogów GLP-1. Nie spodziewam się, że te leki będą kiedykolwiek na dużą skalę refundowane, bo to byłyby bardzo duże koszty dla państwa. Stajemy się więc świadkami kolejnego pęknięcia. Ludzie, którzy mogą sobie na nie pozwolić, będą korzystać z tych leków. Po drugiej stronie będą ci wszyscy, których na ten lek nie będzie stać, i osoby, które rezygnują z uczestniczenia w tym globalnej skali eksperymencie z innych powodów. A więc mamy kolejną oś podziału.

N.S.: Bo przecież wystarczy wziąć Ozempic, chudnięcie nie jest już żadnym wysiłkiem wartym pochwały, zależy tylko od pieniędzy. Więc jeśli nie chudniesz – jesteś leniwa, ale jeśli schudniesz – to też jesteś leniwa i idziesz na łatwiznę.

Czym się różni ciałopozytywność od grubancypacji? Ostatnio widziałam w telewizji reklamę, w której jedna z bohaterek mówi: „Kocham cię, ciałko".

N.S: Grubancypacja, czyli *fat liberation*, zaczęła pojawiać się w latach 60. XX w. w USA. To był ruch antydyskryminacyjny, niezbyt głośny, ale rozszerzał się na świat. Ciałopozytywność przyszła w latach 90. i był to także ruch wyzwolenia, ale w bardziej osobistej relacji z ciałem. Jest oparty na antydiecie, czyli odejściu od restrykcyjnego odżywiania. Poruszał bardzo dużo systemowych problemów, ale związanych z odżywianiem i jego zaburzeniami oraz konsekwencjami tych zaburzeń, a także wyglądem.

U.CH.: Mało kto pamięta, że podstawą jest walka z tym, co wywołuje zaburzenia odżywiania, czyli z odchudzaniem, które narusza zdrowie. Nie zgadzamy się z tym, żeby stan zdrowia był jakkolwiek wiązany z wartością człowieka.

N.S.: Zdrowie to bardzo szerokie pojęcie. Jesteśmy w różnych sytuacjach życia w różnych miejscach tego spektrum. I niezależnie od tego, czy ktoś ma jakieś choroby, z którymi żyje na co dzień przez wiele miesięcy czy lat, czy też złamał nogę, to nie ma wpływu na wartość tej osoby jako człowieka. A przecież wszyscy wiemy, że są choroby, które mają większą akceptację społeczną, i takie, której jej nie mają. Otyłość nie ma. Ale czy osoby tak beztrosko stwierdzające, że ciałopozytywność kończy się tam, gdzie zaczyna się otyłość, równie beztrosko powiedziałyby, że kończy się też tam, gdzie zaczyna się nowotwór?

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 54c79bd13b

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY

WYDANIE DOSTĘPNE TAKŻE Z NATURALNYM BALSAMEM NAPRAWCZYM DO STÓP GŁADKIE STOPY MARKI **YOPE**

ZWIERCIADLO.PL

ODWIEDŹ NAS

zwierciadlo.pl zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

Wydawnictwo Zwierciadło wydawnictwo_zwierciadlo

eprasa.pl 54c79bd13b

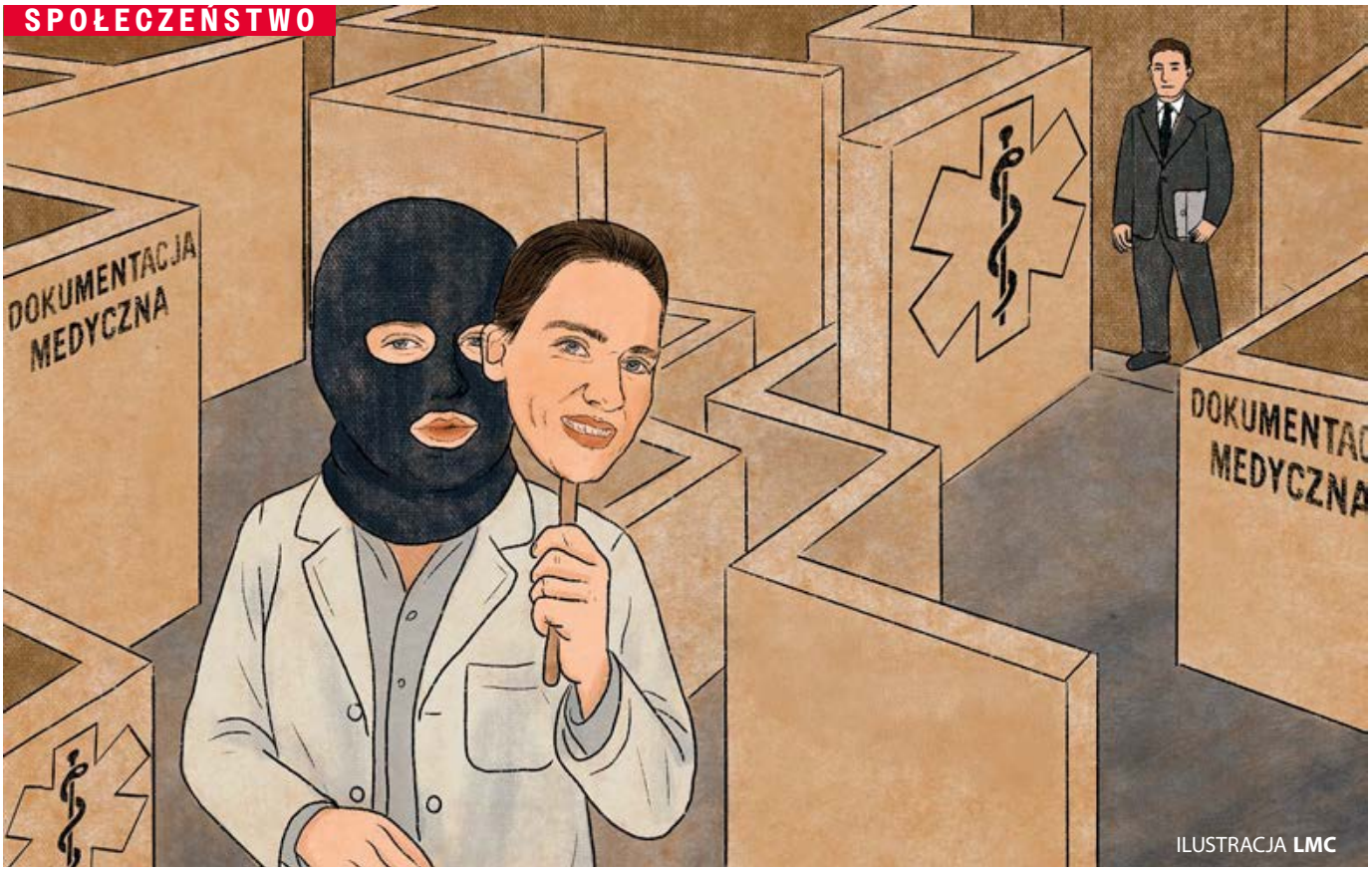

ILUSTRACJA **LMC**

Dr kamfora

Poza tym, że była oszustką i przez lata wyłudzała pieniądze za porady psychologiczne, żaden z 1657 pacjentów nie powiedział o niej złego słowa. Naciągnęła też NFZ. I zniknęła.

ZBIGNIEW BOREK

Sylwia Jakubas, mama dziesięcioletnich bliźniaków Jaśka i Staśka, o „świetnej pani psycholog" usłyszała w kolejce do lekarza. – *Skontaktowałam się z nią. Zaproponowała promocję: zamiast 300 zł za każdą wizytę, 1 tys. zł za miesiąc, nie dawała też faktury ani paragonu. Wizyty miały być jednak raz w tygodniu dla obu chłopców, a że liczę każdy grosz, to się zdecydowałam. Katarzyna Owieczko omówiła z nią metody, niektóre (np. pracę z lustrem i ćwiczenia rysunkowe) zademonstrowała, udzieliła porad, jak tonować emocje bliźniaków. Wydawało się, że wszystko ma ręce i nogi* – mówi Sylwia Jakubas. Postępów w pracy z psychologiem nie widzi się tak wyraźnie jak u kardiologa, ale chłopcy lepiej radzili sobie z emocjami.

Terapia u pani Kasi (tak o niej mówią pacjenci) miała pomóc nastoletniej córce Małgorzaty. – *Poznałyśmy się, gdy prowadziła terapię dla alkoholików. Jednym z nich był mój ówczesny mąż. Robiła wrażenie osoby kompetentnej i życzliwej, dlatego, gdy moja córka wpadła w depresję, zapisałam ją na wizyty* – opowiada. Córka częściej zaczęła się uśmiechać i poprawił jej się nastrój. Z porad pani Kasi skorzystała też sama Małgorzata, gdy się rozwodziła, a także jej przyjaciółka z zaburzeniami lękowymi. – *Nam też pomogła.*

Tymczasem 54-letnia Katarzyna Owieczko-Chutko (na liście gończym figuruje pod pełnym nazwiskiem) nigdy nie była psychologiem. Nie wykrył tego system, pracodawca ani fundusz zdrowia, ale zwykły pacjent.

Ten pacjent od 14 do 30 stycznia 2020 r. kilka razy zgłaszał wątpliwości co do jej wykształcenia poprzez elektroniczne Indywidualne Konto Pacjenta, skąd za pośrednictwem Centrum e-Zdrowia (to jednostka ministerialna) trafiły do Narodowego Funduszu Zdrowia. Fundusz nie ujawnia, kim był ten pacjent (inni plotkują, że odrzuconym zalotnikiem pani Kasi), ale wkrótce kolejny pacjent poskarżył się osobiście. Fundusz wszczął wyjaśnienia. W aktach miał kserokopię dyplomu magistra psychologii Katarzyny Owieczko, ale gdy zwrócił się do uczelni o potwierdzenie autentyczności, na liście absolwentów nie odnaleziono osoby o takim nazwisku. W 2021 r. NFZ powiadomił prokuraturę, w 2022 r. wszczęto ogólnokrajowe poszukiwania podejrzanej, później wydano list gończy i nakaz tymczasowego aresztowania, a w kwietniu 2025 r. także europejski nakaz aresztowania, który ułatwia poszukiwania za granicą.

Według ustaleń prokuratury w latach 2012–20 Katarzyna Owieczko z Nowej Soli przyjmowała pacjentów „na fundusz", jeszcze dłużej prywatnie – w swoim mieszkaniu, w ich domach oraz zdalnie (nie tylko w czasie pandemii). „Leczyła" nerwice i depresje, zaburzenia zachowania i odżywiania, prowadziła terapie uzależnień, par i rodzinną. Udzielała wsparcia ofiarom przemocy, wystawiała

eprasa.pl 54c79bd13b

zaświadczenia o niepełnosprawności, oferowała diagnostykę autyzmu. Kandydowała (bez skutku) na stanowisko dyrektora miejscowej poradni psychologiczno-pedagogicznej, którą – jak ustalił Michał Szczęch z „Gazety Regionalnej" – kierowała inna fałszywa psycholożka Małgorzata K.

Oprócz 1657 prywatnych osób (średnio na jedną przypadło 12 świadczeń) wśród pokrzywdzonych przez Katarzynę Owieczko jest NFZ (refundację jej terapii wycenił na 1,3 mln zł) i ponad 20 innych podmiotów. Lista prokuratorskich zarzutów nie obejmuje jakości terapii, lecz „46 czynów zabronionych związanych z fałszowaniem i posługiwaniem się sfałszowanymi dokumentami, skutkujących wyrządzeniem szkody majątkowej w wielkich rozmiarach, jak również uczynienie sobie z popełnienia przestępstw stałego źródła dochodu". Innymi słowy – pacjenci nie skarżyli się na to, że fałszywa psycholożka zaszkodziła ich zdrowiu, lecz kieszeni. – *Oszustwo polegało na tym, że płacili podejrzanej za usługi, przekonani, że posiada stosowne kompetencje, m.in. wykształcenie* – objaśnia prokurator Ewa Antonowicz z Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze. Potwierdza Joanna Branicka z lubuskiego NFZ: – *Nie otrzymaliśmy żadnych skarg na jakość udzielanych świadczeń.*

„Skoro nie było reklamacji, to znaczy, że pomagała. Nie widzę problemu, dyplom to tylko papierek, widać miała gadane" – pisze Aneta na forum internetowym. „Mamy wielu wykształconych psychologów, po studiach, z dyplomami, ale większość nie pomaga, a szkodzi" – dodaje Katarzyna. Tomek zastanawia się, jak zareaguje prokuratura, „kiedy okaże się, że pani Kasia wiele osób wyleczyła z depresji", a Piotrek nawołuje: „Pieprzyć papiery! Serce się liczy".

– *Choć to wysoce nieprawdopodobne, fałszywy psycholog może pomóc prawdziwym pacjentom, podobnie jak psycholog z formalnymi uprawnieniami może im zaszkodzić, bo błędy w sztuce też się zdarzają* – komentuje Marcin Szafrański z zarządu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. I jak wielu ekspertów dodaje, że nadzór nad profesją ma poprawić nowa ustawa o zawodzie psychologa, na którą czeka całe środowisko.

Obecna ustawa z 2001 r. obowiązuje, ale w praktyce nie działa. Projekt nowej ustawy zakłada, że psycholog będzie zawodem zaufania publicznego, tytuł psychologa będzie podlegał ochronie prawnej. Precyzyjne mają być zasady uzyskiwania prawa wykonywania zawodu, psychologowie będą musieli się doskonalić, a samorząd (izby krajowa i regionalne) będzie nadzorował ich działalność oraz prowadził dyscyplinarki. Harmonogram prac legislacyjnych sugeruje, że uchwalenie ustawy może nastąpić w drugiej połowie 2025 r., weszłaby więc w życie najpewniej od drugiego kwartału przyszłego roku. Jeśli tak się stanie, za podszywanie się pod psychologa będą grozić surowe sankcje. Dziś są symboliczne i gdyby Owieczko nie wyłudziła pieniędzy od pacjentów i NFZ, byłaby praktycznie bezkarna.

Czerwone światełko zapaliło się w głowie Sylwii Jakubas, gdy Owieczko dostrzegła u jej synów objawy zespołu Aspergera. Poleciła kontakt ze znajomym psychiatrą z Wrocławia. Ten rzeczywiście potwierdził taką diagnozę (za 600 zł), ale pani Sylwii coś w tym nie pasowało. Badania u innego specjalisty aspergera wykluczyły. Nikomu tego jednak wówczas nie zgłosiła. – *Po roku wizyt w naszym domu Katarzyna Owieczko z dnia na dzień przestała przychodzić i odbierać telefony. Później usłyszałam, że trwa śledztwo* – mówi Sylwia Jakubas. I dodaje: – *Nie mieści mi się w głowie, że można tak oszukać ludzi, nawet dzieci.*

Zaskoczeni byli też sąsiedzi pani Kasi z peerelowskiego blokowiska, gdzie mieszkała i prywatnie przyjmowała pacjentów. Zapamiętali ją jako elegancką dystyngowaną panią. – *Nigdy bym nie pomyślała, że to oszustka* – mówi mama z wózkiem, a panie sprzątające kręcą głowami, „że też przez tyle lat nikt się nie zorientował".

NFZ nie czuje się temu winny: za kwalifikacje personelu odpowiadają świadczeniodawcy, kopie dyplomów są potwierdzane „za zgodność z oryginałem" i tak było w tym wypadku. Inna sprawa, że dyplom każdej uczelni w Polsce można bez problemu kupić w internecie jako „kolekcjonerski". Łudząco przypominają prawdziwe, są wykonane na oryginalnym giloszu (to rysunek ornamentowy), opatrzone pieczęciami. Za dodatkowe 2 tys. zł ich sprzedawcy oferują „autentyczny wpis na listę absolwentów, żeby dyplom był wiarygodny" (pisaliśmy o tym w tekście „Komplikacje z kolekcjami" POLITYKA 10). Na wszelki wypadek policjanci przeszkolili więc pracowników NFZ z „praktycznych aspektów weryfikacji dokumentów".

Za winy pani Kasi płaci na razie tylko jej pracodawca. W ratach zwraca funduszowi refundację za jej świadczenia (spłacił już 938 tys. zł), przychodnia psychiatry Wojciecha Kołodzieja (Specjalistyczny Ośrodek Higieny i Terapii Psychicznej SPEC-MED) musiała też na własny koszt zająć się pacjentami oszustki.

– *Katarzyna Owieczko popsuła opinię zwykłym psychologom takim jak ja, którzy ukończyli studia, ciężko i uczciwie pracują* – mówi psycholożka z Nowej Soli z kilkunastoletnim stażem. Małgorzata, mama nastolatki i była żona alkoholika, przez cztery lata zapłaciła za prywatne wizyty córki i własne niemal 50 tys. zł. Gdy dowiedziała się, że padła ofiarą oszustki, zdecydowała się, jak mówi, pomóc prokuraturze. – *Dwa lata temu pani Kasia zaproponowała mi sesje zdalne dla córki. Tłumaczyła, że po śmierci drugiego męża wyjechała pracować do Niemiec, a w rzeczywistości już się ukrywała przed polską policją. Udałam, że o tym nie wiem. Za dziesięć spotkań z córką na WhatsAppie płaciłam tyle, co w realu za dwie, miało mi się opłacić. Po kilku miesiącach zakończyłam sesję i dokumentację przekazałam prokuraturze.*

Brak skarg na jakość terapii ze strony 1657 pacjentów objętych śledztwem i brak formalnych skarg w NFZ nie dowodzi, że Katarzyna Owieczko nikogo nie skrzywdziła. Dotarliśmy do pacjentki, którą do Owieczko skierował psychiatra „na fundusz", bo w miesiąc schudła 10 kilo. Po trzech wizytach poczuła się niekomfortowo. – *Wciąż mnie oceniała, a psycholog powinien chyba dążyć do tego, żeby pacjent sam doszedł do pewnych wniosków.* Zrezygnowała z wizyt, a wkrótce dowiedziała się, że pani Kasia obgadywała ją z inną pacjentką, z którą się ponoć zaprzyjaźniła, choć takich relacji zabrania przecież etyka zawodowa. – *Tą pacjentką była kuzynka mojego męża. Sprawa wyszła na jaw* – mówi. Widywała panią Kasię na ulicy, chciała jej to wygarnąć, ale nie zdobyła się na odwagę. Nikomu też się nie poskarżyła. Minęło osiem lat, a ona nigdy więcej nie poszła do psychiatry.

Poszukiwania Katarzyny Owieczko-Chutko trwają. Najpewniej przebywa w Niemczech – dowiadujemy się nieoficjalnie. Prokuratura, która jeszcze przed rokiem nagłaśniała poszukiwania fałszywej psycholożki, teraz milczy jak zaklęta. Rzekomo dlatego, żeby nie zakłócać jej poszukiwań. ■

eprasa.pl 54c79bd13b

Pijany jak pszczoła

Rozmowa z Natalią Jakubus, internetową Pszczelarą, autorką książki „Pszczoły. Zbrodnia, intryga, miód".

JOANNA PODGÓRSKA: **– Na czym teraz pracują pani pszczoły, czyli mówiąc po pszczelarsku: jaki u pani pożytek?**

NATALIA JAKUBUS: – Kończy się rzepak, który niby jest, a właściwie to go nie ma. Pszczoły zbierały nektar z kwiatów rzepaku w każdy możliwie lotny dzień, czyli taki, w którym temperatura pozwalała im na wylot z ula, natomiast przez kilkutygodniowe niskie temperatury większość zebranego miodu po prostu zjadły. Teraz kwitnie sporo drzew owocowych, miododajnych krzewów i chwastów, rozpoczyna się kwitnienie robinii akacjowej.

Pszczoły, które widzimy na rzepaku, akacjach czy lipach, są u szczytu zawodowej kariery. Jakie szczeble musiały pokonać?

Najpierw jajo, które zostało złożone do komórki, staje się larwą, z larwy mamy poczwarkę, a z poczwarki – postać dorosłą. Wtedy pszczoła zaczyna się wygryzać, czyli się rodzi. Musi przegryźć woskowe wieczko komórki i od tego czasu staje się pszczołą robotnicą, zaczynając od kariery sprzątaczki. Jest w ulu najniższa rangą. Sprząta pozostałości po swoich siostrach, czyli po larwach (kał i wylinki). Przy jednej komórce pracuje ich nawet 30, po to, żeby królowa znów mogła złożyć tam jajo. Po paru dniach pszczoła awansuje i staje się karmicielką, czyli posiada wykształcony gruczoł gardzielowy, który daje jej możliwość wytwarzania mleczka pszczelego, którym karmi larwy. Następnie staje się woszczarką, która buduje te piękne woskowe ściany w ulach, w których pszczoły gromadzą nektar, miód, pyłek i pierzgę,

© JAKUB NOWICKI/STUDIO INIGO

eprasa.pl 54c79bd13b

a królowa składa jaja. Trwa to także kilka dni, bo potem jej gruczoł woskowy zaczyna zanikać. Pszczoła już wówczas jest dorosła, ma stwardniałe żądło i może bronić swojego gniazda. Mówimy wtedy o strażniczkach. Rozpoznają, czy pszczoła, która próbuje wlecieć do gniazda, jest pszczołą z tej rodziny czy może z sąsiedniego ula albo co gorsza zamierza rabować ul, czyli wykraść z niego miód. Zadaniem strażniczek jest nie wpuścić jej do środka. Na samym końcu pszczoła staje się gotową do wylotu zbieraczką. Jej mózg potrafi gromadzić i przetwarzać informacje. Ostatnie dwa tygodnie życia pszczoła zbiera nektar i pyłek. Robi tę najlepszą robotę dla nas wszystkich.

Zapracowując się na śmierć?

Tak. W sezonie pszczoła żyje tylko miesiąc. Natomiast pszczoły zimowe, czyli te, które się wygryzają na przełomie września i października, przeżywają do kolejnego roku, do wiosny, dlatego że nie są tak strudzone tą pracą. Nie muszą zbierać nektaru, bo pszczelarz uzupełnia zapasy w ulu na zimę, więc mają gniazdo pełne pokarmu. Latają sobie co prawda po kwitnących jesienią kwiatach, czasem widzimy je nawet na chryzantemach w listopadzie, ale nie jest to już praca „pod presją".

Czym panią uwiodły pszczoły?

Można powiedzieć, że uwiódł mnie pszczelarz. Studiowałam rolnictwo i zaprosiła go na wykład jedna z pań profesorek. Początkowo nie byłam zainteresowana tą lekcją, siedziałam gdzieś z tyłu. Ale opowiadał z taką pasją o tym, jak pszczoły porozumiewają się, tańcząc, jak nawigują według słońca, nawet przy pochmurnym niebie, że całkowicie przepadłam. A same pszczoły? Ja na co dzień jestem człowiekiem bardzo chaotycznym i energicznym. A jak przychodzę do ula, włącza mi się jakiś dziwny tryb, zmieniam się zupełnie w inną osobę, potrafię być skupiona, zwolnić. Tak działa dźwięk i zapach ula. Pszczoły to trochę magia, przy nich staję się kimś innym. Uczą mnie cierpliwości, której na co dzień nie mam. Jestem im za to wdzięczna. Można powiedzieć, że historia zatoczyła koło, bo teraz ja prowadzę wykłady o pszczołach i mam nadzieję, że kogoś udaje mi się porwać.

Ale w ulu też chyba jest sporo okrucieństwa?

Tak. Są egzekucje matek, które przestają być wydajne. Są rzezie trutni, których jedyną rolą jest zapłodnienie królowej. Jesienią ich siostry robotnice zagładzają je na śmierć albo wydzierają im skrzydełka, wyrzucają z ula. Umierają z głodu albo z zimna, albo jeszcze jakąś inną śmiercią. Zimą w ulu trutni nie ma. To chłodna kalkulacja. Pszczoły nie śpią w zimie, więc muszą wyliczyć, żeby pokarm, który pszczelarz im uzupełnił, starczył do wiosny. Trzymanie trutni, które są nieporadne, nie potrafią nawet same pobierać pokarmu i muszą być karmione przez swoje siostry, byłoby zbyt dużym obciążeniem. W pasiece pierwszy objaw nadchodzącej jesieni i zimowli to martwe trutnie leżące na wylotkach i pod nimi. W ulu wszystko jest podporządkowane potrzebom roju.

A czy pani pszczoły panią poznają?

Fajnie by było odpowiedzieć, że tak, i dlatego są dla mnie takie wyrozumiałe, ale niestety pszczoły nie poznają swoich właścicieli. Starsi pszczelarze lubią opowiadać, że pszczoły ich poznają i nie muszą stosować ochrony, bo ich nie atakują. Prawda jest taka, że pszczelarz doskonale wie, w jaki sposób operować przy ulu. Musi wykonywać powolne, niechaotyczne ruchy, bo pszczoły nie lubią zamieszania. Nie lubią mocnych zapachów, jaskrawych kolorów, to je prowokuje do ataku. Natomiast były badania, w których pokazano pszczołom fotografie twarzy i przy jednej z nich zostawiono nagrodę w postaci syropu cukrowego. Zapamiętały twarz tej osoby, bo gdy zabrano syrop i tak do niej przylatywały. Mają więc umiejętność zapamiętywania naszych rysów, ale tylko w skojarzeniu ich z nagrodą. A nie, że to jest mój człowiek, bo my dla pszczół jesteśmy intruzami.

Weganie zarzucają pszczelarzom, że kradną pszczołom miód.

Trochę tak jest, ale wybieramy tylko miód, który jest nadwyżką tego, co pszczoły zebrały. Gdybyśmy zabrali wszystko, pszczoły by umarły. To, co zostaje w środku ula, musi im wystarczyć na przeżycie i rozwój. Tej wiosny była taka pogoda, że pszczoły mało wylatywały i wielu pszczelarzy musiało je dokarmiać. Miód zebrany z rzepaku przejadały na bieżąco. W pewnych regionach Polski w tym roku miodu rzepakowego praktycznie nie będzie.

Czy trudno było pani jako młodej kobiecie wejść w środowisko pszczelarzy?

Bardzo trudno. Byłam 20-letnią dziewczyną, która nie wyglądała jak typowy pszczelarz; makijaż, długie włosy, pomalowane paznokcie. W kole pszczelarskim patrzyli na mnie jak na kosmitkę. Nikt nie brał na poważnie, że naprawdę chcę mieć pasiekę, choć ostatecznie pomogli mi kupić pierwsze pszczoły. Moja przygoda zaczęła się od książek i samokształcenia. Nie znalazłam mentora, który by mi pokazał, jak pracować przy ulach. Wszystko robiłam po omacku. Pszczelarstwo było dla mnie owiane tajemnicą, wiedzą tajemną, która nie jest dostępna dla każdego. Teraz wiem po latach, że to bzdura. Na początku było bardzo ciężko. Musiałam sama dojść do tego, jak się prowadzi pasiekę, i niestety wiele razy ta pasieka cała musiała umrzeć, żebym ja się nauczyła na swoich błędach. Teraz role się odwróciły. Szkolę pszczelarzy, często tych samych, którzy kiedyś na mój widok pukali się w głowę i twierdzili, że ze mnie nigdy nie będzie pszczelarza. Nie mam żalu, ale nie zgadzam się na to, by z pszczelarstwa robić wiedzę tajemną. Dlatego dzielę się doświadczeniem i zachęcam, a nie zniechęcam.

Może zamknięcie środowiska wynika z obawy o konkurencję?

Tak, bo pasiek jest więcej niż kiedyś, a pożytków mniej. Monokultury wypierają dzikie łąki. Przez zmiany klimatu: susze, wiatry, ulewne deszcze, rośliny przestają nektarować. Konkurencja jest duża, bo mamy problem z przepszczeleniem. Dziś pasiekę może założyć praktycznie każdy. Coraz częściej stosowane są brudne chwyty i nieetyczne praktyki, żeby zaszkodzić innym, konkurującym o te same pożytki. Kiedy pojawia się na polach jakiś duży pożytek, np. facelia błękitna czy gryka, które są bardzo atrakcyjne dla pszczół i pszczelarzy, niektórzy ładują na przyczepkę ule i wywożą na tę facelię czy grykę. Jeśli w zasięgu upraw jest kilkanaście pasiek, a jeszcze ktoś podstawia przyczepkę z ulami, pszczół robi się za dużo. Najłagodniejsza z nieetycznych praktyk, jakie się wtedy stosuje, to podstawianie w pobliżu cudzych uli syropu cukrowego z barwnikiem. I potem mamy niebieski albo zielony miód, którego nikt nie kupi. To się zdarza coraz częściej. Coraz częściej zdarzają się też przypadki wandalizmu: niszczenia uli, podpalania ich czy zatykania wylotów pianką montażową. Mnie się to w głowie nie mieści. Etos pszczelarski kształtował się w Polsce od średniowiecza. Pszczoły traktowano jako święte, a bartnictwo było otoczone ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ szacunkiem. Za nieprzestrzeganie zasad groziły surowe kary. Bartnik nie musiał nawet składać przysięgi w sądzie, bo był postrzegany jako osoba uczciwa i honorowa. A teraz pszczelarz pszczelarzowi robi tak okrutne rzeczy.

Mówi pani o przepszczeleniu, a przecież najczęściej słyszymy: „Pszczoły giną, my zginiemy razem z nimi". To jak to jest?

Mówimy o całej grupie gatunków, a nie tylko o pszczole miodnej – jedynym gatunku hodowlanym. Z nią akurat nie ma problemu, wręcz jej przybywa i nie musimy się o nią martwić. Ale o dzikie pszczoły już tak, a jest ich ponad 400 gatunków. To wolno żyjące pszczoły są wskaźnikiem tego, co się dzieje w środowisku. Pszczoły miodne są dla nich coraz groźniejszą konkurencją. Wypierają je z coraz uboższych pożytków. Często ludzie w dobrych intencjach, chcąc pomóc pszczołom i naturze, zakładają pasieki, nie mając na ten temat bladego pojęcia. Albo traktują ul jako ozdobę ogrodową. Ktoś sobie pooglądа filmiki o bezobsługowych ulach: odkręca się kranik i miód płynie prosto do słoika, nic nie trzeba robić. A więcej jest z tego szkody niż pożytku. Pasieka to jest ciężka całoroczna harówka. Pszczoły wymagają opieki cały czas. Cały czas trzeba się też uczyć i poszerzać wiedzę. Ja mam pszczoły już ponad 10 lat i wiem, że każdego roku sprawy w pasiece wyglądają inaczej. To nie jest tak jak w hodowli bydła mlecznego; z pszczołami musimy się dostosowywać do pogody. W ubiegłym roku mieliśmy na wiosnę taką sytuację, że wszystko zaczęło kwitnąć naraz: sady, wierzby, akacja. A potem pojawiła się dziura pożytkowa, pszczoły nie miały co jeść i trzeba je było dokarmiać. Ktoś, kto tego nie wiedział i wybrał cały wiosenny miód, skazał je na śmierć głodową. Nawet w czerwcu czy sierpniu zdarza się, że pszczołom brakuje pokarmu, a to sprawia, że rodziny są osłabione, nie mają siły na wychowanie czerwi, pojawiają się nowe choroby. Pszczelarstwo to naprawdę olbrzymia wiedza.

To jak możemy pomóc dzikim pszczołom?

Najprościej – wysiewając rośliny miodowe. Możemy też zakładać „hotele" dla dzikich pszczół. Pszczoły murarki można już kupić na Allegro, a one są bezobsługowe. To świetne rozwiązanie dla kogoś, komu zależy na zapylaniu sadu. W sprzedaży są gotowe domki dla dzikich pszczół, ale ja ich raczej nie polecam. Lepiej zrobić je samemu – zbić z desek domek, poukładać w nim pociętą trzcinę, zabezpieczyć przed ptakami jakąś siatką i ustawić w miejscu osłoniętym od wiatru. No i żeby w zasięgu 500 m były jakieś pożytki; to ważne, bo murarka dalej nie poleci.

Czym jest miejski beewashing, jak nazywa pani zakładanie uli w mieście? Modą? Marketingiem?

Jednym i drugim. Z zastrzeżeniem, że czasem ma to sens, pod warunkiem że zabierze się do tego osoba odpowiedzialna.

Pszczoły uwielbiają nie tylko alkohol, ale też rośliny z subtelną dawką środków psychoaktywnych: nikotyny i kofeiny.

Znam np. miejskie pasieki przy uniwersytetach czy szkołach rolniczych, które mają znaczenie badawcze albo edukacyjne. Beewashingiem nazywam działalność firm, które hasła typu „Przyjazna pszczołom" czy „Dbamy o pszczoły" traktują jako element ocieplenia wizerunku. Stawiają ule na dachach swoich biurowców. Latem te dachy nagrzewają się jak patelnia, pszczoły nie dają sobie rady z wentylowaniem ula. Są w miastach parki, skwery, lipowe czy akacjowe aleje, ale tych pożytków jest mało. I często stanowią oazę dla pszczół dzikich, którym te miodne robią konkurencję. Pszczoły miodne nie są w miastach aż tak potrzebne, a wręcz mogą zaszkodzić. Fajnie się robi miejskie miodobranie, bo to bardzo chwytliwe i medialne, natomiast nie ma nic wspólnego z ratowaniem przyrody.

W książce opisuje pani pszczeli obyczaj, który mógłby ilustrować powiedzenie „pijany jak pszczoła". Przyznam, że byłam zaskoczona. Słonie, szympansy – tak, ale pszczoły?

Pszczoły faktycznie bywają alkoholiczkami. Uwielbiają wszystko, co jest sfermentowane: sfermentowany nektar, sfermentowane owoce – one kochają takie smaki. I bywa jak u ludzi – taka pszczoła, która opiła się tego sfermentowanego płynu, niestety nie jest wpuszczana do ula przez pszczoły strażniczki. One wyczuwają, że pani jest pod wpływem, dają zakaz wstępu. Wiadomo, że ludzkie problemy z alkoholem mogą doprowadzić do rozpadu rodziny. Z pszczelą rodziną może być podobnie, gdy problem dotyka wielu osobników. Pszczoły uwielbiają nie tylko alkohol, przepadają też za roślinami z subtelną dawką środków psychoaktywnych: nikotyny, kofeiny. Węch mają jak policyjny pies. Po treningu potrafią wyczuć kokainę czy heroinę. Zdecydowanie lubią czasem pójść w używki. A w przypadku alkoholu nie znają umiaru. Badano ilości, jakie przyjmują, w stosunku do wagi ciała. Nie ma człowieka, który by je przepił.

Miała pani takie pijaczki u siebie?

Miałam taką sytuację. To nie było w mojej pasiece, tylko w zakładowej. Ktoś zapomniał zamknąć drzwi do pracowni, w której były dwa słoiki sfermentowanego miodu. Po paru godzinach dostałam telefon od współpracowników, że zleciała się tu cała pasieka i nie wiedzą, co teraz zrobić. Oczywiście wszystkie pszczoły przyleciały do tego sfermentowanego miodu. Były tak opite, że nie dały rady latać, chodziły po posadzce kompletnie półprzytomne. Trzeba je było z tej pracowni wymiatać. Prześmiesznie to wyglądało. Ale w mojej pasiece nie było jak do tej pory żadnej alkoholowej wpadki. Same pracowite, przyzwoite i wstrzemięźliwe pszczoły.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© JAKUB NOWICKI/STUDIO INIGO

eprasa.pl 54c79bd13b

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Skazani na ból

Ból nie powinien być wyrokiem. A jednak w Polsce pacjenci umierają w cierpieniu, mimo że medycyna zna sposoby, by im ulżyć. Co więc zawodzi?

PAWEŁ WALEWSKI

Grażynie drży głos, gdy wspomina ostatnie miesiące życia swojego męża. Andrzej – krzepki mężczyzna, który niegdyś zdobywał Alpy i wędrował po polskich górach – został pokonany nie tyle przez raka trzustki, ile przez system, który zostawił go skazanego na nieludzkie cierpienie. – *Zachorował na nowotwór, który nie pozostawia zbyt wiele nadziei* – przyznaje pani Grażyna.

Gehenna pana Andrzeja, zrekonstruowana zaledwie trzy miesiące po jego śmierci, odsłania kaskadę porażek: lekceważący lekarze, niedostępni specjaliści i biurokracja, która procedury stawia ponad współczucie. To opowieść, którą potwierdzają eksperci, ale też wiele rodzin, pod których opieką są chorzy i cierpiący tacy jak pan Andrzej. Ich relacje składają się na miażdżący obraz ochrony zdrowia, która wie, jak leczyć ból, ale z jakiegoś powodu tego nie robi.

Kłopoty Andrzeja zaczęły się niepozornie – od bólu kręgosłupa, czyli niczego niezwykłego u 60-latka. Potem doszła utrata wagi – zbagatelizowana jako efekt stresu i natłoku pracy. Rutynowe badanie USG 20 grudnia 2024 r. przyniosło druzgocącą diagnozę: guz trzustki z przerzutem na wątrobę. Ból pleców, jak się okazało, nie był naciągniętym mięśniem, lecz pierwszym sygnałem raka.

Od tego momentu kontakt Andrzeja z polską opieką zdrowotną zaczął obnażać wszystkie systemowe zaniedbania. Mężczyzna nie otrzymał tego, co powinien dostać natychmiast: skutecznego leczenia. ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ Pierwszą wizytę w Świętokrzyskim Centrum Onkologii w Kielcach wyznaczono mu za... miesiąc. Udało się ją przyspieszyć, ale lekarze z Centrum odrzucili wszystkie wcześniejsze badania, żądając własnych. – *Zmarnowane pieniądze i czas* – kwituje Grażyna. Tymczasem ból narastał. Andrzej w nocy nie spał, ukrywał cierpienie, aż w końcu wyznał żonie: „Nie wyobrażasz sobie mojej męki!".

Lekarze z poradni rodzinnej zalecali paracetamol (niewłaściwy przy bólach trzewnych) i zachowywali się tak, jakby rak ich przerażał. Jedna z lekarek odmówiła przepisania leków przeciwbólowych, dziwiąc się przy tym: „Dlaczego nie dostał ich na onkologii?". „Bo jeszcze się tam nie dostaliśmy!" – odpowiedziała zgodnie z prawdą Grażyna. Lekarka przepisała w końcu plastry z morfiną, ale te również nie działały, powodując zaparcia, a później biegunki.

Wizyty w poradni medycyny paliatywnej w Kielcach były kolejnym rozczarowaniem. Jeden z lekarzy (Andrzej z Grażyną za każdym razem trafiali na innego), nagrywając swoje spostrzeżenia na dyktafon, bez cienia empatii, przepisał mocniejszy plaster. – *Odmówiono nam przyjęcia na oddział, zasugerowano zapisanie się na kolejną wizytę* – relacjonuje kobieta. Leki nie pomagały, Andrzej tracił w domu przytomność. Wówczas wzywali pogotowie, które zawoziło mężczyznę na oddział interny w szpitalu powiatowym. Tam wcale nie było lepiej – w skrócie: bo to pacjent onkologiczny, a „my takich nie leczymy". Grażyna wspomina, jak mąż zwisał z łóżka, kiwając się z bólu, podczas gdy personel podawał mu kroplówki z... paracetamolem.

W końcu 3 lutego małżonkowie trafili na kompetentną lekarkę z poradni paliatywnej w Świętokrzyskim Centrum Onkologii, która przyznała, że dotychczasowe leczenie to było ledwie „łaskotanie". I zaproponowała radioterapię paliatywną, która miała przynieść ulgę. Tyle że pan Andrzej jej nie doczekał, zmarł 3 marca. – *Cały czas czekaliśmy na leczenie* – wspomina Grażyna. – *A mąż umarł, zanim się zaczęło.*

Sekretarz Polskiego Towarzystwa Badania Bólu dr hab. Jarosław Woroń nie kryje frustracji. – *Nie ma powodu, by pacjent był zostawiony sam sobie* – podkreśla. W teorii system jest gotowy: są szkolenia, studia podyplomowe z medycyny bólu, a ustawa o prawach pacjenta gwarantuje prawo do skutecznego leczenia. W praktyce? Bywa różnie, zależy, na kogo pacjent trafi i czy rodzinie starczy sił, by walczyć o skuteczną pomoc.

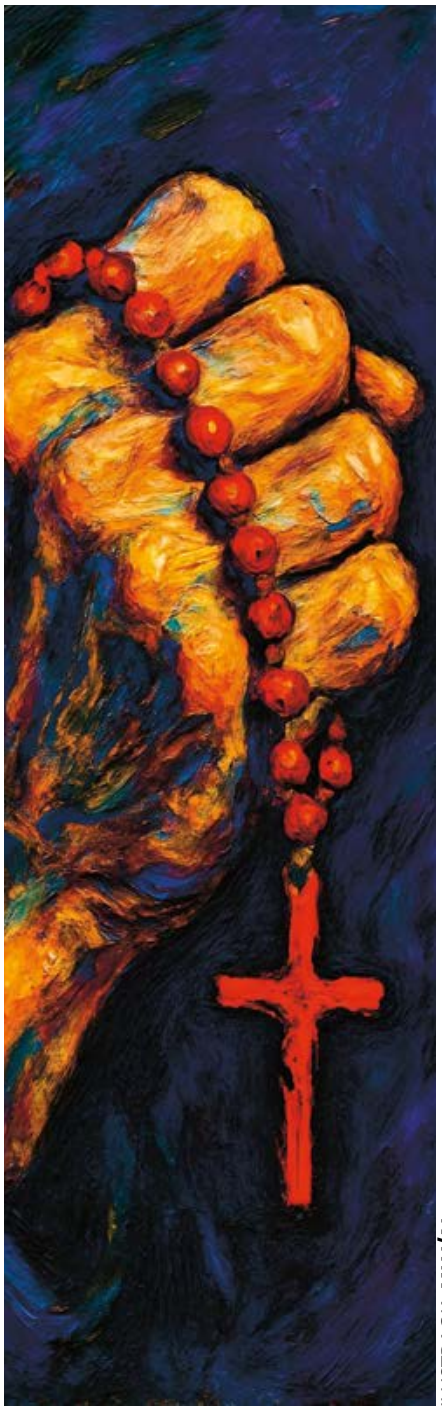

ILUSTRACJA **MLV/AI**

Polscy pacjenci nadal mierzą się z bólem sami. Gdy brak skutecznej pomocy, pozostaje im jedynie modlitwa.

Dr Woroń przyznaje, że problemy mogą też wynikać z pewnych mitów od lat wdrukowanych w naszą świadomość: – *Niektórym nadal się wydaje, że po operacji musi boleć, przy raku – również. A jeszcze jak ktoś jest stary, to go zawsze coś boli, więc dajmy sobie spokój z leczeniem, które według tych przesądów może być gorsze od choroby.*

Jest farmakologiem, więc zna konsekwencje źle dobranych leków, ich niewłaściwych połączeń i dawek – wtedy rzeczywiście stan pacjenta zamiast się poprawić, wyraźnie się pogarsza. Typowy przykład: współleczenie bólu i depresji – stosowanie klasycznych antydepresantów (tzw. SSRI, czyli selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny) będzie dolegliwości bólowe nasilać. – *Inny błąd popełniany masowo to sięganie po paracetamol w bólach trzewnych i zapalnych* – mówi dr Woroń. – *Ulga będzie krótkotrwała, potem ból się rozkręci.*

Pacjent z rakiem, depresją, bezsennością i bólem nie może być leczony w oderwaniu od swoich chorób współistniejących. Z drugiej strony sam ból staje się chorobą, gdy się go w porę nie leczy. Rozporządzenie ministra zdrowia z 2023 r. w sprawie „standardu organizacyjnego leczenia bólu w warunkach ambulatoryjnych" nałożyło na lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej obowiązek monitorowania tego objawu – w razie zgłoszenia bólu w przypadku każdego pacjenta (niezależnie od przyczyny i fazy podstawowej choroby) powinien zostać zebrany dokładny wywiad, przeprowadzona ocena nasilenia dolegliwości i zaproponowane leczenie. Karta tej oceny miała służyć lekarzowi do podjęcia interwencji, a następnie kontroli podczas kolejnej wizyty. I co?

– *Choć mamy akt prawny obligujący lekarzy do zajęcia się bólem, jest tam napisane, że musi być on „istotny klinicznie w ocenie pacjenta lub/i lekarza"* – zwraca uwagę dr Magdalena Kocot-Kępska z Krakowa, prezeska Polskiego Towarzystwa Badania Bólu. – *A to furtka, by subiektywnie decydować o tym, czy się do tego przyłożyć, czy nie. I większość niestety nie wypełnia tego obowiązku, a udzielona pomoc bywa chaotyczna.*

eprasa.pl 54c79bd13b

Dlaczego tak się dzieje? Często lekarze wybierają proste rozwiązania, opierając się na utartych schematach lub sugestiach przedstawicieli firm farmaceutycznych zamiast na aktualnej wiedzy. Brakuje im też specjalistycznego przeszkolenia w terapiach przeciwbólowych, co prowadzi do błędnych decyzji, np. przepisywania leków powodujących uzależnienie lub toksyczność. Podobny problem widzimy w masowym stosowaniu benzodiazepin, które mimo ostrzeżeń są nadużywane w podstawowej opiece zdrowotnej, przynosząc pacjentom więcej szkód niż korzyści.

– *Stosowanie leków przeciwbólowych można, a w niektórych sytuacjach nawet powinno się uzupełnić o metody inwazyjne. Albo o specyfiki z grupy tzw. koanalgetyków lub kanabinoidy, choć wiedzy na ten temat brakuje* – zauważa dr Aleksander Rutkiewicz, anestezjolog z Bielska-Białej.

O tym, że w bólach neuropatycznych ulgę może przynieść marihuana, wie właściwie garstka lekarzy (pisaliśmy o tym w POLITYCE 7). Pan Piotr opowiada o swoim szwagrze Krzysztofie, który w jednym ze szpitali umierał na nowotwór mózgu, cierpiąc z powodu bardzo silnego bólu i odleżyn: – *Za zgodą lekarza prowadzącego kupowaliśmy mu szybko działający dopoliczkowy fentanyl na bóle przebijające, bo nie był dostępny na oddziale. Zaproponowaliśmy też podanie kanabinoidów, a więc marihuany, ale ordynator odmówił, zasłaniając się brakiem doświadczenia. To był nie tylko brak dobrej woli, ale mam wrażenie, że również merytorycznej wiedzy* – uważa.

W Beskidzkim Centrum Onkologii nie mogą pojąć, dlaczego propozycja otwarcia poradni leczenia bólu natrafia na opór ze strony NFZ. A chodzi przecież o to, aby pacjenci – nie tylko hospitalizowani z powodu raka, ale również z innymi poważnymi dolegliwościami – z południa województwa śląskiego mieli wreszcie dostęp do przeciwbólowych blokad, neurolizy lub termolezji splotu trzewnego (skuteczna metoda w przypadkach bólu nieoperacyjnego raka trzustki, czyli takiego jak ten, który dręczył pana Andrzeja). – *Mamy sprzęt, mamy przeszkolonych specjalistów, tylko nie możemy się doprosić kontraktu* – zżymają się lekarze.

Bez umowy ze Śląskim NFZ takiej specjalistycznej poradni otworzyć się nie da. Z przesłanej POLITYCE przez rzecznika tego oddziału NFZ odpowiedzi wynika, że problemu... nie ma. Bo świadczenia obejmujące leczenie bólu dla chorych na raka zapewniają w Bielsku-Białej dwie poradnie opieki paliatywnej i hospicyjnej. Wreszcie – tu cytat dosłowny – „Leczenie bólu jest immanentną częścią procesów leczniczych, prowadzonych w różnych przychodniach specjalistycznych". Tyle że w tych miejscach nie można liczyć na inwazyjne zabiegi, które mogłyby być oferowane ciężej chorym.

W Polsce jest kilka ośrodków wykonujących inwazyjne procedury przeciwbólowe – ale chory z zaawansowanym rakiem nie wsiądzie przecież do pociągu, by jechać 300 km do Warszawy lub Krakowa. Nie jest w stanie odbyć takiej podróży nawet autem.

Konsekwencje tej dysfunkcji ponoszą pacjenci tacy jak pan Andrzej. Dr Woroń podkreśla, że ból to nie tylko objaw, ale i choroba, która niszczy jakość życia. – *Chory z bólem kosztuje system pięć razy więcej* – dodaje.

Dlatego uwolnienie pacjenta od cierpienia powinno być traktowane nie jako przywilej, lecz obowiązek. I to całej medycyny. Tymczasem w podstawowej opiece zdrowotnej lekarze rodzinni nie mają pełnych możliwości leczenia bólu, mimo uproszczenia procedur refundacyjnych. Onkolodzy, przy natłoku innych obowiązków, nie są w stanie poświęcić temu objawowi wystarczającej ilości czasu. – *Marzy mi się wspólny front różnych specjalistów i pielęgniarek środowiskowych, którzy będą wyczuleni na te potrzeby* – mówi prof. Monika Lichodziejewska-Niemierko, która jest nefrologiem i kieruje Zakładem Medycyny Paliatywnej w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. – *Nie ma takiej możliwości, by sami lekarze medycyny paliatywnej mogli zająć się uśmierzaniem bólu w stadiach terminalnych różnych chorób. Dlatego szkolimy u nas kardiologów, nefrologów, internistów – którzy przecież na co dzień obcują z umierającymi – by umieli radzić sobie z bólem i innymi objawami pogarszającymi jakość kresu życia. Po to zajęłam się medycyną paliatywną, by uczyć, jak postępować z osobami ciężko chorymi nie tylko na raka!* – podkreśla.

Ale w skali kraju takie inicjatywy to wciąż rzadkość. A po to są poradnie leczenia bólu, by zająć się chorym kompleksowo. NFZ blokuje ich rozwój, uznając, że ból powinien leczyć lekarz z POZ lub poradnia paliatywna. – *Specjalistyczne placówki paliatywne też powinny oferować inwazyjne sposoby postępowania: blokady, zabiegi neurodestrukcyjne, techniki neuromodulacyjne* – wylicza ekspertka. Ale te nie mogą ich wykonywać z uwagi na zapisy w kontraktach z Funduszem. Poradnie leczenia bólu to specjalistyczne placówki ambulatoryjne, którym NFZ płaci za konkretne procedury. Poradnie medycyny paliatywnej działają na innych zasadach finansowania, więc nie wykonują tych samych zabiegów, bo nie dostają za nie pieniędzy. Dlatego nie można ograniczać funduszy na poradnie leczenia bólu tylko dlatego, że w szpitalu istnieje poradnia medycyny paliatywnej. – *W większości z nich jest jeden – dwóch lekarzy wypisujących tylko recepty na leki. Co absolutnie nie spełnia kryteriów wielokierunkowego leczenia!* – *mówi* dr Kocot-Kępka.

– *Był taki silny* – mówi Anna o swoim 71-letnim ojcu. Jerzy zachorował na agresywny nowotwór prostaty, który szybko dał bolesne przerzuty do kości. – *Ale na końcu siedział na łóżku, kiwał się w przód i w tył, ściskając różaniec, szepcząc modlitwy, by zagłuszyć udrękę.*

A przecież mamy 2025 r. – to nie XIX w., kiedy znachorzy mamrotali zaklęcia nad umęczonymi, jakby ból był nie chorobą, ale boskim wyrokiem.

PAWEŁ WALEWSKI

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Polecamy też Państwa uwadze nasz wyjątkowy odcinek Podkastu psychologicznego, który ukaże się **16 czerwca**. Joanna Cieśla rozmawia w nim z dyrektor Puckiego Hospicjum Anną Labudą – o najnowszych i skutecznych metodach leczenia bólu, o tym, co można robić, a co nasze państwo zaniedbuje. Podkast – jak i wszystkie dotychczasowe materiały z cyklu „Odchodzić po ludzku" – znajdą też Państwo w zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku/**

Zachęcamy też Państwa do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami i przemyśleniami: **akcja@polityka.pl**

eprasa.pl 54c79bd13b

Luksus na pokaz

Światowy rynek dóbr luksusowych przeżywa regres. Ale nie w Polsce, bo u nas popyt na luksus rośnie w zadziwiającym tempie. Kto to kupuje? Mamy już w Polsce ponad 2 mln osób dobrze sytuowanych, ponad pół miliona zamożnych i 200 tys. bogatych.

eprasa.pl 54c79bd13b

ADAM GRZESZAK

Rosnąca liczba zamożnych Polaków napędza ten szczególny rynek. W 2023 r. grupa o rocznych dochodach powyżej 120 tys. zł, uznawanych za dolny element piramidy luksusowej konsumpcji, doszła do 2,5 mln osób, rosnąc aż o 34 proc. w ciągu 12 miesięcy. Autorzy raportu „Rynek dóbr luksusowych w Polsce" firmy doradczej KPMG, którzy od 15 lat monitorują konsumpcję najbogatszych rodaków, tę grupę nazywają dobrze zarabiającymi. Wyżej lokują zamożnych (240–600 tys. zł rocznie), których doliczyli się 545 tys., następnie bogatych (600 tys. zł – 1 mln zł), których jest 90,1 tys. i wreszcie 73,5 tys. bardzo bogatych (powyżej 1 mln zł rocznie).

Wszystkie te wyliczenia oparte są na danych Ministerstwa Finansów, więc prawdziwych krezusów – takich, którzy trafiają na medialne listy stu najbogatszych Polaków – raczej tu nie ma. Oni zręcznie umykają krajowemu fiskusowi do zagranicznych rezydentur podatkowych, rozsianych po świecie spółek, fundacji rodzinnych i trustów. Dlatego autorzy raportu wsparli się danymi z międzynarodowego Euromonitora International, który oceniał, że w 2023 r. w Polsce było ponad 58 tys. osób zaliczanych do grupy HNWI (High Net Worth Individuals), czyli takich, którzy dysponują majątkiem netto o wartości ponad 1 mln dol. (wzrost o 23 proc.), z czego 6,1 tys. posiadało 5–50 mln dol. Ultrazamożnych (UHNWI), z majątkiem powyżej 50 mln dol., doliczono się 300.

Zaglądanie do kieszeni bogatych jest z natury rzeczy dość trudne. Na dodatek to grupa, która coraz chętniej migruje po świecie, inwestując w zagraniczne nieruchomości, co sprawia, że również tam dokonuje zakupów towarów i usług luksusowych. Za to bogaci Ukraińcy, którzy przenieśli się do Polski, wspierają nasz rynek luksusu, więc być może równoważą ubytki zamożnych Polaków, zakochanych w hiszpańskiej Costa del Sol czy włoskiej Toskanii.

Autorzy raportu biorą zawsze pod lupę zakupy samochodów marek premium i luksusowych, nieruchomości o wysokim standardzie, usług hotelarskich oraz SPA, dzieł sztuki, a także dóbr konsumpcyjnych, odzieży i akcesoriów, biżuterii, zegarków, kosmetyków, perfum oraz alkoholi. Ocenili, że wydatki na te dobra w 2024 r. sięgnęły 55,6 mld zł, wzrastając o blisko 25 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Paradoks Veblena

Ale właściwie co to jest luksus? Przecież dla osoby zarabiającej poniżej średniej krajowej luksusem może być skromny obiad w restauracji, podczas gdy dla osoby zamożnej wielotysięczny rachunek w lokalu z gwiazdką Michelina będzie mało istotnym wydarzeniem. Pojęcie luksusu skutecznie rozmywają też spece od marketingu, wykorzystując je w reklamach tanich, masowych produktów. Tymczasem nauka ekonomii zwraca uwagę na ekskluzywność tego, co uznaje za dobra luksusowe. Z tej perspektywy są to produkty i usługi, których podaż jest ograniczona, i w efekcie 95 proc. jest dostępne dla najwyżej 5 proc. populacji.

Amerykański ekonomista Thorstein Veblen, autor „Teorii klasy próżniaczej", zauważył, że dobra luksusowe zachowują się wbrew normalnym regułom podaży i popytu, bo wraz ze wzrostem ceny popyt zamiast spadać, rośnie. Dlaczego tak się dzieje? Tu do gry wchodzi ekonomia behawioralna, bo choć dobra luksusowe nie zaspokajają egzystencjalnych potrzeb, to pełnią inne ważne funkcje. Komunikują status społeczny, pokazują osiągnięty sukces i – co ważne dla samego zainteresowanego – dostarczają mu przyjemności z faktu, że stać go na coś, o czym inni mogą tylko pomarzyć.

Wraz ze wzrostem ceny rośnie popyt, bo im coś jest postrzegane jako cenniejsze i niedostępne, tym staje się atrakcyjniejsze. Bogaci klienci lubią drogie i ekskluzywne produkty oraz marki, które opowiadają im o swej wyjątkowości. To pozwala im racjonalizować swoje zakupy, przekonując, że jako ludzie wyjątkowi sami zasługują na rzeczy wyjątkowe, a nie stać ich na kupowanie tandety. – *To podstawowe funkcje luksusowej konsumpcji, zwłaszcza w Polsce. Jesteśmy społeczeństwem niezbyt zamożnym, więc chodzi o to, żeby się pokazać. To trochę inaczej niż w Europie Zachodniej, gdzie jest pewna kultura luksusu. U nas dominuje ostentacja* – wyjaśnia dr Paweł Wójcik, psycholog zachowań konsumenckich z Wydziału Zarządzania UW.

Warunkiem działania prawa Veblena jest ograniczona podaż, bo choć wrażliwość cenowa klientów jest niewielka, to oczekiwanie ekskluzywności ogromne. Dlatego np. Rolls-Royce produkuje tylko kilka tysięcy aut rocznie, choć mógłby dużo więcej. Niektóre luksusowe marki selekcjonują też klientów, by nikt z wypchanym portfelem, ale o podejrzanym pochodzeniu nie popsuł im wizerunku.

Luksus na kołach

Co czwarte rejestrowane w ub.r. w Polsce auto należało do najwyższych segmentów premium i luksusowych. Wartość tego rynku osiągnęła 36 mld zł, co oznacza wzrost o 35 proc. – *Na całym świecie najpopularniejszym dobrem luksusowym są samochody z wysokiej i najwyższej półki. W Polsce ich dominacja jest wyjątkowa, bo pochłaniają dwie trzecie wydatków na towary luksusowe. Chętnie kupowane są nie tylko te najnowsze modele, ale także zabytkowe, bo oldtimery mogą być atrakcyjną inwestycją alternatywną* – wyjaśnia Tomasz Wiśniewski, partner w KPMG, współautor raportu.

Największą popularnością w segmencie premium cieszyło się w ub.r. Volvo XC60, za nim znalazł się Lexus NX oraz Audi Q5. Sprzedaż modeli typowo luksusowych, za które trzeba płacić ceny nierzadko przekraczające milion złotych, też była znacząca: Ferrari (82 szt.), Bentley (79), Lamborghini (61), Maserati (46), Aston Martin (40), Rolls-Royce (18), McLaren (11).

Firma Auto Fus Group specjalizuje się w sprzedaży aut luksusowych marek: Rolls-Royce Motor Cars, Aston Martin oraz McLaren. – *Obserwujemy rosnące zainteresowanie zarówno personalizacją samochodów, jak również limitowanymi, nieraz wręcz kolekcjonerskimi edycjami poszczególnych modeli. Klienci nie* ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54c79bd13b

McLaren, luksus klasy światowej, za ponad milion złotych. Po prawej: **bardzo drogie torebki**

▶ *mają już problemu, by być widzianymi w najdroższych autach. Teraz chętniej stawiają kolejny krok i realizują swoje własne, często dość odważne pomysły na projekty wnętrz oraz dodatkowe elementy na zewnątrz samochodów* – wyjaśnia Piotr Fus, wspólnik Auto Fus Group. Salony odwiedzają coraz młodsi rodacy, którzy osiągnęli sukces na wczesnym etapie swojego życia. Luksusowy samochód, np. McLaren, jest nagrodą, którą sprawiają sobie za ciężką pracę.

Miliony w kieszeni

– *Polska jest krajem na dorobku, nie mamy tego, co nazywa się old money, czyli znaczącego majątku gromadzonego od pokoleń* – tłumaczy Tomasz Wiśniewski. – *Dlatego zamożni Polacy podchodzą do dóbr luksusowych bardzo utylitarnie, traktując je nie tylko jako formę konsumpcji, ale często także alternatywnego inwestowania. Lokowanie oszczędności w cennych przedmiotach może sprawić, że nie będą traciły na wartości, a przeciwnie – przez lata mogą przynieść ponadprzeciętny zwrot.*

Takie inwestycyjne traktowanie dóbr luksusowych było szczególnie widoczne w czasie pandemii i po wybuchu wojny w Ukrainie, gdy bardzo wzrosła sprzedaż drogich zegarków z limitowanych serii oraz kamieni szlachetnych, które – jak twierdzą eksperci – były atrakcyjne, bo odznaczają się dużą koncentracją wartości. Czyli miliony w razie czego można schować do kieszeni, co w przypadku gotówki byłoby niewykonalne. Okazuje się, że nie mamy *old money*, ale historia wdrukowała w DNA Polaków poczucie nieustannego zagrożenia i ulotności majątku.

Zresztą nie tylko zegarki, diamenty czy dzieła sztuki są traktowane jako forma inwestycji. Podobnie jest z dużą częścią luksusowych towarów, nawet tych czysto użytkowych, jak torebki damskie czy ubrania najdroższych marek. – *Rośnie popularność dóbr luksusowych z drugiej ręki, nie tylko w Polsce, ale i na świecie, co ułatwia ich odsprzedaż* – tłumaczy Tomasz Wiśniewski. Także cenne wina czy whisky mogą przynieść zwrot z inwestycji, o ile właściciel ma silną wolę i nie będzie jej degustował.

Kiedy w Polsce branża dóbr luksusowych notuje dwucyfrowe wzrosty, to w skali świata tak różowo już nie jest. Według raportu Bain & Company i Fondazione Altagamma w 2024 r. globalne wydatki na dobra luksusowe wyniosły 1,48 bln euro i były o kilka procent niższe niż rok wcześniej. Eksperci oceniają, że wpływ na to ma dekoniunktura gospodarcza, zwłaszcza w Chinach i USA, które łącznie odpowiadają za blisko połowę światowego popytu na luksus. Producenci ratują się, podnosząc ceny, co sprawiło, że od 2019 r. towary luksusowe zdrożały średnio o 60 proc. I nagle okazało się, że prawo Veblena przestaje działać, klienci ograniczają zakupy. Nie wiadomo, czy dlatego, że czują się nabijani w butelkę, czy kończy im się kasa.

A mogą czuć się oszukani, gdy śledzą wydarzenia toczące się przed sądem w stolicy luksusowej mody, czyli w Mediolanie. Prokuratura ścigała tu niedawno firmę Christian Dior, producenta m.in. luksusowych torebek damskich. Odkryto bowiem, że torebki kosztujące 2,6 tys. euro szyją za 53 euro sztuka nielegalni imigranci w działających we Włoszech pokątnych warsztacikach, prowadzonych przez chińskich podwykonawców. Dior, należący do największego koncernu dóbr luksusowych LVMH, przyznał się do zaniedbań i wprowadzania nabywców w błąd, zapłacił karę i obiecał poprawę, ale skaza na reputacji pozostała. Podobnie jak w przypadku innych markowych firm przyłapanych na podobnym procederze. One też klientom wmawiały bajki o wyjątkowych rzemieślnikach tworzących luksusowe arcydzieła z niebywałych surowców.

– *Nabywcy dóbr luksusowych, zwłaszcza ci z młodszego pokolenia, przywiązują coraz większą wagę do kwestii etycznych, społecznych i środowiskowych, związanych z kupowanymi produktami i usługami* – wyjaśnia Tomasz Wiśniewski. Ocenia się, że w ciągu ostatnich dwóch lat baza klientów luksusowych zmniejszyła się o ok. 50 mln osób, głównie za sprawą kapryśnego pokolenia Z.

Z młodymi branża ma zresztą więcej problemów, bo mają inny styl konsumpcji. Dotyczy to także grupy zwanej HENRY (*High Earners, Not Rich Yet*), czyli dobrze zarabiających, ale jeszcze nie

eprasa.pl 54c79bd13b

Diora. Odkryto, że nielegalni imigranci szyli je we Włoszech za 53 euro sztuka.

© SHUTTERSTOCK, DJSULLY/SHUTTERSTOCK

bogatych. Unikają ostentacji, obnoszenia się z rzeczami wyraźnie oznakowanymi logo producenta, a to jeden z kanałów komunikacji marketingowej marek luksusowych. Panuje moda na *quiet luxury*, czyli cichy luksus, więc widoczne na produktach znaki Gucci, LV, Chanel i inne są w złym guście. Młodzi coraz częściej dokonują zakupów w sieci, co sprawia, że luksusowe butiki stają się jedynie kosztownymi oknami wystawowymi. Nie są też lojalni, porzucają uznane marki na rzecz nowych, do których przekonali ich modowi influencerzy. Zamiast kupować rzeczy, wolą kupować luksusowe doświadczenia: podróże, wypoczynek, hotele, spa itd. – *Zetki to pierwsze pokolenie, które wyrosło w świecie cyfrowym, wychowało się ze smartfonami w ręku, zanurzone w mediach społecznościowych. To kształtuje ich model konsumpcji. Dlatego od posiadania wolą doświadczanie, bo doświadczaniem łatwiej się dzielić w sieci. Egzotyczne podróże, luksusowe hotele i restauracje lepiej wypadają na Instagramie niż samochody, ciuchy, torebki, które można przecież pożyczyć. Może z wiekiem staną się bardziej mieszczańscy, upodobniając się do rodziców, ale mam wrażenie, że to pokolenie rzeczywiście zwiastuje przełom* – wyjaśnia dr Paweł Wójcik.

Trumpki Trumpa

Jednak wszystkie te problemy bledną dziś przy tym, co luksusowi zafundował Donald Trump. Oczywiście mowa o jego wojnie handlowej, która wpędza amerykański rynek w recesję i może się okazać dramatyczna w skutkach zwłaszcza dla dwóch francuskich luksusowych potęg, czyli koncernów LVMH (m.in. Louis Vuitton, Christian Dior, Fendi, Givenchy, Celine, Kenzo, Tiffany, wódka Belvedere z Żyrardowa) oraz Kering (m.in. Gucci, YSL, Bottega Veneta, Balenciaga).

A takie były nadzieje! Szef i główny akcjonariusz LVMH Bernard Arnault (najbogatszy Europejczyk), zaproszony na inaugurację Trumpa, wrócił cały w skowronkach, przekonując, że prezydent rozkręci gospodarkę, obniży podatki dla najbogatszych, a luksus wróci na ścieżkę wzrostu. Jest przecież człowiekiem branży, wielkim kreatorem mody. To wprawdzie moda bling-bling, kapiąca złotem, wulgarna i ostentacyjna, ale zawsze sygnowana jego nazwiskiem, podpisem, czasem nawet zdjęciem. W Trump Store do kupienia są dziś dziesiątki produktów modowych, w tym słynne złote zegarki wysadzane diamentami „The Trump Victory Tourbillon" za 100 tys. dol. sztuka. Za takie pieniądze można kupić trzy Rolexy. Kogo nie stać, może kupić zegarek „Fight Fight Fight" za 499 dol. Oba – jak zapewnia prezydent – najlepsze na świecie, bo amerykańskie. Droższy to produkt małej szwajcarskiej firmy Olivier Mory, a tańszy to japoński Seiko.

Trump w ub.r. wybrał się nawet na konwencję miłośników butów sportowych Sneaker Con, by zachwalać swoje trampki (trumpki?) „Never Surrender" („Nigdy się nie poddawaj"). Oczywiście także złote za 399 dol. i też najlepsze na świecie. Do kupienia dziś na chińskim AliExpress za 189,97 zł. To się nazywa luksus dla ubogich.

ADAM GRZESZAK

REKLAMA

XIV EDYCJA **LISTKÓW ESG POLITYKI**

18 czerwca w tygodniku POLITYKA oraz na **www.polityka.pl** opublikujemy wyniki XIV edycji LISTKÓW ESG POLITYKI.

Partnerami Listków ESG POLITYKI są:

EY Shape the future with confidence

FORUM ODPOWIEDZIALNEGO BIZNESU | 25 LAT

eprasa.pl 54c79bd13b

Syndykat syndyków

Kolejny już syndyk usłyszał zarzuty okradania upadłych firm. Za przyzwoleniem sędziego komisarza, który powinien go nadzorować. Kto wreszcie ukróci ten proceder?

VIOLETTA KRASNOWSKA

To był bardzo długo wyczekiwany przez licznych przedsiębiorców dzień. I pierwszy efekt wielkiego śledztwa dotyczącego wyprowadzania majątku z firm w upadłości. O 6 rano 14 maja agenci CBA zatrzymali trzy ważne persony z branży upadłości. Najważniejszą osobą w tym gronie jest Krzysztof G., znany syndyk, doradca inwestycyjny, mający na swoim koncie wiele „tłustych" upadłości. Jak choćby upadłość Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Warszawie, z której prezes Krystyna R. w latach 2012–14 wyprowadziła dziesiątki milionów złotych. Jest skazana nieprawomocnym wyrokiem na pięć lat więzienia, ale od tamtej pory spółdzielnią w upadłości – posiadającą miliony na koncie, atrakcyjne nieruchomości i cenne grunty w centrum stolicy – zarządzał syndyk Krzysztof G.

Bo z chwilą ogłoszenia upadłości kieruje nią sędzia-komisarz z sądu gospodarczego. I to on powołuje syndyka, by w jego imieniu zarządzał majątkiem tak, by spłacić jak najwięcej wierzycieli. Taki jest cel. Syndyk nazywany jest ramieniem sędziego, wykonując jego polecenia i podlegając jego nadzorowi. Tak to wygląda w teorii.

Ale w praktyce od lat działa system, który bezkarnie żywi się majątkiem upadłych. A także wierzycieli, najpierw spłacane są bowiem

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

eprasa.pl 54c79bd13b

koszty postępowania syndyka, a dopiero później wierzyciela. Powstała patologia: syndycy zawyżają koszty własnego działania, wystawiają horrendalne faktury za niestworzone rzeczy, sędziowie to akceptują, a żaden państwowy urzędnik się tym nie interesuje. To kradzież pieniędzy, które należą się przede wszystkim wierzycielom.

Oddłużał, zadłużając

Drugim zatrzymanym jest Marcin K., kiedyś sędzia-komisarz m.in. właśnie w spółdzielni Śródmiejskiej. Ale też był przewodniczącym wydziału upadłościowego, potem wiceprezesem sądu ds. gospodarczych i członkiem zespołu ds. nowelizacji prawa upadłościowego w Ministerstwie Sprawiedliwości za czasów ministra Jarosława Gowina. Teraz jest członkiem zespołu syndyka Krzysztofa G.

Trzecią osobą zatrzymaną tego dnia przez CBA jest Bartosz S., ze współpracującej z Krzysztofem G. znanej kancelarii specjalizującej się w postępowaniach upadłościowych. On też brał udział w pracach nad nowelą prawa upadłościowego zespołu powołanego tym razem przez ministra sprawiedliwości Adama Bodnara.

Prokurator postawił im wszystkim ciężkie zarzuty. Przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej (kodeksowa kara do 10 lat więzienia). Nadużycie zaufania i wyrządzenie szkody majątkowej wielkich rozmiarów na ponad 13 mln zł w sześciu postępowaniach upadłościowych. Do tego przyjmowanie i transferowanie pieniędzy pochodzących z przestępstwa (również do 10 lat więzienia). Dodatkowo Krzysztof G. usłyszał zarzut przyjęcia wielkiej łapówki w związku z pełnioną funkcją, a drugi z podejrzanych – jej wręczenia. Wpłacili poręczenie majątkowe – Krzysztof G. 300 tys. zł, pozostali – 200 tys. i 100 tys. i wyszli na wolność.

Ale to ma być dopiero początek, bo wątków w tym śledztwie prowadzonym przez prokuratora Pawła Łapińskiego z Prokuratury Okręgowej Warszawa Praga jest wiele. Jak przekazał „Polityce" jej rzecznik Norbert Wolański – „śledztwo dotyczy postępowań upadłościowych i restrukturyzacyjnych prowadzonych wobec kilkudziesięciu podmiotów". Łączy je wszystkie osoba syndyka – czyli Krzysztofa G. Prokuratura nie chce dziś ujawnić szczegółów dotyczących postawionych zarzutów, ale według naszych informacji dotyczą one m.in. właśnie zarządzania przez Krzysztofa G. Śródmiejską Spółdzielnią Mieszkaniową.

W ciągu 2,5 roku upadłości, pod koniec 2017 r. jej płynne środki pieniężne zmalały z 5,8 mln zł do 0,4 mln. Prezes Małgorzata Boszko pisała do syndyka i sędziego komisarza: „Nie godzimy się na prowadzenie upadłości i utrzymywanie armii prawników na nasz koszt". Bez efektów. Występowała do sędziego komisarza o zmianę syndyka, ale wnioski były oddalane bez uzasadnienia. Pisała skargi na syndyka do Ministerstwa Sprawiedliwości, które procesy upadłości nadzoruje. „Od kiedy wydał wszystkie, niemałe pieniądze, które zastał na kontach (ponad 3,5 mln zł), jesteśmy obciążani kosztami upadłości, w tym kosztami prowadzenia kilkuset postępowań przeciwko spółdzielcom. Są to setki tysięcy złotych wypłacane prawnikom z naszej kieszeni". Pisała, że zatrudniał wiele kancelarii zewnętrznych, pełnomocników pracujących jednocześnie przy innych upadłościach, co generowało ogromne koszty. Alarmowała, że Krzysztof G. nie tylko nie spłacił długów, ale je zwiększył, zadłużając spółdzielnię na kolejne 12 mln zł.

Koszty upadłości, jakie szły miesiąc w miesiąc z majątku spółdzielni, robiły wrażenie. W 2017 r. koszty obsługi prawnej wyniosły 1,7 mln zł. Tylko w ciągu trzech miesięcy 2021 r. było to ponad 231 tys. zł, z czego usługi prawne dwóch wynajętych kancelarii pochłonęły prawie 70 tys. zł. A to nie koniec, bo w kosztach prowadzenia działalności statutowej, wynoszących prawie 4 mln zł, 230 tys. zł poszło na obsługę prawną przez kolejnych siedem kancelarii, w tym dwóch byłych sędziów. Przy innych upadłościach mechanizmy były takie same i tyle samo zaangażowanych kancelarii.

Skargi na Krzysztofa G. kierowane też przez innych upadłych spowodowały, że Ministerstwo Sprawiedliwości postanowiło przyjrzeć się jego pracy i zarządziło audyt wszystkich jego postępowań, zaczynając od 2010 r. 98-stronicowy raport wykazał, że syndyk wydawał pieniądze upadłych firm lekką ręką. Kontrolerzy w dokumentach syndyka nie znaleźli nigdzie ani podstaw prawnych, ani ekonomicznych wydatków z masy upadłości – czy jeśli chodzi o paliwo do samochodu, rachunki w restauracjach czy hotele. Raport budzi grozę. Kosztami obciążano daną upadłość, mimo że dotyczyły innej. Obciążano za naprawę prywatnego auta syndyka, badania techniczne, wymianę opon czy przyjęcia świąteczne i imprezy integracyjne organizowanych przez syndyka.

W podsumowaniu kontrolerzy piszą, że to stała praktyka Krzysztofa G. „generowania zbędnych i nadmiernych kosztów postępowań, a tym samym uporczywe naruszanie obowiązku minimalizacji kosztów postępowania", choć, jak zaznaczali, „masa upadłości to środki upadłego, które powinny być przeznaczone na zaspokojenie wierzycieli".

Pod parasolem sędziego

Co warte uwagi, Krzysztof G., proszony przez kontrolerów o rozliczenie się z wydatków, odpowiedział, że jego sprawozdania były akceptowane przez sędziów-komisarzy, więc należą już do rzeczy osądzonych, do których nie powinno się wracać. Trzeba bowiem przyznać, że żaden z sędziów nadzorujących syndyków nie poniósł dotąd konsekwencji za dopuszczenie do takiej swobody w żerowaniu na podmiotach, które i tak miały nieszczęście upaść. Najbardziej jaskrawy przykład – sędzia Sławomir Bezak z warszawskiego sądu, co prawda doczekał się prokuratorskich zarzutów uzależnienia swoich decyzji od łapówek i przyjęcie ich w postaci 200 tys. zł i czterech samochodów od syndyka Tomasza S. Ale co z tego, skoro nie można mu ich przedstawić, bo od pięciu lat skutecznie się ukrywa i jest poszukiwany przez policję. O powiązaniach syndyków z sędziami komisarzami wiadomo od dawna, o czym może świadczyć zatrudnianie ich potem w kancelariach syndyków.

Zresztą syndycy jak dotąd też niespecjalnie ponosili konsekwencje. W 2017 r. został zatrzymany wieloletni syndyk, wykładowca prawa gospodarczego, doktor prawa Tomasz S. prowadzący wiele upadłości, za co zresztą, jak się przyznał, opłacał się sędziemu Bezakowi. Przyznał się także do kierowania zorganizowaną grupą przestępczą mającą na celu wyprowadzanie pieniędzy z upadłych firm. Zdaniem prokuratury zdefraudował aż 85 mln zł z dziewięciu upadłych firm, wydając je na prywatne cele. Tomasz S. przyznał się do wszystkiego, przesiedział pół roku w areszcie, już dawno jest na wolności. Jego proces nie ruszył do dziś.

Paweł Paradowski, przedsiębiorca spod Grójca, właściciel firmy Fruit Logistic w upadłości, która miała ponad 30 mln zł rocznego obrotu głównie ze sprzedaży jabłek, jest zbulwersowany działalnością syndyków. – *Jeden z biegłych, którego poprosiłem, by wycenił prawdziwą wartość majątku mojej firmy, spytał, czy* ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ *wiem, że po 10 latach prowadzenia upadłości do wierzycieli trafia średnio zaledwie 2 proc. ich należności. Masa upadłościowa żywi głównie syndyków.*

Stowarzyszenie poszkodowanych

Sam bezskutecznie walczył, żeby majątku jego firmy syndyk nie sprzedał za grosze. Wylicza: – *Wartość nieruchomości w 2015 r. wynosiła prawie 25,5 mln zł, a w 2024 r. majątek główny Fruit Logistic Ostrowiec 1A – czyli halę 5 tys. m kw., 2 ha powierzchni, 1 ha kostki przy krajowej drodze nr 50, halę, którą można wynająć za 25 zł za metr – syndyk sprzedał w kwietniu tego roku za 10,5 mln!* – mówi.

Właśnie w grubych aktach upadłości znalazł dokumenty wskazujące jego zdaniem na fałszerstwo, którego celem miało być przyśpieszenie tej sprzedaży, której on się nieustająco sprzeciwiał. Zawiadomił o tym Prokuraturę Krajową. Będzie też skarżyć samą sprzedaż. Opowiada, jak syndyk sprzedał wyposażenie jego firmy: – *Linia sortownicza do owoców, kupiona za 6 mln zł, została sprzedana za 170 tys. zł. Linia do pakowania jabłek w torebki, która kosztowała mnie 2 mln – za 5 tys. zł. Linię do cięcia jabłek – koszt 2,5 mln zł – puszczono za 20 tys. zł. Regały magazynowe, kupione za prawie milion, prawie nowe, poszły w cenie złomu za niecałe 1,5 tys. zł* – wylicza. Dodaje, że na początku syndyk Krzysztof G. zwolnił trzy osoby, które tam pracowały i w ich miejsce zatrudnił 13 swoich. – *Tego dotyczyło pierwsze zawiadomienie, jakie złożyłem na działanie syndyka, a było ich dużo więcej* – mówi.

Paradowski skupił wokół siebie innych przedsiębiorców, którzy uważają, że zostali poszkodowani przez syndyków. To m.in. producent soków w firmie rodzinnej Korab Garden na Lubelszczyźnie. Opowiada, jak syndyk wyprzedał mu skrzynki na jabłka tuż przed zbiorami. – *Mówię, wstrzymaj się pan i sprzedaj po zbiorach, bo i wyrok o upadłość nie jest prawomocny, a on mówi, że nie ma z czego żyć, musi to sprzedać. 30 tys. nowych skrzynek, które kupowałem po 20 zł, on sprzedał po 2 zł za sztukę* – opowiada właściciel Piotr Nowak. Syndyk sprzedał też zakontraktowane wcześniej do Korei soki z aronii przygotowane w tysiąclitrowych beczkach. – *Sprzedaje je po 1,40 zł za litr, owoce były droższe. Powoduje nieodwracalne szkody* – mówi krótko Nowak.

Historie o firmach po upadłości są dramatyczne. – *To nie jest tak, że my jesteśmy ci źli, bo często upadłość jest wynikiem złego splotu zdarzeń, jakiegoś nieszczęścia.* U niego było to embargo na sprzedaż jabłek do Rosji, potem pojawił się problem ze spłatą kredytu, bank spółdzielczy wniósł o upadłość i było po wszystkim. Wielka firma zawaliła się jak domek z kart. Denerwuje się na wspomnienie tego, co zobaczył, gdy udało mu się zajrzeć do hal: rozebraną i porzuconą linię produkcyjną.

Oprócz strony aferaupadlosciowa.pl, którą poszkodowani przedsiębiorcy prowadzą, piszą pisma, domagając się zmian w przepisach. Rok temu napisali „zawiadomienie o procederze zaniżania wartości majątku przez syndyków" i wysłali do wszystkich: premiera Tuska, ministra Bodnara, NIK, KAS, mec. Giertycha czy senatora Kwiatkowskiego. Zwracali uwagę, że zgodnie z obowiązującym prawem koszty postępowania, a więc wynagrodzenie syndyka i osób przez niego zatrudnionych, zaspokaja się w pierwszej kolejności. Wierzyciele są dopiero po nich, a to rodzi patologie. Podali sumy ukazujące skalę tego biznesu: „wartość corocznie likwidowanego (wyprzedawanego) przez syndyków majątku szacuje się (...) pomiędzy kwotami 13 mld zł a 50 mld zł". Bez odpowiedzi.

A gdzie w tym wszystkim są wierzyciele, wie dokładnie Marek Korobacz, wierzyciel sieci sklepów sportowych GoSport, której upadłość też objęto praskim śledztwem. Firmę zamknięto trzy lata temu z tytułu sankcji na jej rosyjski kapitał i ogłoszono jej upadłość. Korobacz był jednym z dostawców towaru do sklepów, ma wierzytelność na 400 tys. zł netto. A ile dostał do tej pory? Kompletne zero! Mówi: – *Z tego, co wiem, do tej pory nikt z wierzycieli nie został zaspokojony, postępowanie upadłościowe trwa, cały czas wpływają tylko faktury kosztowe na rzecz syndyka.* Najbardziej jaskrawy wydatek: syndyk prowadzący upadłość GoSport zlecił syndykowi Krzysztofowi G. ustalenie i oszacowanie składników masy upadłości ze spisem z natury. Krzysztof G. wystawił za to fakturę na 1,6 mln zł.

– *Przecież wystarczyło wydrukować stany magazynów i sklepów, zresztą taki spis zrobili sami pracownicy przed ich zwolnieniem* – mówi Korobacz. Podobno tego miał dotyczyć jeden z zarzutów stawianych Krzysztofowi G. A to tylko składnik kosztów, które już na samym początku w planie likwidacyjnym umieścił syndyk, a sędzia komisarz zaakceptował. – *Tam jest aż 19 mln kosztów* – mówi Marek Korobacz. I podaje pokazane w nim przykładowe kwoty: – *Wynagrodzenie syndyka – 570 tys. zł netto, koszty archiwizacji dokumentów – 500 tys. zł netto, koszty najmu powierzchni związanej z obsługą upadłości – 800 tys. zł, obsługa prawna upadłości – 600 tys. zł. Jeszcze 700 tys. zł na koszty zabezpieczenia, ochrony i ubezpieczenia składników masy. Koszty dostawy mediów – 1 mln zł, koszt przejazdu osób i transportu towaru 910 tys. zł, koszty IT – 160 tys. zł.*

– *I tak z całego majątku zostaje ok. 3 mln zł, które powinny trafić do wierzycieli, czyli do nas, dostawców. Ale nawet ta hipotetyczna kwota 3 mln zł jest cały czas pomniejszana o kolejne koszty generowane przez syndyka. Bo 19 mln zł, jak wiemy z owego planu likwidacyjnego, już na wstępie zostało rozdzielone* – mówi.

Ministerstwo wolnych kroków

Upadli chcą założyć stowarzyszenie poszkodowanych przez syndyków. Niedawno uczestniczyli w posiedzeniu komisji sejmowej, gdzie przedstawiali swoje postulaty. – *Syndyk powinien być wyłaniany w drodze losowania i powinien mieć płacone od liczby zaspokojonych wierzycieli i czasu, w jakim to zrobi, bo postępowania upadłościowe nie powinny trwać po 8 czy 10 lat* – mówi przedsiębiorca Paweł Paradowski.

Przypomina, że Polska jako jedyny kraj w UE nie wprowadziła do tej pory „dyrektywy drugiej szansy". Choć mieliśmy to zrobić do 2022 r. Dyrektywa ma ułatwiać przedsiębiorcom powrót do działalności gospodarczej po problemach finansowych. Chodzi o stworzenie warunków do kontynuacji działalności poprzez zapewnienie bardziej elastycznych procedur restrukturyzacyjnych. W maju tego roku do Sejmu trafił projekt rządowy odnoszący się do tej dyrektywy.

Tymczasem Ministerstwo Sprawiedliwości zapytane, czy zamierza systemowo ukrócić samowolę syndyków, odpowiedziało, że zgłaszane nieprawidłowości są na bieżąco monitorowane przez „ministerialną Służbę Nadzoru". Przygotowywany jest też przetarg na prowadzenie kontroli wydatków syndyków i doradców restrukturyzacyjnych. „Przygotowywane są również zmiany przepisów prawa, aby uniemożliwić w przyszłości występowanie stwierdzonych dotychczas nieprawidłowości". Mówi się o tym od lat. I nic.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 54c79bd13b

Europejska suwerenność cyfrowa: Play i Scaleway łączą siły w rewolucji chmurowej dla polskiego biznesu

Play i Scaleway, liderzy w dziedzinie telekomunikacji i usług chmurowych z Grupy iliad, ogłaszają strategiczne partnerstwo, które zmienia krajobraz technologiczny dla polskich przedsiębiorstw. W erze dynamicznej transformacji cyfrowej, rosnącej niepewności geopolitycznej i szybkiego rozwoju sztucznej inteligencji, firmy zyskują dostęp do zaawansowanej, europejskiej infrastruktury chmurowej - alternatywy dla rozwiązań amerykańskich i azjatyckich, łączącej najlepsze cechy środowisk publicznych i prywatnych.

Chmura hybrydowa odpowiedzią na wyzwania cyfrowej transformacji

Według raportu KPMG „Monitor Transformacji Cyfrowej 2024", ponad 70% polskich przedsiębiorstw przeniosło już swoje aplikacje i dane do chmury. To nie trend, a biznesowa konieczność napędzana przez pandemię COVID-19, sytuację polityczną oraz dynamiczny rozwój technologii 5G, AI i IoT. Polski rynek chmurowy wzrósł o 34% w ubiegłym roku, osiągając wartość 3,9 mld zł.

Chmura hybrydowa – model integrujący środowiska publiczne i prywatne – staje się optymalnym rozwiązaniem, oferując równocześnie elastyczność, bezpieczeństwo i efektywność kosztową. Dzięki partnerstwu Play i Scaleway, polskie firmy zyskują dostęp do infrastruktury, która łączy te zalety z europejską suwerennością cyfrową.

Europejska alternatywa z zaawansowanymi możliwościami AI

Strategiczna współpraca Play i Scaleway opiera się na trzech filarach. Pierwszy to suwerenna europejska chmura publiczna zlokalizowana w Europie, zapewniająca zgodność z lokalnymi przepisami i wymogami niezależności cyfrowej. Drugi to zaawansowane możliwości GPU dla sztucznej inteligencji - Scaleway dysponuje mocą 5 tys. jednostek GPU, umożliwiających trenowanie modeli AI na żądanie. Trzeci filar to europejska alternatywa dla hiperskalerów – Grupa iliad zainwestowała niedawno 3 mld euro w rozwój sztucznej inteligencji.

Kompleksowa oferta dla polskiego biznesu

W ramach Play Rozwiązania dla Biznesu, polskie firmy i instytucje otrzymują kompleksowy pakiet usług. Centralnym elementem jest chmura hybrydowa, zapewniająca elastyczność zarządzania zasobami, bezpieczeństwo infrastruktury IT oraz zgodność regulacyjną. Do tego dochodzą zaawansowane narzędzia AI i przetwarzania danych, w tym serwery GPU w centrach danych w Warszawie i Paryżu oraz usługa Model-as-a-Service ułatwiająca wdrażanie modeli AI.

Oferta obejmuje również rozwiązania telekomunikacyjne, cyberbezpieczeństwo i kolokację, tworząc w pełni zintegrowany ekosystem technologiczny. Play wspiera już ponad połowę ze 100 największych polskich firm prywatnych, a partnerstwo ze Scaleway znacząco wzmacnia biznesowe portfolio operatora.

Przyszłość należy do suwerennych rozwiązań europejskich

Partnerstwo Play i Scaleway to odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie na cyfrową autonomię i optymalizację kosztów. Grupa iliad integruje infrastrukturę Play z usługami Scaleway, oferując wsparcie technologiczne bez uzależnienia od globalnych dostawców. Połączenie innowacyjnych technologii chmurowych z rozbudowaną siecią telekomunikacyjną gwarantuje wysoką wydajność operacyjną, stabilność systemów IT oraz bezpieczeństwo danych klientów biznesowych. Dzięki temu polskie przedsiębiorstwa mogą śmiało wkraczać w nową erę transformacji cyfrowej, zachowując niezależność technologiczną i konkurencyjność na europejskim rynku. ■

eprasa.pl 54c79bd13b

Prawą marsz!

W sobotę na swoje 79. urodziny – i z okazji 250. rocznicy powołania US Army – Donald Trump organizuje paradę wojskową w Waszyngtonie. Ma być widowisko, ale też akt zawierzenia wojskowych nowej władzy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Plan jest jednak dość ograniczony: pojawi się 25 czołgów Abrams, ale tylko starszej generacji, równie niemłode transportery opancerzone Stryker, haubice samobieżne Paladin i około setki innych pojazdów bojowych. Przelecą weterani: legendarny bombowiec B-25 Mitchell i myśliwiec P-51 Mustang. Współczesne lotnictwo wojsk lądowych pokaże 50 śmigłowców Apache, Black Hawk i Chinook, z których wyskoczą spadochroniarze z flagami. Aleją Konstytucji, pomiędzy Białym Domem a narodowym parkiem Mall, między pomnikami Waszyngtona i Lincolna, przemaszeruje 6,5 tys. żołnierzy, w tym rekonstruktorzy w historycznych mundurach, 34 konie, dwa muły i pies. Jeśli więc w ostatniej chwili nie zostaną dodane jakieś nowe elementy, trudno będzie to uznać za wielki pokaz siły supermocarstwa. Pod względem liczby sprzętu nawet polskie defilady na 15 sierpnia są okazalsze.

Defilada 14 czerwca będzie jednak tylko próbą generalną przed jeszcze większym świętem w 2026 r., gdy to właśnie Donaldowi Trumpowi przypadnie upamiętnienie 250 lat Deklaracji Niepodległości. Możemy sobie tylko wyobrażać, jak wielką i piękną Amerykę ma zamiar wtedy pokazać, również w prezencie na swoje 80. urodziny. Za rok paradę wojskową zapewne powtórzy, ale najpierw musi odbyć ćwiczenia.

Armia USA jest o ponad rok starsza od Stanów Zjednoczonych. Siły zbrojne amerykańskich buntowników powstały w czasie wojny o niepodległość w 1775 r., by skupić pod jednolitym dowództwem niezależne milicje kolonistów. Armia ta, po kilku latach krwawych kampanii, ostatecznie wygrała z Brytyjczykami, także z pomocą zagranicznych doradców, m.in. Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Później przez ponad sto lat toczyła wojny w imieniu młodej i ekspansywnej republiki: na północy z brytyjską armią w Kanadzie, z niepodległym już Meksykiem o Teksas oraz z rdzennymi plemionami, by niepodzielnie panować nad połową kontynentu.

Duma i wstyd

Brutalną przerwą w ekspansji była wojna domowa, po której pod koniec XIX w. Ameryka przyjęła doktrynę izolacji. A wymuszanie swoich interesów na świecie powierzyła marynarce wojennej, młodszej o cztery miesiące od wojsk lądowych. Stałej armii w owym czasie nie było. Dopiero wojny światowe XX w. zmusiły Amerykanów do globalnego zaangażowania wielkich jednostek poborowej piechoty. Sycylia, Normandia, Ardeny, Pacyfik – wszędzie tam armia walczyła u boku podobnej, choć odrębnej formacji, piechoty morskiej. Po zwycięstwie nad Niemcami i Japonią w 1945 r. Ameryka wyszła z wojny światowej jako hegemon, ale defiladę zwycięstwa zorganizowała dopiero pół roku później. I nie w Waszyngtonie, ale w Nowym Jorku.

Donald Trump tamtej parady nie może pamiętać, bo urodził się pięć miesięcy później. Liberalna metropolia i życie w bogatej rodzinie trzymały go z dala od munduru i spraw wojskowych. Armia była wówczas i pozostaje do dziś trampoliną awansu ze społecznych nizin, ale nie jest miejscem atrakcyjnym dla

© MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 54c79bd13b

milionerów. Wojna, jak wiadomo, może być świetną okazją do interesów, ale akurat nie w branży deweloperskiej, hotelowej czy rozrywkowej.

Trump nosił mundur tylko jako nastolatek, bo ojciec zapisał go na pięć lat do elitarnej wojskowej szkoły średniej z internatem – New York Military Academy. Choć formalnie miał status kadeta, w wojsku nigdy nie służył. Od poboru na wojnę w Wietnamie wymówił się zaświadczeniem o ostrogach, defekcie ortopedycznym zwalniającym od służby. Wypominany często Trumpowi brak wojskowego doświadczenia to jednak żaden wyjątek wśród prezydentów USA. W armii nigdy nie byli Barack Obama, Bill Clinton ani nawet Joe Biden, który też wymówił się od Wietnamu – przez astmę.

Po wojnie wietnamskiej, czyli już w dorosłych latach Trumpa, stosunek amerykańskiego społeczeństwa do armii bardzo się zmienił. Duma i szacunek dla żołnierzy mieszały się ze wstydem, świetnie pokazał to film „Urodzony 4 lipca" Olivera Stone'a. Ameryka wysłała swoich chłopców na wojnę, ale potem zostawiła ich na pastwę biedy i uzależnień.

Wrażliwy na popkulturę Trump musi mieć w pamięci obrazy podsuwane przez Hollywood, ale sam też widzi żebrzących weteranów na nowojorskich ulicach. Jako polityk twierdzi, że Wietnam i późniejsze „wieczne wojny" USA były błędem, i się chwali, że żadnej nie zaczął. Bidena oskarża o katastrofalną ewakuację z Afganistanu (którą sam wcześniej wynegocjował z talibami), a ostatnio – o doprowadzenie USA na skraj trzeciej wojny światowej poprzez wspieranie Ukrainy. W mowie inauguracyjnej podkreślał, że miarą jego sukcesu będą nie tyle wojny wygrane, ile te, do których nie dopuści.

Mimo tego pseudopacyfizmu ma wielką słabość do munduru i wojska jako symbolu potęgi i nowoczesności Ameryki. Jego opisy wojskowego sprzętu, szczególnie samolotów, budzą śmiech znawców technicznych detali („niewidzialne F-35", „pociski hydrosoniczne"), ale świadczą o głębokiej fascynacji maszynami. O defiladzie w Waszyngtonie myślał już w czasie pierwszej prezydentury, ale wówczas spotkał się z oporem Pentagonu, co zapamiętał generałom. Teraz nie ma mowy o sprzeciwie.

Na wojnie z generałami

W amerykańskim ustroju jedność władzy nad państwem i wojskiem jest stuprocentowa. Z chwilą zaprzysiężenia prezydent staje się głównodowodzącym sił zbrojnych i jako jedyny może wydawać rozkazy najwyższym dowódcom, także jeśli chodzi o użycie broni jądrowej. Łańcuch kierowania i dowodzenia biegnie z Białego Domu (prezydent USA) przez Pentagon (sekretarz obrony) wprost do powoływanych przez prezydenta czterogwiazdkowych generałów, odpowiedzialnych m.in. za dowództwa regionalne.

Inną funkcję – głównie w zakresie szkolenia oraz zapewnienia gotowości bojowej – pełnią najbardziej znane dowództwa rodzajów wojsk: armii, marynarki wojennej, marines, lotnictwa, reprezentowane w połączonym kolegium szefów sztabów. Ich wojskowi komendanci nie są dowódcami w ścisłym sensie operacyjnym, ale zarządzają wielkimi organizacjami podległymi Pentagonowi i mającymi swoich cywilnych przełożonych – wicesekretarzy obrony.

Najważniejszy żołnierz Ameryki – tytuł taki przysługuje przewodniczącemu kolegium połączonych sztabów – niczym nie dowodzi, ale ma być głównym, najbardziej doświadczonym doradcą prezydenta i sekretarza obrony. Na tym stanowisku Trump już odcisnął piętno, odwołując przed upływem kadencji czarnoskórego czterogwiazdkowego gen. Chrisa Browna (którego w poprzedniej kadencji promował na szefa sztabu sił powietrznych), a mianując świeżo emerytowanego trzygwiazdkowego gen. lotnictwa Dana Caine'a.

To kolejny dowód, że relacje Trumpa z najwyższymi rangą generałami nigdy nie były łatwe. Amerykański system „wychowuje" czterogwiazdkowego generała przez 30 lat służby i edukacji, by ostatecznie w jednej osobie skupić cechy charyzmatycznego przywódcy, profesora nauk wojskowych, menedżera zdolnego do zarządzania wielkimi organizacjami i wybitnego dyplomaty, mającego w telefonie numery światowych przywódców i dowódców. Oficerowie wyłonieni w procesie tej selekcji nie znajdowali jednak wspólnego języka z człowiekiem, którego do władzy wyniosło coś zupełnie innego.

W pierwszej kadencji Trump głównie toczył z nimi boje, aż ostatecznie ich znienawidził. Dotyczyło to nawet jego własnych nominatów – powszechnie szanowanych wojskowych intelektualistów, jak sekretarz obrony gen. James Mattis czy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego gen. broni H.R. McMaster. Szczególnej urazy Trump nabrał do powołanego przez siebie szefa kolegium połączonych sztabów, generała wojsk lądowych Marka Milleya.

Generał toczył z prezydentem słabo nagłaśniane spory m.in. o wojska w Europie, ale atmosfera szczególnie się zepsuła, ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ gdy Milley publicznie przyznał, że popełnił błąd, stanąwszy u boku Trumpa w politycznej pokazówce z Biblią, po siłowym usunięciu manifestantów protestujących przeciwko brutalności policji wobec czarnoskórych. Trump nigdy mu tego nie wybaczył, a generałów najwyższych rang zaczął nazywać „przegrywami" – w odróżnieniu od oficerów niższych stopni i szeregowych żołnierzy, których zawsze publicznie doceniał.

Antyelitaryzm ideologii MAGA skierował się też przeciwko wojskowemu profesjonalizmowi, wiedzy i doświadczeniu. To dlatego dziś Pentagonem kieruje major rezerwy (Pete Hegseth), a szefem połączonych sztabów jest generał broni wezwany z wojskowej emerytury (wspomniany już Caine). To dlatego Elon Musk wytoczył wojnę wydatkom wojskowym i wymusił zwolnienie tysięcy pracowników cywilnych Pentagonu. To dlatego z dowódczych stanowisk odwołano już kilka kobiet w randze generałów i admirałów.

W obronie przed lewactwem

Czystka zresztą dopiero nadchodzi – Hegseth chce zwolnić co piątego wysokiej rangi generała. Nieważne, że jego tajne decyzje były przekazywane na Signalu, a ślepe cięcia doprowadziły do paraliżu komórek doradczych, w tym biura Office of Net Assessment, uznawanego za światowy wzorzec analizy potrzeb wojskowych. Podobna „reforma" czeka biuro ds. testów i ewaluacji – kluczowy podmiot dbający o to, by nowy sprzęt działał jak należy.

Największa organizacja świata, czyli zatrudniający w sumie 3 mln osób w mundurach i garniturach Departament Obrony, jest od 20 stycznia polem zaciekłej bitwy trumpistów z wewnętrznymi wrogami. Na celowniku ekipy MAGA znalazły się przede wszystkim „liberalno-lewicowe ideologie", które – zdaniem Hegsetha – zaburzają rytm szkolenia i osłabiają siłę armii. Sekretarz obrony od lat prowadzi prywatną krucjatę przeciw ruchowi *woke* (na rzecz podnoszenia obywatelskiej świadomości czarnoskórych) i DEI – przepisom równościowym i antydyskryminacyjnym.

Trump, który opierał przekaz kampanijny głównie na supremacji białych mężczyzn, wynajął więc Hegsetha, bezkompromisowego i komunikacyjnie sprawnego osiłka z telewizji, do usuwania bidenowskich i obamowskich złogów. Sekretarz obrony pozostaje najwierniejszym żołnierzem Trumpa na wojnie związanej nie tyle z zewnętrznymi interesami USA, ile skierowanej do wewnątrz: od pokazywania wojska na granicy z Meksykiem, przez odsyłanie wojskowymi samolotami deportowanych imigrantów, po mechanizm jednostronnego przekazu, w którym sekretarz obrony nie występuje na konferencjach prasowych, lecz sam nagrywa filmiki w nowym studiu z makijażystką.

Podobnie jak ekipa Muska ludzie Hegsetha wparowali do Pentagonu z futryną i nie oglądali się na drobiazgi. Zabrali się do czyszczenia stron internetowych, archiwów, bibliotek, by po „lewactwie" ślad nie pozostał. Nie oszczędzili nawet bombowca, który zrzucił pierwszą bombę atomową. Jego w końcu pech, że nosił nazwę Enola Gay (kogo obchodzi, że na cześć matki pilota), a *gay* to teraz słowo zakazane.

Swoją drogą ciekawe, czy Pentagon wyśle na defiladę zaczęty w pierwszej, a skasowany w drugiej kadencji Trumpa lekki czołg M10 Booker, nazwany na cześć wielokulturowej armii. Robert Booker był białym szeregowym z Nebraski, który poległ w czasie drugiej wojny światowej w Tunezji, a Stevon Booker – czarnoskórym sierżantem sztabowym, zabitym w ataku na Bagdad. Kampania Trumpa i Hegsetha, wymierzona w integrację mniejszości i dotychczasową rolę wojsk USA, kwestionuje dziedzictwo Bookerów, nie tylko walory samego sprzętu.

Nierówno pod Kopułą

Dyrektywy Trumpa świadczą o tym, że Ameryka ma odzyskać pozycję niekwestionowanej potęgi numer jeden, zagrożoną przez Chiny, nie angażując się w bezpośrednie starcia. Co najwyżej będzie grozić odwetem z dystansu. Zmienia to zasadniczo rolę wojska i zasoby potrzebne do jej wypełniania. Na znaczeniu tracą siły przeznaczone do bezpośredniej walki, jak manewrowe wojska lądowe, a zyskują te zdolne do dalekich, precyzyjnych uderzeń. Czołgi i artyleria lufowa nie są już priorytetem, bardziej od nich liczą się rakiety, samoloty i okręty.

Najważniejszym do tej pory zadaniem, jakie Trump postawił generałom i przemysłowi obronnemu, jest budowa samolotu nowej generacji, który nazwał na własną cześć F-47 (Trump jest prezydentem nr 45 i 47). Poszedł przy tym na skróty, przyznając kontrakt Boeingowi. Bo chodzi o czas – Pekin pokazał pod koniec 2024 r. kilka konstrukcji, które mogą świadczyć o tym, że w wyścigu technologicznym Chiny są zdolne wyprzedzić Amerykę. Aby dorównać im w produkcji okrętów, Trump zamierza wpompować setki miliardów dolarów w stocznie.

Ukochanym dzieckiem prezydenta i jego potencjalnym dziedzictwem na dekady ma być jednak Złota Kopuła – system obrony powietrznej i antyrakietowej dla Ameryki, może też Kanady. Trump lubi złoto i kopuły, imponuje mu izraelski system obronny Iron Dome, który zyskał światową markę, potwierdzając skuteczność wobec większości ataków Hamasu, Hezbollahu i irańskich dronów. Paradoks polega na tym, że choć USA przez dekady finansowały rozwój tarczy dla Izraela, to poza 15 mobilnymi dywizjonami Patriota i 7 dywizjonami systemu THAAD nie dysponują antyrakietową osłoną własnego terytorium.

Po atakach z 11 września 2001 r. George W. Bush zainicjował tworzenie baz strategicznych pocisków przechwytujących, ale projekt ugrzązł po wybudowaniu jednej instalacji na Alasce i kilku wyrzutni w Kalifornii. Trump nie chce do tego wracać, ale wzoruje się na pomyśle o kilka dekad wcześniejszym – „gwiezdnych wojen" Ronalda Reagana (Strategiczna Inicjatywa Obronna). Koncepcja Złotej Kopuły obejmuje bowiem „interceptory orbitalne", które mają być w stanie zestrzelić każdą rakietę lecącą na USA. Przedsięwzięcie to jest jednak tak skomplikowane, że nie da się go zrealizować za zapowiedziane 175 mld dol. – ani w trzy lata, czego chce Trump.

Czerwiec przyniesie zresztą inne ważne wieści o wojskowej polityce USA. Najważniejsze pytanie – co dalej z Ukrainą – poczeka do końca miesiąca, gdy w Hadze spotkają się przywódcy NATO, a w Brukseli zbierze się unijny szczyt poświęcony głównie obronie Europy. Przed szczytem NATO dowiemy się o planach redukcji amerykańskich kontyngentów na świecie, w tym w Europie. Nominat Trumpa zostanie wyznaczony na stanowisko głównodowodzącego NATO, a Sojusz zakończy cykl wiosennych ćwiczeń, z mniejszym niż do tej pory udziałem Amerykanów. Dlatego waszyngtońska defilada w pewnym sensie może być na pożegnanie.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 54c79bd13b

Ruiny Czasiw Jaru

Gdy przestaną nas zabijać

Rozmowa z Serhijem Rachmaninem, ukraińskim deputowanym, wieloletnim dziennikarzem, o tym, co z wojną zrobiły drony, czy można kupić zwycięstwo i co zrobić z Donaldem Trumpem.

PAWEŁ RESZKA: **– Wygracie?**

SERHIJ RACHMANIN: – Wierzę, że zwyciężymy, i jestem pewien, że nie przegramy.

Kiedy ostatni raz był pan na froncie?

Trzy tygodnie temu.

Jak wygląda wojna?

Stała się wojną dronów. Postępuje jej technologizacja i robotyzacja. Co nie znaczy, że ludzie nie są potrzebni. To piechota broni pozycji przed atakami piechoty przeciwnika.

Tu przewagę ma przeciwnik.

To jest kluczowy czynnik. Rosjanie dysponują dużo większą liczbą żołnierzy. Całkowicie przestawili się na taktykę małych grup. Wysyłają po kilku żołnierzy w kierunku naszych pozycji. Ginie pięciu, ale jeden zostaje przy życiu. Okopuje się, trwa w ukryciu. Idzie następna grupa. Ginie czterech, ale dwóch dołącza do tego, który przeżył. W końcu w pobliżu naszych linii zgromadzi się dostateczna grupa, by spróbować szturmu. A gdy walka odbywa się na tak krótkim dystansie, trudno skutecznie używać dronów. I czasem szturm przynosi im sukces. Oczywiście taka taktyka generuje gigantyczne straty w ludziach.

A sukces to przesunięcie pozycji o 100–150 m.

Front przesuwa się powoli. Awdijewka została zajęta zimą. Dziś walki trwają jakieś 40 km dalej na zachód. Na mapach sztabowych taka odległość to zaledwie jeden „skok” dla wojsk pancernych. Inny przykład to Bachmut (zajęty przez Rosjan w połowie 2023 r. – przyp. red.), dziś walki toczą się o Czasiw Jar, odległy o 13 km. Tak więc sukcesy mierzy się w setkach, czasem w dziesiątkach metrów.

Czasiw Jar nie przypomina już miasta. Drony wiszą nad ruinami budynków. ▶

© KOSTIANTYN LIBEROV/LIBKOS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ Najmniejszy ruch oznacza ostrzał z artylerii lub dronów uderzeniowych. Kojarzy się to trochę z pierwszą wojną światową.

Tylko pozornie. W pierwszej wojnie masy ludzi próbowały atakiem na wprost przełamać jakiś odcinek frontu. Praktycznie bez żadnego postępu. Dziś wojsko jest rozciągnięte na większym obszarze i mimo dominacji dronów wojna jest manewrowa. Ataki, kontrataki odbywają się przy pomocy małych grup piechoty, wspartej przez aparaty bezpilotowe i ogień artylerii. To nie są klasyczne walki, gdy czołgi działają w otwartym terenie i służą do przełamania obrony. Dziś pojawienie się sprzętu pancernego w otwartym terenie oznacza, że zostanie on zniszczony przez lotnictwo bezzałogowe. Drony nadają ton, ale nie da się walczyć samymi dronami. Awdijewka jest tu klasycznym przykładem. Tam przeciwnik przełamał obronę przy użyciu dużej liczby żołnierzy. Takiego ataku nie da się powstrzymać wyłącznie bezzałogowcami. Zabijesz dwie trzecie atakujących, ale jedna trzecia idzie dalej.

Słuchałem niedawno wystąpienia gen. Walerija Załużnego, ambasadora Ukrainy w Londynie. Mówił, że nie chce zasmucać Brytyjczyków, ale ich państwo kupuje drogi sprzęt wojskowy, który wkrótce będzie nieprzydatny.

Nawet te kraje, które inwestują w obronność, jak Stany Zjednoczone czy Francja, dokonały złych wyborów. Na przykład drogie drony się nie sprawdziły. Ciężkie czołgi tak samo – nie bardzo radzą sobie na naszym froncie. Są mało zwrotne, drogie w utrzymaniu, a i tak nie mają ochrony przed uderzeniami z góry. Dobry dron zniszczy i starego sowieckiego T-72, i najnowocześniejszego Leoparda.

Dron może być tani, a Leopard to drogi sprzęt.

Zgadza się. Pamiętajmy jednak, że już kilka razy żegnaliśmy się np. z czołgami. A ciągle się przydają, choćby jako wsparcie szybkiego kontrataku piechoty. Mówiło się też o końcu artylerii. Jej rola jest rzeczywiście mniejsza, ale klasyczny dron może przenosić dużo lżejszy ładunek bojowy niż pocisk artyleryjski. Warto więc zachować równowagę.

Drążę sprawę, bo Polska jest teraz na wielkich zakupach.

Przede wszystkim trzeba się skupić na systemie obrony powietrznej. Praktycznie żaden kraj na świecie nie ma go rozbudowanego i harmonijnego. Nawet Stany Zjednoczone, które, owszem, mają systemy Patriot, w tym takie, które zestrzeliwują rakiety balistyczne, na poziomie taktycznym, do obrony piechoty na polu walki, praktycznie nie mają nic.

Dlaczego?

Logika prowadzenia wojny była inna. USA za pomocą okrętów zbudowało strategiczną przewagę na morzu. Dzięki lotnictwu zdobyło dominację w powietrzu. Z kolei mobilne jednostki piechoty mają za zadanie pokonać szybko określony dystans. I to działało w Iraku czy Libii. Ale tam często przeciwnikami byli faceci z kałasznikowem na ramieniu. Gdy masz przeciw sobie dobrze zorganizowaną obronę, kiedy wróg ma skuteczne środki walki przeciwlotniczej, twoje lotnictwo jest bezradne. A Rosja – trzeba przyznać – zainwestowała dużo w obronę przeciwlotniczą. Po drugie, trzeba inwestować w środki walki elektronicznej, rozpoznanie elektroniczne. Następnie drony. I w końcu zrobotyzowane systemy naziemne.

Roboty zastąpią ludzi?

Nie zawsze się da, ale jeśli są możliwości, trzeba to robić, nie warto na tym oszczędzać. Myślę o zautomatyzowanej obronie powietrznej i naziemnej. O kompleksach przeznaczonych do minowania i rozminowywania. A także o robotach transportujących amunicję, prowiant i do ewakuacji rannych. Na wielu odcinkach frontu to już się dzieje.

W okopach można spotkać wielu ludzi w naszym wieku, czyli dobrze po pięćdziesiątce.

Mamy problem z mobilizacją. Liczba ludzi gotowych bronić swojej ojczyzny w dowolnym kraju jest ograniczona. W 2022 r. Ukraina przeprowadziła szybką i skuteczną mobilizację. Co najmniej połowa osób, które dołączyły do sił zbrojnych w tamtym czasie, była ochotnikami. Ten zasób został w dużej mierze wyczerpany. Po ochotnikach na wojnę szli ci, którzy sami się nie zgłosili, ale czekali na wezwanie: „Dostanę bilet, to pojadę". Teraz przeważa trzecia kategoria ludzi – ci, którzy nie chcą walczyć. Nie będę ich osądzał, nie mam do tego moralnego prawa.

Internet pełen jest filmów z polowania na poborowych. Jednocześnie w komendach uzupełnień służą często żołnierze, którzy walczyli na froncie.

Nic nie usprawiedliwia brutalnych zachowań pracowników komend. Wbrew społecznej percepcji, narzuconej m.in. przez rosyjską propagandę, trudno ich nazywać sadystami, choć zdarzają się przypadki łamania prawa. Można ich też jakoś zrozumieć, w końcu oni walczyli, a teraz starają się mobilizować tych, którzy dostali wezwanie, a nie idą.

Co w mobilizacji zawiodło najbardziej?

Komunikacja. W 2022 r. Wołodymyr Zełenski co wieczór zwracał się do obywateli. Mówił z sensem, precyzyjnie, motywował. Szkoda, że potem nie znalazł właściwych słów, by zachęcać ludzi do wyjazdu na front. Przegapiliśmy ważny moment, był czas, gdy osoby z autorytetem powinny były zwracać się w tej sprawie do obywateli. Zbyt długo zwlekano, dziś to już bardzo trudne. Nie wypracowaliśmy formuły zachęt finansowych, moralnych. Zamiast tego zrobiono tak, jak robiło się zawsze: określono plan mobilizacji i rozesłano wezwania.

To nie działa, bo ludzie się boją.

Boją się śmierci, ran, niewoli. Boją się, że dowódcy postawią przed nimi zadania trudne do wypełnienia. Boją się, że pójdą walczyć bez przygotowania. Tym bardziej że każdy w bliskim otoczeniu ma kogoś, kto zginął, został ranny lub przepadł bez wieści.

Ale przecież są brygady, które same skutecznie zajmują się rekrutacją żołnierzy.

Brygady, o których mowa, reklamowały się: na billboardach, w Telegramie, na YouTube. Przekonywały, że jak się do nich zgłosisz, to cię wyposażą. Nauczą walczyć. A jeśli coś ci się stanie, pomogą, nie zostaniesz sam. Dzięki temu zgłaszali się do nich ochotnicy. Trzeba było skorzystać z ich doświadczenia, ale nie zrobiono tego.

Może warto zapłacić żołnierzom bardzo duże pieniądze? Rosjanie tak robią.

Rosjanie mają większe możliwości mobilizacyjne, bo po prostu jest ich więcej. Po drugie, posłali na front wielką liczbę więźniów, opróżnili zakłady karne i znaleźli tanie mięso armatnie. Za plecami tych ludzi stoją oddziały zaporowe. Nie idą do przodu, to strzelają im w plecy. My nie stosujemy takich metod. U nas nie ma obowiązkowej służby wojskowej. Tymczasem Rosjanie co roku zwiększają liczbę poborowych. I różnymi sposobami – szantażem, przekupstwem, oszustwem – wysyłają ich na front. Gubernator, który ma na swoim terenie wielką fabrykę amunicji, chce mieć w niej pełne zatrudnienie.

eprasa.pl 54c79bd13b

Władze centralne mówią mu: „Dobrze, ale musisz dostarczyć tylu i tylu ludzi na front". Skąd ich weźmie? Jego sprawa.

Byłem w 24. Brygadzie i tam mnie przekonywali: „My tu nie jesteśmy dla pieniędzy".

Człowiek ryzykuje życie i to całkiem naturalne, że państwo – jeśli ma takie możliwości – powinno mu za to zapłacić. Takie zachęty stosuje się obecnie w odniesieniu do ochotników w przedziale wiekowym 18–24 lata. Tyle że na młodych zachęta finansowa nie działa. W opiniach, które słyszę od wojskowych, powraca jeden motyw: uważają, że należy podnieść uposażenie piechocie, która walczy na pierwszej linii. Ona bierze na siebie najtrudniejsze zadania i tu są też największe braki kadrowe. Jeśli byłyby dodatkowe środki, kierowałbym je właśnie tam.

Badania opinii publicznej mówią, że już prawie 50 proc. obywateli jest za zakończeniem działań wojennych na obecnej linii frontu.

Ten wskaźnik rzeczywiście rośnie. Wojna stała się codziennością, wywołuje coraz mniej emocji, a coraz więcej znużenia. Ludzie tęsknią za normalnym życiem. Jednak we wszystkich badaniach powtarza się stwierdzenie, że pokój nie może być podpisany na każdych warunkach, że to nie może być kapitulacja.

Co przyniosą rozmowy z Rosją?

Władimir Putin jest przekonany, że ma dość atutów, by siłowo narzucić nam swoje warunki. Jego przemysł zbrojeniowy osiągnął szczyt możliwości, według ekspertów ten stan może trwać do przyszłego roku. Uważa, że nasza armia słabnie. A oni – choć straty są niewiarygodnie wielkie – posuwają się do przodu. Liczą na to, że ten rok będzie przełomowy. To się może zmienić, ale dziś nie widzę szans na porozumienie.

Postawa USA sprzyja Rosji?

Tak, postawa USA i brak jedności w Unii. Europa dyskutuje o funduszu obronnym, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto powie „nie". Europa mówi o kontyngencie wojskowym – znów to samo. Jasne, że Unia to wiele krajów i wiele interesów. Warto byłoby jednak zachować przynajmniej pozory jedności. Przecież rozmawiacie o systemie bezpieczeństwa zbiorowego w przededniu możliwej wojny.

Rosja może zaatakować Zachód?

Nie wykluczam tego. Jeśli Putinowi uda się tutaj, w Ukrainie, to dlaczego miałby się zatrzymać?

Serhij Rachmanin – deputowany do Rady Najwyższej z partii Hołos. Członek Stałej Delegacji Ukrainy w Zgromadzeniu Parlamentarnym OBWE. Wcześniej wieloletni zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Dzerkało Tyżnia", jeden z najbardziej znanych publicystów politycznych w Ukrainie.

Był pan w USA podczas wyborów. Rozmawiał pan z Republikanami. Czy Donald Trump zrozumie, że z Putinem nie da się dogadać?

Wielu polityków Partii Republikańskiej było chyba przekonanych, że będą mieli wpływ na politykę Trumpa, że urzędnicy z Departamentu Stanu, Pentagonu, doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, wywiadu będą korygowali jego działania. Tak jak w pierwszej kadencji. Teraz to jednak nie zadziałało i oni chyba nie bardzo wiedzą, co z tym robić. Prezydent nie jest przecież carem, ale Trump chce być Putinem.

Naprawdę?

Tak. Stara się go kopiować, darzy szacunkiem. Bo Putin to facet, który robi, co chce.

Możecie więc liczyć na Amerykę? Albo inaczej: czy możecie ją zignorować?

Trudne pytanie. Wobec Trumpa można mieć różne uczucia: podziwiać go, wyśmiewać. Nie można go jednak ignorować. Jest prezydentem największej potęgi świata. A czy możemy się obejść bez wsparcia USA? Jeśli mówimy o pomocy wojskowej, to jest ona w dużej mierze przeceniana. Oczywiście, jest dla nas bardzo ważna, jednak stwierdzenie, że zostaliśmy zalani amerykańską amunicją i nowoczesnym uzbrojeniem, byłoby wielką przesadą.

A jakie są te krytycznie ważne elementy?

Informacje wywiadowcze, w pierwszej kolejności dotyczące wczesnego ostrzegania przed atakami rakietowymi. Jeśli nie będziemy otrzymywali tych danych, nasze straty znacznie wzrosną. Dalej łączność, czyli Starlink. Płacimy za niego, Polska nam tu pomaga. Jeśli zostaniemy odcięci od Starlinka, to będzie wielki problem. Do tego dochodzą rakiety, bomby kierowane i oczywiście pociski do systemu Patriot. Jest jeszcze jeden problem: większość uzbrojenia na rynku produkowana jest na amerykańskiej licencji albo z udziałem amerykańskich technologii bądź amerykańskiego kapitału. Można sobie wyobrazić, że USA nie zechce, by jego partnerzy sprzedawali nam taką broń czy amunicję. To odcięłoby nam tlen.

Ameryka nie zachowuje się teraz jak partner Ukrainy. Wypełnia jedynie zobowiązania jeszcze poprzedniej administracji. Jeśli USA zacznie zachowywać się jak nasz przeciwnik, tj. rezygnować z sankcji nałożonych na Rosję, na powrót z nią handlować, legalizować aneksję przez Moskwę ukraińskich terytoriów, to nasza sytuacja stanie się naprawdę trudna. Szczególnie jeśli Europa nie znajdzie w sobie dość siły, by to jakoś zrównoważyć.

A powinna?

Tak, bo inaczej grozi jej rozpad. To trudny czas dla wszystkich. Ukraina walczy o istnienie. Ameryka przechodzi test z demokracji. NATO i Unia Europejska – z jedności. Niestety teraz zarówno Rosja, jak i USA robią wiele, aby jedność UE i NATO osłabić. Europa powinna być zainteresowana tą jednością, zwłaszcza kraje leżące w bezpośredniej bliskości Rosji.

Jak Unia może pomóc Ukrainie?

Wiem, że nie mamy prawa niczego wymagać od Europy. Możemy jednak przypominać, że walczymy z Rosją, gdy Europa oszczędza na swoim bezpieczeństwie. Jeśli nas zabraknie, cena bezpieczeństwa będzie znacznie wyższa. Powiedzmy sobie wprost: nie chcecie ginąć na wojnie? Nie chcecie tracić na obronę miliardów i bilionów? Inwestujcie choćby miliony w naszą obronę. Wiem, że zabrzmi to cynicznie, ale oszczędzicie ludzi i pieniądze.

Śledził pan kampanię prezydencką w Polsce?

Odchodzący prezydent Andrzej Duda jest bardzo dobrze postrzegany w Ukrainie. Był dla nas zrozumiały i przewidywalny. To, jak i co mówił, naprawdę zmieniło stosunek Ukrainy do Polski. Jak będzie z jego następcą? Przechodzimy teraz kolejny trudny okres w relacjach z Polską. Dlatego wiele rzeczy będzie zależało od mądrości nowego prezydenta. Jesteśmy sąsiadami, Ukraina w wielu aspektach zależy od Polski. Mamy też spory, które pozostają niezamknięte. Ale zamkniemy je prędzej czy później. Chciałbym jednak, aby te kwestie zostały wyjęte poza nawias, dopóki trwa wojna. Abyśmy mogli je rozwiązać, gdy przestaną nas zabijać.

ROZMAWIAŁ W KIJOWIE PAWEŁ RESZKA

© FACEBOOK/SERHIJ RAHMANIN

eprasa.pl 54c79bd13b

Żywe Korany

Zapamiętanie całej świętej księgi islamu – coraz powszechniejsze wśród muzułmanów – staje się dziś atutem nie tyle religijnym, ile politycznym. I raczej nie zwiastuje niczego dobrego.

ŁUKASZ WÓJCIK

Gen. Asim Munir, dowódca pakistańskiej armii, zna już

Koran zna na pamięć np. dowodzący armią pakistańską gen. Asim Munir – główny sprawca zamieszania, które pod koniec kwietnia o mało nie doprowadziło do otwartej wojny z innym mocarstwem atomowym, Indiami. O tym, że generał jest hafizem, czyli z arabskiego „strzegącym", „zapamiętującym" albo po prostu „żywym Koranem", wielokrotnie przypominano od czasu jego nominacji trzy lata temu. Hafiz – to brzmi dumnie w kraju muzułmańskim, zwłaszcza w takim, który swoją tożsamość i odrębność (od Indii) buduje na islamie.

Podobne aspiracje ma prezydent Recep Tayyip Erdoğan, który od ponad 20 lat próbuje uczynić z islamu główną składową tureckiej tożsamości. Co prawda nie jest jeszcze hafizem, ale ponoć stale zapamiętuje kolejne fragmenty. Tureckie media regularnie informują o postępach prezydenta, dokumentując to certyfikatami wystawionymi przez zaprzyjaźnionych duchownych.

Dla polityków takie „kwalifikacje" są na wagę złota, bo hafizowie pełnią w muzułmańskiej społeczności szczególną funkcję. Koran to przede wszystkim słowo mówione, nie pisane. Przez pierwsze wieki islamu język arabski był w powijakach, większość muzułmanów stanowili analfabeci. W takich okolicznościach hafizowie przejmowali funkcję chodzących wykładni prawd wiary i zasad życia, których powinni przestrzegać wierni.

Dziś ich liczba *per capita* w krajach muzułmańskich wyraźnie rośnie. – *Z moich szacunków wynika, że jeszcze w latach 80. XX w. odsetek hafizów wśród muzułmanów nie przekraczał 1 proc., a dziś dobija już do 3 proc.* – twierdzi Mouhanad Khorchide, austriacki badacz Koranu irańskiego pochodzenia. – *Powodów jest kilka. Po pierwsze, łatwość nauki, do czego przyczynił się internet. Po drugie, więcej wolnego czasu. I po trzecie, chyba najważniejsze: ma to związek z nową wrażliwością religijną wśród muzułmanów, która nie zwiastuje niczego dobrego.*

1 Są trzy podstawowe metody: wizualizacja, zapisywanie i mówienie na głos, tłumaczy Recai Albayrak, turecki hafiz, były mufti stambulskiego Błękitnego Meczetu. Po pierwsze, długie wpatrywanie się w poszczególne wersety, żeby przy wypowiadaniu konkretnego fragmentu w głowie wyświetlał się jego obraz. Tu przydają się takie aplikacje jak Muslim+, które „dawkują" kolejne wersety w odpowiednim formacie. Drugi sposób to kilkakrotne zapisywanie fragmentów do zapamiętania. I w końcu: wypowiadanie fragmentów Koranu na głos w ramach zapamiętywania melodii tekstu.

A że sury (rozdziały w Koranie) nie są ułożone chronologicznie, tylko od najdłuższej do najkrótszej, zaleca się ich naukę od końca. Wówczas na starcie nauka daje szybką satysfakcję przy odhaczaniu kolejnych fragmentów. Jednak nie wystarczy zapamiętać. Trzeba je również umiejętnie wyrecytować w klasycznym (a nie współczesnym) arabskim, a w zasadzie to zaśpiewać. Koran napisany jest prozą rymowaną, w której rymy pojawiają się nieregularnie, a liczba sylab w każdym wersecie może być inna. Umożliwia to melorecytację, która dla obcych uszu brzmi czasem jak śpiew.

Sprawa nie jest więc łatwa. Składający się ze 114 sur Koran zawiera ok. 77 tys. słów (Biblia to ok. 700 tys. słów, sam Nowy Testament – 180 tys.). Przy systematycznej pracy najlepsi – i najczęściej najmłodsi – potrafią opanować całą księgę w dwa lata, ci bardziej oporni – w pięć. Potem dochodzi jeszcze podtrzymywanie pamięci, co oznacza codzienne powtarzanie długich fragmentów.

Nagroda jest jednak niebagatelna. Każdy, kto zapamięta cały Koran i podda się procedurze kontrolnej, by to potwierdzić, zyskuje miano hafiza lub hafizy. Najważniejsze przyjdzie jednak po śmierci. Mahomet miał powiedzieć, że „ktokolwiek recytuje Koran i zapamiętuje go, (...) Allah dopuści go do Raju dzięki temu i udzieli mu wstawiennictwa za dziesięciu członków jego rodziny, którzy mieli zostać skazani na Ogień".

2 O tym, że najmłodszym nauka przychodzi najłatwiej, świadczy historia sześcioletniego Irańczyka Mohammeda Husajna Tabatabaiego, który na przełomie XX i XXI w. zrobił międzynarodową karierę. Podróżował po Europie, ściągając do sal tysiące miejscowych muzułmanów, którzy traktowali go jak gwiazdę rocka. Talent chłopca odkryła jego matka, gdy miał dwa lata – wolał czytać Koran, niż się bawić. Podobno nauczył się całej księgi w 12 miesięcy.

Zdaniem egzaminatorów z Hijaz Islamic College w Coventry sześciolatek zrozumiał również znaczenie wersetów, co zaowocowało przyznaniem mu przez tę uczelnię tytułu doktora teologii. Już wcześniej miał państwowy tytuł doktora z Iranu, gdzie każdy hafiz (lub hafiza)

© MUSTAFA KAMACI/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 54c79bd13b

cały Koran na pamięć. Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan jeszcze się uczy, ale robi ogromne postępy.

z automatu dostaje taki stopień naukowy. W samym Iranie miał już wtedy własny program w ogólnokrajowej telewizji. Wszyscy ważni ajatollahowie robili sobie z nim zdjęcia.

Właśnie w Iranie – oraz w krajach Azji Południowo-Wschodniej – na jednego muzułmanina przypada statystycznie najwięcej hafizów, co może dziwić, bo arabski jest tam językiem obcym. Tylko w 2024 r. w 240-milionowym Pakistanie przybyło 81 tys. hafizów. Od tej regionalnej reguły jest jednak wyjątek – Strefa Gazy. Według Khorchide i innych naszych rozmówców do wojny było tam największe zagęszczenie „żywych Koranów" na świecie.

W przedwojennej Gazie Koran był wszechobecny. Taksówkarze odruchowo podkręcali dźwięk do maksimum w trakcie radiowych transmisji recytowania. Był odtwarzany w sklepach spożywczych, jego wersety można znaleźć na ścianach w formie graffiti, na znakach ulicznych i zawieszone w biurach obok zdjęcia Kopuły na Skale. Hafizi z Gazy zyskali reputację jednych z najlepszych na świecie. Kiedy jeszcze przejście graniczne w Rafah było otwarte, najważniejsze meczety świata regularnie ich zapraszały do siebie.

Khorchide tak to tłumaczy: – *Jesteś w zasadzie odcięty od świata* (Gaza – od 2007 r.), *z bardzo ograniczonym dostępem do mediów, praktycznie bez internetu, skupiony na codziennym przetrwaniu. Masz wiele czasu, aby czytać Koran. Jednych to radykalizuje i prowokuje do działania, dla innych to rodzaj eskapizmu. Koran staje się wszystkim, co mają.*

Taki punkt wyjścia skutkował nieraz skrajnie odmiennymi postawami. Jeszcze 10 lat temu najsłynniejszym hafizem z Gazy była niewidoma Karima Abu Szahma, obdarzona nie tylko anielskim głosem, lecz również zdolnościami menedżerskimi. Sama organizowała fundusze i prowadziła bezpłatną szkołę koraniczną dla dziewcząt w Chan Junus. Dziś z budynku szkoły nie został kamień na kamieniu, a w powodzi wewnętrznych uchodźców zniknęła również sama Karima.

Hafizem był też Jahja Sinwar, wieloletni szef Hamasu w Strefie Gazy, uchodzący za mózg ataku na Izrael 7 października 2023 r. Znajomość całego Koranu była dla niego przepustką do kierownictwa Hamasu, gdzie m.in. z tego powodu ściągnął go legendarny lider tej organizacji terrorystycznej Ahmad Jasin. Sinwar zginął w październiku 2024 r., wytropiony i zlikwidowany przez armię izraelską.

3 Wśród Żydów nauka Tory na pamięć nie ma religijnego sensu. Mają natomiast obowiązek jej czytania. Kto zamiast przeczytać fragment w synagodze w szabat, wyrecytuje go z głowy, nie spełni dobrze tej powinności (podobnie jak katolicki ksiądz podczas mszy). Jednocześnie w Izraelu do łask wraca stara żydowska metoda nauczania Tory, a mianowicie zapamiętywanie poprzez wielokrotne powtarzanie wersetów zgodnie z tradycyjną melodią. Coraz częściej odbywają się konkursy znajomości i recytacji Tory dla młodzieży szkolnej.

Podobne konkursy robią ostatnio furorę wśród chrześcijan w Stanach Zjednoczonych. Od kilkunastu lat odbywa się tam np. National Bible Bee, czyli ogólnokrajowy konkurs recytacji Biblii z pamięci. W listopadzie 2024 r. w finale udział wzięło 360 dzieci w wieku od 5 do 18 lat. Klipy z najlepszymi występami krążą po internecie, transmisja idzie na żywo w ogólnokrajowej telewizji. Młodsi muszą opanować ponad 570 wersetów, ci z najstarszej kategorii wiekowej (15–18 lat) – nawet tysiąc, co oznacza ponad 20 tys. słów.

Dla konserwatywnych protestantów z USA i dla konserwatywnych Żydów zapamiętywanie świętych wersetów od dawna odgrywało dużą rolę w edukacji. Dziś ta umiejętność przeżywa renesans m.in. za sprawą popularności nauczania domowego. Wiele chrześcijańskich rodzin, również w Europie, postrzega zapamiętywanie Biblii jako sposób na wpojenie dyscypliny, umiejętności organizacyjnych i sprawności w wystąpieniach publicznych. Ale to coś więcej niż tylko intelektualne lub praktyczne zajęcie.

Z religijnego punktu widzenia trudno krytykować rosnącą popularność zapamiętywania świętych tekstów – to przecież pozwala wiernym nawiązać bliższą relację z Bogiem. Ciekawie robi się dopiero na poziomie społecznym. Nieżyjący już egipski ekspert od Koranu Nasr Abu Zajd zwracał uwagę, że równie dobrze może to być próba ucieczki od świata, odrzucenia nowoczesności. A na poziomie teologicznym najczęściej oznacza drogę przeciwną do tej, jaką chrześcijaństwo przebyło w drugiej połowie XIX w. Wówczas chrześcijanie uznali, że Biblia jest ludzkim tworem, naznaczonym kulturą i charakterem poszczególnych autorów, powstałym z boskiej inspiracji. Nie jest więc literalnym źródłem niezmiennych praw, dzięki czemu da się ją pogodzić z nowoczesnością. Dla hafiza, który przecież dba o wydźwięk każdego słowa, byłoby to bluźnierstwo. On jest „żywym Koranem" i stoi na pozycji fundamentalnej. ■

eprasa.pl 54c79bd13b

Spiżowy parasol

Dlaczego nowy papież Leon XIV nie pozwoli politykom pokroju Donalda Trumpa wykorzystywać katolicyzmu? I co łączy Roberta Prevosta z Karolem Wojtyłą? Rozmowa z watykanistą Massimem Faggiolim.

Massimo Faggioli – ur. 1970 r., profesor teologii i religioznawstwa na Villanova University w Pensylwanii (katolicka uczelnia założona przez zakon augustianów, do którego należał Robert Prevost). Watykanista, komentator mediów międzynarodowych.

MATEUSZ MAZZINI: **– Leon XIV to absolwent Villanova University, gdzie pan wykłada. Był pan na kampusie, kiedy go wybrano?**

MASSIMO FAGGIOLI: – Byłem w swoim gabinecie, to był ostatni dzień semestru, studenci mieli zaraz wyjeżdżać do domów. Nagle wybrano naszego absolwenta na papieża, wszyscy oszaleli. Dzwony biły nieprzerwanie przez kilka godzin. Tutaj kultura absolwencka jest ogromnie ważna, ludzie chwalą się, gdzie kończyli studia. Uniwersytet na pewno liczy, że Robert Prevost też się pochwali.

Jest pan zaskoczony?

Do pewnego stopnia. Dziwi mnie, że to nie Włoch. Włosi są zawsze doskonałymi kandydatami na trudne czasy. Reprezentują kraj, który nie jest supermocarstwem, więc mogą działać w pewnym oderwaniu od światowej polityki. Jednak kilka dni przed konklawe udzieliłem wywiadu, w którym powiedziałem, że nowy papież może być Amerykaninem – ze względu na Donalda Trumpa. Odkąd wrócił do Białego Domu, łamie jedno międzynarodowe tabu po drugim, zmienia reguły gry. Możliwe, że Watykan poczuł się zmuszony do adekwatnej odpowiedzi. Wybrano więc Amerykanina z doskonałym CV, który jednocześnie wie, jak działa Stolica Apostolska. Jeśli tak postawimy sprawę, to wybór Prevosta staje się zrozumiały.

Czyli to był wybór polityczny?

Nie nazwałbym go w ten sposób. To wybór teologiczny, bardzo katolicki, ale zawiera w sobie przekaz ze świata polityki. Ten przekaz jest zresztą dość jednoznaczny, bo kardynałowie, wybierając Prevosta na papieża, powiedzieli wszystkim, że to wcale nie Trump czy J.D. Vance są najważniejszymi Amerykanami na świecie – tylko właśnie papież Leon XIV. I to jego powinni słuchać amerykańscy katolicy.

Nie wiemy oczywiście, jak brzmieć będzie jego przesłanie, wiele kluczowych kwestii, zwłaszcza geopolitycznych, nie jest jeszcze znanych. Niemniej z politycznego punktu widzenia to decyzja podobna do wyboru Karola Wojtyły na papieża. Janowi Pawłowi II powierzono zadanie osłabienia reżimów komunistycznych. Tym razem misja papieża nie jest tak widoczna i oczywista, ale to nie znaczy, że jej nie ma.

Zresztą nie jest przypadkiem, że Steve Bannon, jeden z naczelnych ideologów

© VATICAN POOL - CORBIS/GETTY IMAGES, GEORGETOWN UNIVERSITY/BERKLEY CENTER

eprasa.pl 54c79bd13b

ruchu MAGA, już Prevosta krytykuje. Zarzuca mu antyamerykanizm, uważa go za zły wybór. Jednocześnie ten argument nie ma sensu, bo przecież Leon XIV jako obywatel Stanów Zjednoczonych nie może być antyamerykański. Dlatego to, co się stało, dla obozu Trumpa jest najgorszym możliwym rozwiązaniem.

To pułapka zastawiona na Waszyngton?

Prevost w przeszłości publicznie krytykował niektóre rozwiązania Trumpa, chociażby w polityce imigracyjnej. Obecna administracja musi więc jakoś przeżyć fakt, że wybrano kogoś, z kim nie jest jej po drodze. W dodatku trudno jej będzie atakować Prevosta, bo dostał ogromny mandat. Wszystko wskazuje na to, że otrzymał ponad 100 głosów w 133-osobowym kolegium kardynalskim.

Czeka nas więc globalny pontyfikat?

Leon XIV będzie aktywny, ale na swój sposób. Ciekawe, że takie międzynarodowe zaangażowanie Watykanu sięga czasów Leona XIII. Prevost będzie miał inny styl rządzenia, niepodobny do Franciszkowego. Spodziewałbym się mniejszej liczby wywiadów, mniej wypowiedzi bez przygotowania, spontanicznych deklaracji. Leon XIV zdaje się papieżem, który dokładnie wie, co chce osiągnąć. Proszę zwrócić uwagę, że od razu zadzwonił do prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

A dlaczego Leon? Ten z numerem XIII był papieżem robotników, który przeprowadził Kościół przez rewolucję przemysłową. Teraz numer XIV mówi o kolejnej rewolucji napędzanej przez sztuczną inteligencję.

Leon XIV ewidentnie szuka inspiracji u Leona XIII, to za jego pontyfikatu rodziła się społeczna nauka Kościoła. Pamiętajmy jednak, że te słowa wybrzmiewają inaczej w Kościele amerykańskim, który jest kościołem imigranckim. Poza tym USA to społeczeństwo, które przechodziło przez gwałtowne zmiany wymuszone kapitalizmem. Najpierw napędzali je magnaci przemysłowi, dzisiaj – wielkie koncerny technologiczne. Dlatego Leon XIII ze swoim nauczaniem o ochronie praw pracowniczych był papieżem znacznie ważniejszym w Ameryce niż w Europie.

Leon XIV będzie papieżem robotników ery cyfrowej?

To byłoby spójne z jego wizją katolicyzmu. Prevost nie jest kościelnym liberałem, przywiązuje ogromną wagę do kwestii socjalnych. Spędził ponad 20 lat w Peru, gdzie wielokrotnie stawał po stronie biednych przeciw autorytarnej władzy. Tu będzie przypominał Franciszka. To zresztą spór charakterystyczny dla katolicyzmu w obu Amerykach, gdzie kapitalizm po raz kolejny staje się drapieżną doktryną wyzysku. Jednocześnie tam właśnie katolicy wciąż mają wyrazistą tożsamość religijną, związaną ze sprawiedliwością społeczną, prawami pracowniczymi.

Zostańmy na chwilę w Peru – to kraj, w którym jeszcze niedawno maoistyczna bojówka Świetlisty Szlak mordowała misjonarzy. Jaki miało to wpływ na Leona XIV?

Ogromny. Nie zapominajmy, że jest pierwszym w historii misjonarzem wybranym na papieża. Poza tym nie porównujmy go pod kątem geograficznym do Franciszka, nawet jeśli są związani z tym samym kontynentem. Peru to zupełnie inny kraj niż Argentyna, w miażdżącej większości biała. W Peru Prevost spotykał się ze znacznie większą różnorodnością wśród ludzi: rasową, ekonomiczną, polityczną. Nawet katolicyzm w tym kraju ma znacznie więcej odmian. No i jest kwestia ustrojowa – Peru od wielu lat ma poważne problemy z demokracją.

Prevost zna realia tego świata, ale też kilku innych światów, dlatego to będzie papież globalny. Wywodzi się z Chicago, rozumie amerykański katolicyzm, potem został misjonarzem, aż wysłano go do Watykanu na bardzo prestiżowe stanowisko (był prefektem Dykasterii ds. Biskupów – przyp. red.). Ma międzynarodową pozycję, nie można go łatwo zaszufladkować w konkretnej lokalizacji na mapie. Postawię nawet tezę, że właśnie to zróżnicowane doświadczenie dało mu tak wielkie poparcie na konklawe.

Jeśli to papież obu Ameryk, co to oznacza dla Europy?

Europa przestała być miejscem, w którym definiuje się katolicyzm. Przetrwanie Kościoła zależy od tego, co wydarzy się na półkuli zachodniej, właśnie w obu Amerykach. A Europa jest w tej chwili kontynentem problemów religijnych i politycznych. Poza tym w europejskim katolicyzmie współistnieje wiele równoległych, dość odmiennych od siebie kultur. Inaczej wygląda Kościół na południu, inaczej na wschodzie, gdzie jest bardziej konserwatywny. A katolicyzm skandynawski to w dużej mierze Kościół dorosłych konwertytów i pod tym względem jest zbliżony do niektórych neokonserwatywnych odmian katolicyzmu w USA. Trudno w ogóle w tej chwili nazwać jednoznacznie, co jest europejskim katolicyzmem, sekularyzacja całkowicie zdewastowała jego struktury kościelne. Jeśli coś ma się tu wydarzyć, to raczej budowanie od zera. Franciszek angażował się w ten proces, bo był przecież z pochodzenia Włochem, miał silne związki z Europą. Prevost ich nie ma.

Ale obie Ameryki też mają swoje problemy: drapieżna ekspansja Kościołów neoprotestanckich, zielonoświątkowców. Niedługo katolicy przestaną być większością nawet w Brazylii.

To skomplikowana sprawa, bo problem, który niegdyś sprowadzał się do odpływu wiernych w stronę innych społeczności religijnych, teraz dotyczy odmiennych kultur wewnątrz samego katolicyzmu. Są różne prądy, liturgie, wiele zależy od charyzmy duchownego. Historycznie było to widoczne najbardziej właśnie w Ameryce Łacińskiej, ale w Europie zaczyna być podobnie. Francja, Niemcy, stare zachodnie demokracje mają już swoje odmiany tej debaty. Prevost może więc próbować wrócić do wizji katolicyzmu jako wielkiego parasola, pod którym mogą schować się wszystkie te odmienne kultury.

Biorąc to wszystko pod uwagę, czy uważa pan, że zderzenie z Trumpem jest nieuniknione?

Jeśli do niego dojdzie, to wyłącznie z powodu Trumpa. Tylko on może sprowokować konflikt, Prevost nie będzie go szukał. Najwięcej zależy od tego, co dalej będzie z USA. Nie wiemy przecież, czy będą nadal demokracją – konstytucyjną, liberalną, jakąkolwiek. Poza tym Trump jest nieprzewidywalny, dlatego rozwój tej relacji będzie szalenie interesujący. Pamiętajmy jednak, że to są skrajnie różni ludzie w bardzo odmiennych kontekstach. Leon XIV jest zakorzeniony w dwóch tysiącach lat tradycji watykańskiej dyplomacji. Trump nie jest zakorzeniony w niczym.

Uważam, że przekaz z konklawe mimo wszystko dotarł do Waszyngtonu. W Watykanie jest nowy szeryf i Trump z Vance'em nie mogą już robić wszystkiego, na co mają ochotę. Skończyło się wykorzystywanie katolicyzmu w dowolny sposób jako politycznej wymówki. Prevosta nie można oczernić jako ekstremistycznego zakonnika z Ameryki Łacińskiej, który nie ma pojęcia o USA. ■

eprasa.pl 54c79bd13b

Małpa z Arabii

Czy wspólny przodek ludzi, szympansów i goryli był Europejczykiem, którego klimat zmusił do przeprowadzki na Czarny Ląd? Rozwiązanie tej zagadki, a także paru innych mogą skrywać piaski Półwyspu Arabskiego.

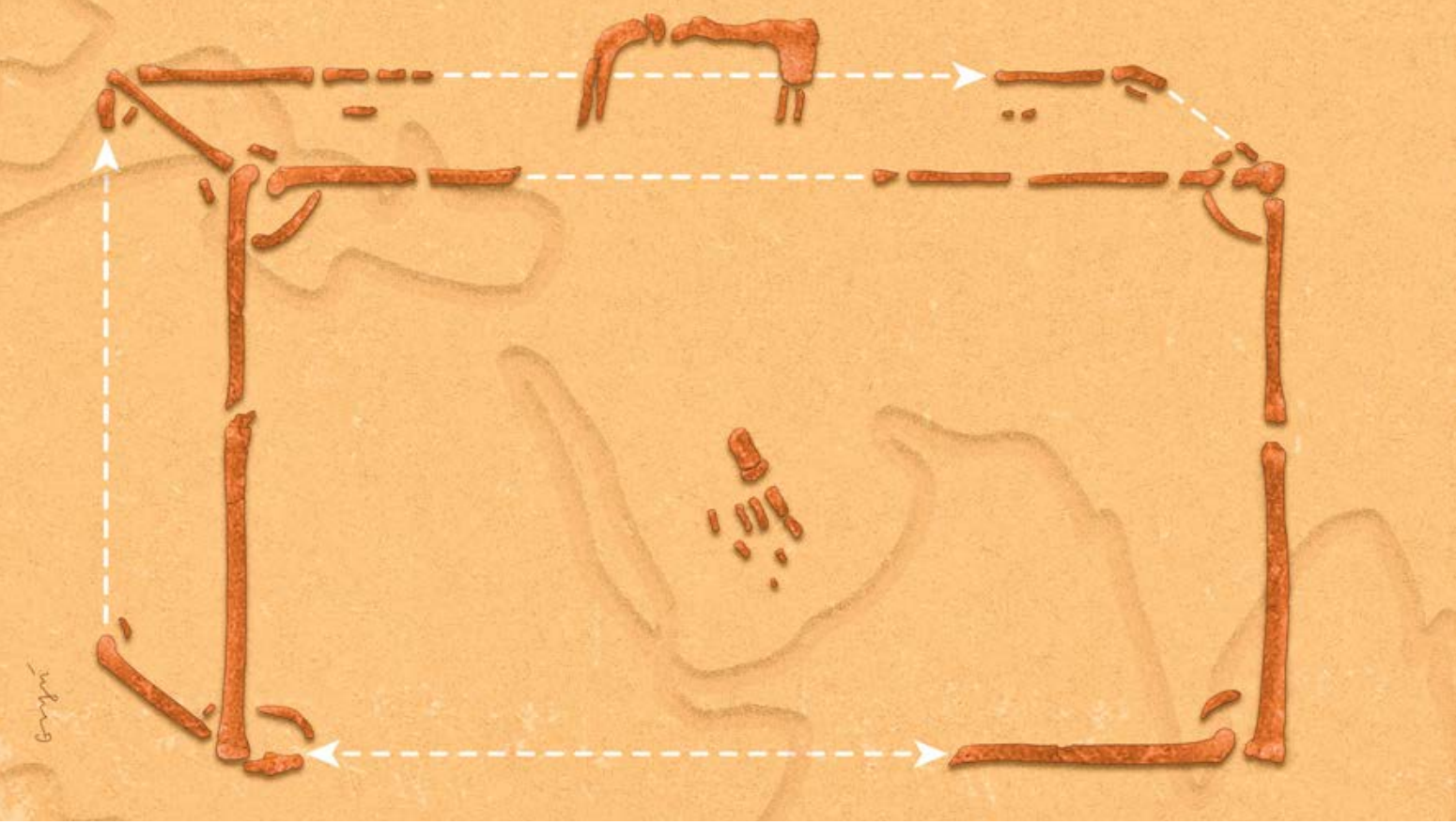

ANDRZEJ HOŁDYS

Gorąca, sucha, pozbawiona wody i roślinności. Przerażająca. Nawet mieszkańcy Półwyspu Arabskiego, przywykli do niegościnnych krajobrazów, nie zapuszczają się na nią. Wiedzą, że zabłądzenie grozi śmiercią. Z pragnienia, wyczerpania, przegrzania. Nazywają ją Rub' al-Khali, czyli pustą ćwiartką. I obchodzą z daleka (z wyjątkiem robotników obsługujących szyby naftowe, skuszonych doskonałymi zarobkami).

Rub' al-Khali zajmuje południową część półwyspu. Ma długość ponad 1 tys. km i szerokość ok. 500 km. Jest dwa razy większa od Polski i przykryta warstwą piasku grubości od kilkudziesięciu do ponad 200 m. Piasek pochodzi głównie z niszczenia lokalnych skał przez wiatry, część drobin została jednak przyniesiona z daleka. Dziełem wiatru są olbrzymie pola wydm podłużnych oraz półksiężycowatych barchanów. Rub' al-Khali to największy erg (pustynia piaszczysta) świata, odludzie idealne, czarna dziura na zatłoczonych ziemskich lądach.

Temperatury w tej części świata osiągają 50 st. C, a roczna suma opadów deszczu nie przekracza kilku centymetrów. Podobne warunki panują na pustyni Wielki Nefud w północnej części półwyspu. Ona także jest ergiem zajmującym olbrzymią nieckę wielkości jednej trzeciej Polski. Deszcze w tym obniżeniu padają raz na kilka lat, a latem temperatury osiągają wartości równie zawrotne jak na Rub' al-Khali.

Obie pustynie, wraz z łączącym je piaszczystym korytarzem zwanym Dahna długości tysiąca kilometrów, stanowią szkielet Półwyspu Arabskiego. Zajmuje on ponad 3 mln km kw. i jest największym półwyspem świata. Geolodzy mówią wręcz o subkontynencie arabskim, a to dlatego, że ten kawałek lądu leży na własnej płycie litosfery, która kilkanaście milionów lat temu oddzieliła się od Afryki (w miejscu pęknięcia powstało później Morze Czerwone) i zmierza powoli na północ, napierając na Eurazję.

eprasa.pl 54c79bd13b

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

To wielkie terytorium jest prawie niezamieszkane. W połowie XX w. żyło tu zaledwie kilka milionów ludzi, głównie koczowników. Dopiero w ostatnich dekadach liczba ludności szybko się zwiększyła za sprawą wysokiego przyrostu naturalnego i napływu imigrantów, co z kolei było konsekwencją odkrycia największych na globie złóż ropy naftowej. Dziś na półwyspie mieszka kilkadziesiąt milionów osób. Pozostał jednak niemal pustą krainą. Ludzie żyją w miastach i na wybrzeżu. Tutejsza surowa przyroda ma im do zaoferowania ropę, lecz brakuje jej tego, co najważniejsze: wody.

Azjatycki przyczółek

Nie zawsze tak było. Pustynie, choć wyglądają na wieczne, pojawiają się i znikają w zależności od humorów klimatu. Od paru tysięcy lat się powiększają. To dlatego, że na Ziemi zrobiło się bardziej sucho i chłodniej. Ta metamorfoza dotyczy także Półwyspu Arabskiego. Jeszcze 3 tys. lat temu funkcjonowały w jego wnętrzu liczne oazy. Później jednak opady deszczu stały się jeszcze bardziej skąpe, oazy wyschły, a porzucone siedziby zasypał piasek.

Woda była, jest i pozostanie dla nas kluczowym dobrem natury. Tam, gdzie jej nie ma, nie znajdziemy ludzkich osiedli. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów, gdy 2 mln lat temu pierwsi przedstawiciele rodzaju *Homo* wyruszyli z Afryki na podbój globu. Antropolog Clive Finlayson, który jako dyrektor Gibraltar National Museum kierował przez trzy dekady badaniami w gibraltarskiej jaskini Gorham's Cave, prawdopodobnie jednej z ostatnich ostoi neandertalczyków, w 2014 r. napisał książkę „The Improbable Primate: How Water Shaped Human Evolution". Dowodził w niej konsekwentnie, że to konieczność poszukiwania wody, do której dostęp zmieniał się wraz z wahaniami klimatu, zmusił nas do wędrówek, a co za tym idzie – do ciągłego i intensywnego główkowania. Wędrówki po otwartych przestrzeniach w poszukiwaniu całorocznych zbiorników wodnych sprawiły, że nabraliśmy wprawy w migracjach. Przy okazji wyprostowaliśmy się, urośliśmy i zeszczupleliśmy. Słowem: chcesz zrozumieć ewolucję człowieka? – dodaj do równania wodę.

Z tą tezą korespondują nowe odkrycia archeologów, geologów i paleogeografów, prowadzących od około dekady badania na Półwyspie Arabskim. Rewolucjonizują one wiedzę o tym kawałku świata, a przy okazji także o nas, przesuwając o dziesiątki tysięcy lat wstecz moment opuszczenia Afryki przez *Homo sapiens*.

Wcześniej sądzono, że stało się to dopiero 50–60 tys. lat temu, ale według nowej teorii pierwsza migracja nastąpiła o wiele wcześniej: przed 130–125 tys. lat, gdy na Ziemi zapanował interglacjał eemski – zadziwiająco ciepła przerwa rozdzielająca dwa ostatnie zlodowacenia plejstoceńskie. Wraz z ciepłem przyszły opady deszczu, a Półwysep Arabski pokrył się zieloną sawanną, gęstą siecią rzek i tysiącami jezior. Nad brzegami tych dawnych zbiorników archeolodzy odnaleźli dziesiątki stanowisk z tysiącami narzędzi kamiennych. Uznano je za wytwory *Homo sapiens*, a zieloną Arabię z czasów eemskiego raju – za pierwszy azjatycki przyczółek naszego gatunku.

Do szczęścia brakowało tylko kości owych pionierów, ale ponieważ w tym czasie w jednej z jaskiń w Chinach odkryto 47 zębów sprzed co najmniej 80 tys. lat, jednoznacznie przypisanych *Homo sapiens*, hipoteza wczesnego afrykańskiego exodusu zyskała silne wsparcie, wzmocnione kolejnymi doniesieniami z pustyni Wielki Nefud: znalezieniem fragmentu palca *Homo sapiens* sprzed blisko 90 tys. lat oraz odcisków stóp ludzkich sprzed 120 tys. lat nad brzegiem nieistniejącego dziś jeziora. Autorzy tego ostatniego doniesienia doszli do wniosku, że eemscy mieszkańcy tego regionu pojawiali się nad jeziorem głównie w porze suchej – głównie po wodę. Gdzie ona, tam ludzie, jak mówi Finlayson.

Wielka migracja

Nie jest to koniec intrygujących doniesień. Naukowcy dopiero się rozkręcają. Podczas kolejnych badań prowadzonych na Półwyspie Arabskim – od początku kieruje nimi archeolog Michael Petraglia – odkryto narzędzia kamienne sprzed 200, 300 oraz 400 tys. lat. Ludzie docierali tu zatem i wcześniej. Kim byli, nie wiadomo. Teoretycznie młodsze wyroby mogły wyjść spod ręki wczesnego *Homo sapiens*, starsze – już raczej nie. Każda z tych fal osadnictwa trwała krótko. Następowała wtedy, gdy klimat na Ziemi na pewien czas się ocieplał i stawał bardziej wilgotny. Ludzie pojawiali się, gdy znikała pustynia, i znikali, gdy ta powracała wraz z kolejnym ochłodzeniem i ucieczką deszczów. Na uwagę zasługuje jednak konsekwencja, z jaką ludzie przychodzili i odchodzili. Najwyraźniej Półwysep Arabski musiał od dawna służyć naszym przodkom za dwukierunkowy korytarz migracyjny, łączący Azję i Afrykę.

Od jak dawna? Wraz z geologami, którzy parę tygodni temu opublikowali w „Nature Reviews Earth & Environment" obszerny artykuł na ten temat, przyjrzyjmy się zdarzeniu sprzed ok. 20 mln lat, które zasadniczo wpłynęło na dzieje tej grupy zwierząt, do której należymy, czyli małp człekokształtnych (*Hominoidea)*. Wędrująca na północ Afryka i towarzysząca jej Arabia zderzyły się wówczas z Eurazją. Jedną z konsekwencji tej kolizji było powstanie połączenia lądowego pomiędzy dwoma wielkimi kontynentami, pierwszego od 75 mln lat. Była to zasługa burzliwych procesów tektonicznych zachodzących w sztywnej skorupie ziemskiej i znajdującym się pod nią płaszczu planety wypełnionym magmą, wypychaną ku górze pod wschodnią Afryką i w konsekwencji naciskającą na lądy, zmuszane w ten sposób do wędrówki.

Zwierzęta wzięły przykład z płyt tektonicznych i także ruszyły w drogę. Gdy tylko Afryka i Arabia zetknęły się z Azją, rozpoczęła się wielka migracja fauny trwająca wiele milionów lat. Z mostu lądowego skorzystały też małpy człekokształtne. Z Afryki, która była ich ojczyzną, przedostały się na inne lądy, pojawiły się w środkowej i południowej Europie, później dotarły też do Azji. Ich ekspansji sprzyjał gorący klimat pierwszej połowy epoki miocenu. W wilgotnych tropikalnych lasach Starego Świata odnalazły fantastyczne warunki do życia.

Przez blisko 10 mln lat Ziemia była prawdziwą planetą człekokształtnych osobników – pozbawionych ogona, za to obdarzonych dużym ciałem, proporcjonalnie dużym mózgiem i skłonnością do stawania, a nawet przemieszczania się, na tylnych kończynach. Do tej pory doliczono się skamieniałości przynajmniej stu gatunków tych naszych zwierzęcych przodków, zamieszkujących mioceńskie puszcze. Jednym z pierwszych znanych afrykańskich imigrantów był *Heliopithecus*, który 17 mln lat temu zameldował się w Arabii. Mógł być bliskim krewnym *Afropithecusa*, który mniej więcej w tym samym czasie pomieszkiwał sobie nad jeziorem Turkana w północnej Kenii.

Podczas gdy jednych pognało w świat, inni nie wychylili nosa poza Czarny Ląd. Naukowcy od dawna zastanawiają się, którzy ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ z nich dali początek hominidom, czyli nam, szympansom, gorylom i orangutanom wraz z ich wymarłymi poprzednikami? I gdzie – w Afryce czy też w Europie? – pojawił się jeszcze węższy, elitarny krąg homininów, obejmujący poza nami już tylko szympansy i goryle (plus gatunki kopalne)? Dzięki biologii molekularnej wiemy, jak znikomy dystans genetyczny dzieli nas od obu rodzajów małp.

Dwie kolebki

Debata – Europa czy Afryka? – trwa od ponad półtora wieku, a dokładnie od momentu, gdy w 1856 r. we francuskiej części Pirenejów odkryto szczątki małpy nazwanej *Dryopithecus fontani*, która miała rozmiary szympansa, a kształtem czaszki przypominała goryla. Żyła w Europie przed ok. 12 mln lat. Wkrótce nastąpiły kolejne odkrycia. W następnych dekadach XIX w., a potem przez cały XX i początek XXI w. paleontolodzy odnajdywali w różnych miejscach w Europie zęby, większe fragmenty szczęk, kawałki czaszek i rzadziej inne kości, należące do małp zaliczanych do rodziny hominidów. Osobnik z Pirenejów użyczył nazwy licznej grupie podobnych do niego małp człekokształtnych nazwanych driopitekami.

Europejskich znalezisk było na tyle dużo, że z czasem odważono się na postawienie jeszcze śmielszej tezy. Zaczęto się zastanawiać, czy to aby nie z europejskich driopiteków wyłonił się elitarny ród homininów. Tak m.in. uważa David R. Begun, paleontolog z Uniwersytetu w Toronto, znawca mioceńskich małp. On i jego zwolennicy sugerują, że homininy powróciły z Europy do Afryki przed 7–9 mln lat, wraz z całą masą innych ssaków wypychanych na południe przez ochładzający się klimat późnego miocenu. Na Czarnym Lądzie podzieliły się na goryle, szympansy i ludzi (oraz inne wymarłe linie ewolucyjne), choć nie jest wykluczone, że goryle odseparowały się już wcześniej, jeszcze w Europie lub na Bliskim Wschodzie, i na własną rękę dotarły do Afryki.

Pierwszym przystankiem na tej drodze na południe mogła być Anatolia. Stamtąd pochodzi najnowsze odkrycie Beguna. Przed dwoma laty on i turecka badaczka Ayla Sevim Erol, profesor Uniwersytetu w Ankarze, zaprezentowali światu liczącego 8,7 mln lat osobnika, którego nazwali *Anadoluvius turkae*, uznając go za hominina. Na jego szczątki, w postaci dobrze zachowanej twarzowej części czaszki, natrafiono na stanowisku paleontologicznym Çorakyerler, znajdującym się kilkadziesiąt kilometrów na północ od Ankary.

Erol prowadzi tam badania od dekad. Dokopała się do tysięcy kości późnomioceńskich zwierząt, a wspólnie z przyrodnikami zrekonstruowała też środowisko naturalne okolicy w tamtym okresie. *Anadoluvius* zamieszkiwał zatem suchy las tropikalny, w którym deszcze padały mniej więcej przez pół roku. Musiał być przystosowany do przetrwania długiej pory suchej, podczas której umiejętność odnajdywania źródeł wody i odporność na „okresowe braki w zaopatrzeniu w żywność" decydują o życiu lub śmierci. Potężne szczęki i duże zęby pokryte grubą warstwą szkliwa świadczą o tym, że pożywiał się także twardymi korzeniami i kłączami, które wygrzebywał z ziemi. Siły zapewne mu nie brakowało, był bowiem dużą małpą. Zdaniem naukowców ważył 50–60 kg, czyli tyle, co większy samiec szympansa. Wokół żyły m.in. żyrafy, nosorożce, antylopy, słonie, hieny i wielkie koty. Następcy jego lub innych homininów, o których istnieniu jeszcze nie mamy pojęcia, przemieścili się wraz z całą tą fauną na południe. Aż w końcu dotarli do Afryki.

Begun i podobnie do niego myślący badacze mogą jednak być w błędzie. Tak uważają zwolennicy tradycyjnego poglądu, wedle którego kolebką homininów jest Afryka. Tam wyewoluowały z wcześniejszych form lokalnych, np. takich jak znany z fragmentu potężnej żuchwy oraz kilkunastu olbrzymich zębów *Nakalipithecus*, który 10 mln lat temu żył w północnej Kenii. Według tej grupy badaczy europejskie hominidy nie mogły być przodkami wielkich małp afrykańskich (w tym nas), ponieważ wszystkie wcześniej wyginęły. Zabił je coraz bardziej suchy klimat, do którego nie zdołały się przystosować. Nie było więc żadnego masowego powrotu hominidów na Czarny Ląd. Nawiasem mówiąc, niewiele brakowało, aby zmiana klimatu pod koniec miocenu położyła kres wszystkim człekokształtnym. Z pewnością skończył się dla nich okres łatwego życia. Ich niedobitki przetrwały w Afryce oraz w Azji Południowej i Południowo-Wschodniej (traf chciał, że wiele milionów lat później, kiedy klimat na Ziemi stał się jeszcze chłodniejszy, jedna z tych „kryzysowych" małp podbiła świat).

Sekrety stalagmitów

Kto ma rację? I gdzie szukać rozwiązania zagadki? Obie strony nie kwestionują wielkiej migracji zwierząt opuszczających Eurazję przed 8–7 mln lat. Największa z nich trwała pół miliona lat i to jej Afryka zawdzięcza współczesną faunę. Wymusiły ją zmiany szaty roślinnej, które objęły olbrzymi pas lądu, ciągnący się od południowej Europy, przez Wyżynę Irańską, po południowe Chiny. Wilgotna puszcza ustąpiła najpierw suchym lasom tropikalnym, te przeobraziły się w sawannę, którą na koniec wyparła pustynia. Czy jednak w tej migracji wzięli udział jacyś nasi przodkowie z Europy? Przydałoby się odnalezienie skamieniałości hominidów sprzed 8–6 mln lat w tych lokalizacjach, które mogły stanowić tymczasowy azyl dla fauny wycofującej się z północy. Jednym z oczywistych regionów wydaje się Półwysep Arabski, który był wciąż mocno przyspawany do Afryki. Aż się prosi, aby zacząć tam kopać.

Jakby na zamówienie zespół Petraglii opublikował kilka tygodni temu w „Nature" wyniki badań paleoklimatycznych. Badacze dotarli do stalagmitów, które jakimś cudem przetrwały aż 7,5 mln lat w jaskiniach ukrytych pod piaskami pustyni Nefud. Sami byli zaskoczeni tym odkryciem, bo tak stare naturalne archiwa klimatyczne należą do rzadkości. Stalagmity ujawniły, że w tym długim okresie Arabia częściej była zielona niż zasypana piaskiem. Względnie wilgotno było tu również przed 7,5–6,5 mln lat, czyli podczas wielkiej migracji. W krajobrazie dominowała sawanna z bujną roślinnością trawiastą, lasami sawannowymi, strumieniami, rzekami i jeziorami. Było zatem to, co najważniejsze – woda. Przynosiły ją w dużych ilościach wiatry monsunowe docierające znad Oceanu Indyjskiego, a nawet znad odległego Atlantyku.

Wystarczyło wiedzieć, jak przetrwać porę suchą, no i dobrze się urządzić w takim miejscu, co ewentualnym następcom *anadoluviusa* nie powinno sprawić problemu. Zresztą, skoro sztukę tę opanowały krokodyle, hipopotamy i słonie (ich kości z tego okresu już znajdowano w tym regionie), dlaczego nie miałyby sobie poradzić homininy z wielkimi mózgami. Pod warunkiem że dotarły tu na tyle wcześnie, by zdążyć przed suszą. „Dlaczego nie? Arabia znajdowała się na skrzyżowaniu głównych szlaków transkontynentalnych. Homininy mogły również z nich korzystać" – mówi Petraglia.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl 54c79bd13b

Gerritsz Quiringh van Brekelenkam, „Upuszczanie krwi", 1660 r.

© HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

Lancet w dłoń!

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA, MARTA ALICJA TRZECIAK

W przeszłości krew upuszczano w ramach rytuałów i w celach leczniczych. Dziś wiemy, że to praktyka szkodliwa. Choć może nie do końca.

Krew krąży nieustannie w naszych ciałach, łącząc ich najdalsze zakątki w precyzyjnie działający organizm. Technicznie odpowiada za transport tlenu i składników odżywczych, usuwanie odpadów przemiany materii, ale bez niej nie byłoby ani myśli, ani ruchu, ani oddechu. Od zawsze wzbudza podziw, strach i fascynację: gdy się pojawia przy porodzie, zapowiada nowe życie, a gdy tryska z rany – rychłą śmierć.

Już neandertalczycy czuli jej magię. Czerwone barwniki, jak ochra, hematyt, bogate w tlenki żelaza glinki czy goethyt, uchodzące za symbol krwi, wykorzystywali do malowania ciała, narzędzi, ścian i kości zmarłych, czynności uważanych za pierwsze przejawy myślenia symbolicznego. Pojawienie się ochry w grobach łowców-zbieraczy interpretuje się natomiast jako dowód wiary w życie pozagrobowe.

Przelew za dojrzałość

W przeszłości nie potrafiono odczytywać DNA z próbek krwi, jednak nikt nie miał wątpliwości, że jej przekazywanie z pokolenia na pokolenie tworzy więzy, a kto ma „krew przodków", ten otrzymuje prawo do dziedziczenia dóbr i tradycji. Dlatego też nie było cenniejszej ofiary składanej duchom przodków czy na ołtarzach bogów niż ten cenny płyn. Jego przelanie miało zapewnić powodzenie w łowach i żyzne plony. W wielu kulturach stanowiło znak heroizmu i największego oddania oraz miłości, która daje początek czemuś nowemu: cywilizacji, pokojowi czy religii, jak krew Chrystusa.

Jej upuszczanie miało olbrzymie znaczenie dla życia duchowego, stąd włączenie tego zabiegu do wielu rytuałów przejścia. W przypadku dziewcząt dojrzewanie w oczywisty sposób wyznacza pierwsza menstruacja i tylko czasami moment ten wiązał się z jakimiś dodatkowymi krwawymi i bolesnymi rytuałami. Co innego w przypadku chłopców. U Aborygenów z północy Australii puszczanie krwi z ramion, klatki piersiowej i pleców potwierdzało, że inicjowany osiągnął dojrzałość fizyczną, społeczną i duchową. Młody człowiek oczyszczał się w ten sposób. Poza tym krew była rodzajem daru złożonego duchom przodków, którzy w zamian mieli go chronić. Był to też test odwagi i odporności na ból. Upuszczanie krwi miało młodych mężczyzn, wchodzących w rolę wojownika, związać z ziemią, przodkami ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ i naturą. Ślady po nacięciach noszono z dumą.

Podobne rytuały przechodzili (i przechodzą) młodzi masajscy i zuluscy wojownicy, młodzieńcy z plemienia Himba w Namibii czy Yanomami z Amazonii, ale najbardziej znany i spektakularny był Taniec Słońca wykonywany przez Indian prerii – Siuksów, Czejenów czy Lakotów. W odbywającej się podczas letniego przesilenia ceremonii wojownicy nacinali skórę tak, by dało się przez nią przełożyć haki, do których doczepiano sznury, za które byli potem podciągani.

Fantazyjne upuszczanie krwi w ramach różnych rytuałów to specjalność Nowego Świata. Kapłani Majów nakłuwali ciała kolcami opuncji i ostrymi narzędziami, zbierali do specjalnych naczyń życiodajny płyn, który ofiarowali bogom. Ekstremistami byli jednak Aztekowie, u których kapłani obsydianowymi nożami wycinali składanym w ofierze ludziom serca. Ponieważ wierzono, że krew to święty płyn i nośnik życiowej energii (tzw. tonalli), łączący świat ludzi i bogów, kapłani sami sobie też ją upuszczali w sposób wyjątkowo wyrafinowany. Przecinali na wylot język, by przez otwór przeciągnąć sznurek pełen supełków lub kolców, które miały zwiększyć krwawienie.

Upust od cyrulika

Upuszczanie krwi miało również funkcję terapeutyczną, wierzono bowiem, że tak oczyszcza się ciało z toksyn i leczy chorego. W medycynie greckiej i rzymskiej, a także w chińskiej czy w ajurwedzie sądzono, że równowaga między czterema płynami ciała – krwią, flegmą, żółcią i czarną żółcią – jest kluczowa dla zdrowia. Jeśli jeden z nich był w nadmiarze, powodował chorobę, a upuszczanie krwi, zwłaszcza przy nadciśnieniu, infekcji i gorączce, miało przywrócić niezbędny balans. W medycynie zachodniej i arabskiej flebotomia była jedną z podstawowych terapii.

Zazwyczaj wybierano żyłę łokciową (*vena mediana cubiti*), dobrze widoczną i łatwo dostępną, do dziś wykorzystywaną w krwiodawstwie, ale w starożytności nacinano też żyłę szyjną (*vena jugularis*) i udową (*vena femoralis*), co trzeba było robić umiejętnie, bo jej przecięcie wiązało się z ryzykiem silniejszego krwotoku. Na Bliskim Wschodzie przy bólach głowy wybierano też żyłę skroniową (*vena temporalis*). Ponieważ nie znano środków do dezynfekcji, więc noże chirurgiczne, szpikulce i lancety mogły powodować zakażenia bakteryjne, które kończyły się zaognionymi ranami, ropniami, a nawet sepsą. Stosowanie pijawek też było niebezpieczne, ponieważ i one mogły przenosić wirusy i bakterie, np. *Aeromonas hydrophila*. Poważnym zagrożeniem było też przecięcie tętnic powodujące krwotok nie do zatrzymania.

Co gorsza, upuszczaniem krwi długo zajmowali się nie medycy, lecz cyrulicy, czyli rzemieślnicy, którzy golili, strzygli, przecinali wrzody, nastawiali złamania, wyrywali zęby. Wykształceni na akademiach lekarze, często duchowni, nie lubili brudzić sobie rąk, tym bardziej że *Ecclesia sanguine abhorret* (łac. Kościół brzydzi się krwią). Dopiero od XVII w. zaczęli się pojawiać wykształceni chirurdzy, którzy nie mieli już takich obiekcji. W czasach oświecenia zaczęto podważać teorię humoralną (o czterech płynach ciała), ale puszczanie krwi wciąż stosowano.

Z czasem coraz więcej lekarzy zaczęło zauważać szkodliwe skutki tego zabiegu, zwłaszcza przy leczeniu osłabionych pacjentów, ale nadal rutynowo stosowano go w przypadkach gorączki i zapaleń. Gdy Pierre-Charles Alexandre Louis na podstawie badań statystycznych prowadzonych w latach 1830–50 wykazał, że upuszczanie krwi nie przynosi oczekiwanych korzyści w leczeniu zapalenia płuc i wielu innych chorób, zaczęto odchodzić od tej praktyki. Jednak dopiero badania mikrobiologów Louisa Pasteura i Roberta Kocha w drugiej połowie XIX w. ostatecznie skompromitowały tę metodę, choć w niektórych krajach i w medycynie ludowej stosowano ją jeszcze czasami na początku XX w., aby leczyć gorączkę, bóle głowy czy nadciśnienie.

Problem z puszczaniem krwi polegał na tym, że jednocześnie pozbywano się z ciała nie tylko tego, co szkodziło, ale też tego, co było korzystne, czyli całej armii komórek odpornościowych pobudzonych przez patogen i gotowych do obrony organizmu. I nie tylko ich. Również erytrocytów, czyli czerwonych ciałek krwi, które przenoszą w chorym organizmiei życiodajny tlen i odbierają od wycieńczonych infekcją tkanek dwutlenek węgla. Przepadają wtedy również trombocyty, czyli komórki, które odpowiadają za łatanie uszkodzeń i tamowanie krwotoków.

Poza składnikami komórkowymi wylewane są również substancje odżywcze rozpuszczone w osoczu. Po posiłku glukozę przenosi do potrzebujących paliwa tkanek właśnie krew. To samo dotyczy witamin, składników mineralnych i innych związków, które organizm pozyskuje z pożywienia nie tylko po to, by napędzać metabolizm, ale również budować enzymy do walki z chorobą czy usuwania pozostałości po „bitwie" z najeźdźcą.

Współczesna medycyna wie, że w zdecydowanej większości przypadków, aby wyleczyć pacjenta, trzeba raczej dodać czegoś do jego krwi, nie zaś odejmować. Z pracy opublikowanej w 2018 r. wynika, że w krajach rozwiniętych wlewy dożylne otrzymuje ok. 90 proc. hospitalizowanych pacjentów. W szpitalnych kroplówkach są antybiotyki, leki przeciwgorączkowe, składniki odżywcze, witaminy, a przede wszystkim woda, ponieważ w przebiegu wielu schorzeń dochodzi do dehydratacji organizmu. Sprzyjają jej gorączka, poty, osłabione pragnienie i łaknienie.

Nawet przy leczeniu nadciśnienia logika wylewania krwi kuleje. Podwyższone ciśnienie nie wynika z tego, że w obiegu jest za dużo krwi, lecz z charakterystycznych reakcji naczyniowych (tętnice nieprawidłowo się zwężają, ich ściany ulegają patologicznej przebudowie i pogrubieniu, a substancje, które u zdrowych osób rozszerzają naczynia, zaczynają tu działać za słabo). Pozbawienie jej pacjenta nie przyniesie więc żadnych korzyści. Przy zbyt wysokim ciśnieniu (powyżej 160/100 mm Hg) niewskazane jest nawet honorowe dawstwo.

W ogóle gwałtowna utrata krwi jest szkodliwa sama w sobie. Przyczyną wielu zgonów powypadkowych nie jest wcale sam uraz, lecz wstrząs hipowolemiczny, czyli nagła reakcja organizmu na szybkie i drastyczne zmniejszenie objętości płynów ustrojowych. W takiej sytuacji ratunkiem może być jedynie natychmiastowa transfuzja lub uzupełnienie płynów.

Od krwiopijców...

Współczesna medycyna stosuje niektóre praktyki naruszania ciągłości skóry, ale robi to w bardzo precyzyjny sposób. Na przykład po zabiegach chirurgicznych wykonuje się niekiedy drenaże i wprowadzanie sterylnych rurek, które odprowadzają nadmiar płynów gromadzących się w tkankach po operacji. Współczesna nauka nie wzdraga się nawet przed stosowaniem pijawek, ale nie w ramach ogólnego, „dobrego na wszystko" upuszczania krwi, lecz w bardzo konkretnych zastosowaniach.

eprasa.pl 54c79bd13b

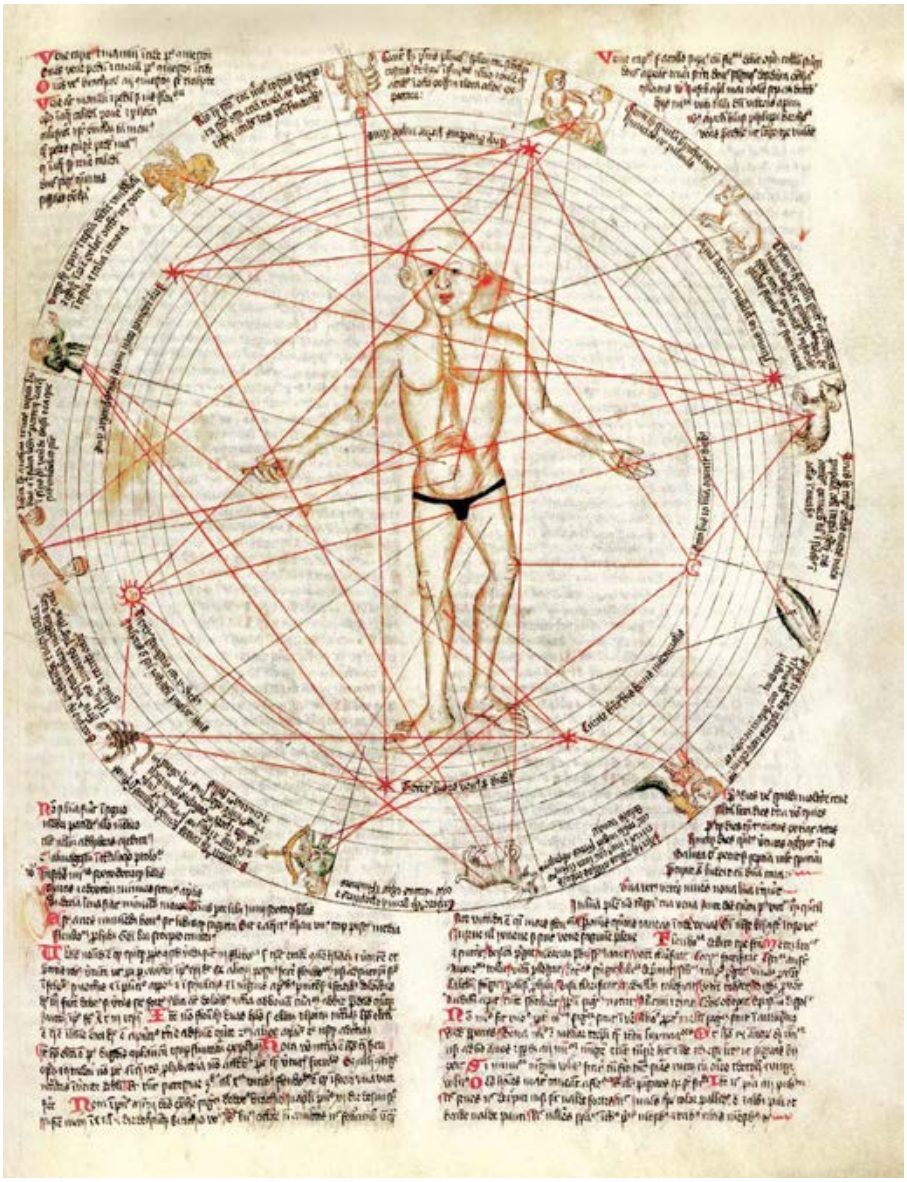

Kiedy i z której części ciała upuścić krew? Przez długi czas wiązano to z pozycją gwiazd (na fot.: **manuskrypt z XV-wiecznych Niemiec).**

W 2017 r. opisano wykorzystanie sterylnych (hodowanych w kontrolowanych warunkach laboratoryjnych) pijawek w ramach procedury wspomagającej zabiegi chirurgiczne. Stosowano je np. u pacjentów, którym przyszywano utracony palec. Chirurg tymczasowo przykładał te bezkręgowce w pobliżu pola operacyjnego, by zapobiec nadmiernemu gromadzeniu krwi żylnej w tej okolicy. Nie trzeba chyba jednak dodawać, że jest to praktyka mało powszechna i że istnieją inne sposoby, by osiągnąć podobny cel.

A jednak można znaleźć doniesienia naukowe, które potwierdzają, że pewne formy upuszczania krwi służą dobremu zdrowiu pacjenta. Dotyczą one jednak bardzo dobrze przebadanej praktyki – krwiodawstwa. W marcu tego roku na łamach „Blood" ukazała się publikacja, z której wynika, że regularne oddawanie krwi może przynosić zdrowotne korzyści. Jak to możliwe?

Ponieważ krew cały czas się „zużywa", musi być na bieżąco wymieniana. Erytrocyty, leukocyty, trombocyty żyją zwykle od kilku do kilkudziesięciu dni, a potem giną w boju lub umierają ze starości. Dlatego organizm musi mieć magazyn części zapasowych – komórkowych matryc, które odtworzą to, co utracone. Większość takich zapasów znajduje się w szpiku kostnym. To tu rezydują komórki macierzyste krwi. Są w stanie różnicować się w dowolny typ krwinki. Badania wykazały, że kiedy ktoś regularnie oddaje krew, szpikowe magazyny są często pobudzane do pracy. Ten „trening" zdaje się dobrze wpływać na krwinkowe komórki macierzyste – zapobiega kumulowaniu się w nich niekorzystnych mutacji genetycznych, także tych zwiększających ryzyko nowotworów krwi (np. białaczek). Taki efekt notowano przede wszystkim u częstych dawców, oddających krew trzy razy w roku. Jednak pewne korzystne zmiany w komórkach macierzystych występowały również u tych osób, które przekazywały honorowo krew znacznie rzadziej (np. pięć razy w ciągu kilkunastu–kilkudziesięciu lat).

> Współczesna medycyna wie, że w zdecydowanej większości przypadków, aby wyleczyć pacjenta, trzeba raczej dodać czegoś do jego krwi, a nie odejmować.

...do krwiodawców

Skoro więc współczesne i wiarygodne badania potwierdzają związek między utratą krwi a zdrowiem, to może jednak w prastarych praktykach była mądrość, którą medycyna odkrywa dopiero teraz? Nie do końca. Po pierwsze, krwiodawstwo nie jest obarczone najważniejszym ryzykiem, które występowało w dawnych procedurach, czyli zakażeniem. Do pobrania używa się sterylnego jednorazowego sprzętu, a potencjalne zakażenia są w punktach krwiodawstwa traktowane bardzo poważnie. Po drugie, ważniejsze, krew oddają osoby zdrowe i w dobrej formie. Dlatego utrata krwi nie wiąże się u nich z zagrożeniem. A i tak przysługują im dwa dni wolne od pracy – na oddanie krwi i regenerację.

Porównywanie honorowego krwiodawstwa do nieuzasadnionych medycznie praktyk upuszczania krwi jest nietrafione. Pierwsza praktyka ratuje życie, druga jest po prostu nierozsądna. Pozostaje wierzyć, że podobała się bogom.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA
MARTA ALICJA TRZECIAK

© HULTON/GETTY IMAGES

eprasa.pl 54c79bd13b

Źródła niepowodzeń

Woda pitna staje się zasobem coraz rzadszym i coraz trudniej odnawialnym. A my szastamy nią tak, jakbyśmy zupełnie nie zdawali sobie z tego sprawy.

Woda krąży w zamkniętym cyklu. Pada, płynie, zamarza, wsiąka, paruje miejscowo i z oceanów, pada. Ten dynamiczny porządek został ostatnio rozregulowany zmianami klimatu. Pod ich wpływem ogromne ilości wody przeniosły się do oceanów i nie mogą wrócić. Lądy schną w dramatycznym tempie. Chodzi przede wszystkim o gleby i warstwy wodonośne. Taki wniosek tej wiosny w magazynie „Science" przedstawili badacze, którzy przyglądali się tzw. lądowemu magazynowi wody.

Leje się dużo, potrzeba więcej

Wilgotność gruntu nie jest pewnie pierwszym skojarzeniem z hasłem „woda". To jednak od kondycji gleby bezpośrednio zależy wegetacja roślin, w tym wysokość plonów zbieranych z pól. A także jakość i ceny tego, co ląduje na naszych talerzach.

Już teraz na podtrzymanie upraw płynie 80–90 proc. wody zużywanej przez globalną gospodarkę. Przy czym rośliny podlewane i poddane irygacji dostarczają ledwie 30–40 proc. zjadanych przez nas kalorii. Resztę zaspokajają plony uzyskiwane bez podlewania oraz połowy w morzach i oceanach. Za chwilę wody będziemy potrzebować jeszcze więcej. Prognozy o wzroście naszej populacji (dziś jest 8,2 mld ludzi, w 2050 r. ma być 9,7 mld, w 2100 r. – 10,4 mld) oraz o zmianach w diecie i o zapotrzebowaniu na żywność coraz zamożniejszego tzw. Globalnego Południa przewidują, że do połowy wieku powinniśmy z pól, grządek, szklarni, sadów czy winnic zbierać o połowę więcej pożywienia niż obecnie. Większość będzie przeznaczona na paszę dla zwierząt hodowanych na mleko i mięso.

Intensyfikacja rolnictwa umożliwi wyżywienie dodatkowych 2–3 mld osób. Będzie się to jednak wiązało z wprowadzaniem nowych, odporniejszych na bardziej wymagające warunki odmian roślin. Oraz ze stosowaniem większej ilości nawozów i pestycydów. Do ich produkcji potrzeba dużej ilości energii, a to oznacza koszty. Ich cena jest zaś trudna do przewidzenia, bo podąża za fluktuującymi światowymi cenami ropy naftowej i gazu ziemnego, uzależnionymi z kolei od kaprysów geopolitycznej koniunktury. Użycie nawozów generuje wyzwania, m.in. podwyższa poziom azotu w atmosferze, co negatywnie wpływa na wiele ekosystemów. Ich stabilność naruszają środki wymierzone w owady, grzyby czy niepożądane gatunki roślin. Nawadnianie wydaje się więc sposobem łatwiej dostępnym i bezpieczniejszym.

Ubyło sporo, szybko nie przybędzie

W obecnych warunkach zmaksymalizowanie plonów wymagałoby jednak 146-procentowego wzrostu ilości wody skierowanej do nawadniania, zwłaszcza upraw kukurydzy, ryżu, soi i pszenicy. Tylko skąd tę wodę brać, skoro jej lądowe magazyny się kurczą? Może spod ziemi?

Taki pobór wiąże się z poważnym ryzykiem. Na przykład Wenecja. Jej podatność na powodzie nie wynika jedynie z podnoszących się wód miejscowej laguny. Obok miasta działa port i strefa przemysłowa. W Porto Marghera w okresie powojennym intensywnie pompowano wodę, co doprowadziło do obniżenia jej poziomów, zmian struktury gleby i osiadania całej okolicy. Ok. 400 dawnych studni nie zostało prawidłowo zamkniętych, więc nadal drenują niżej położone warstwy wodonośne. I choć dzisiejszy pobór jest znacznie mniejszy, to wciąż nie udało się przywrócić stanu wody gruntowej z początku XX w. Jeszcze szybciej – w niektórych rejonach w tempie 20 cm rocznie – zapada się też portowa Dżakarta, za sprawą poboru wód podziemnych oraz ogromnej masy budynków i sieci ulicznej 11-milionowego miasta.

To także polskie dylematy. Żywiołowej urbanizacji wiejskich terenów wokół miast towarzyszy – z braku wodociągów – kopanie i wiercenie studni. Pobrana z nich woda kosztuje grosze – tyle, co prąd do pompy – nie ma więc impulsu do oszczędzania. Rezultatem są obficie zraszane ogrody i trawniki, odkręcone krany nad wannami i długie prysznice. Pół biedy, jeśli woda z lokalnych warstw wodonośnych trafi ostatecznie do przydomowych oczyszczalni i zostanie uwolniona na miejscu, bezpośrednio do gruntu. Sporo z niej z powrotem wsiąknie i po jakimś czasie ma szansę wrócić do warstwy, z której została zabrana. Gorzej, jeśli wyparuje z podlewanego trawnika lub odpłynie systemem kanalizacyjnym (o ile taki jest) lub wyjedzie we wnętrzu wozu asenizacyjnego, który opróżnił szambo. Za ich pośrednictwem trafi do komunalnej oczyszczalni,

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54c79bd13b

następnie do jakiejś rzeki, a nią do Bałtyku. Z każdym przebytym kilometrem maleje szansa na powrót tak uprowadzonej wody w okolice macierzystej studni.

Grozi niedobór, nerwy się strzępią

Globalny system irygacyjny zasilany jest głównie z wód płynących, z rzek i potoków. Wiele z nich zasilają opady magazynowane zimą w śniegu i w lodzie, a uwalniane w okresie topnienia. Tych „schowków" coraz bardziej brakuje. Śniegu pada dziś mniej, a nawet jeśli w zimnych miesiącach przybywa białej pokrywy, to topi się ona szybciej niż dawniej. Widzimy to w Polsce, gdy po coraz częstszych niemal bezśnieżnych zimach na Podlasiu i Suwalszczyźnie następują cykliczne wiosenne pożary w dolinie Biebrzy. Jej tereny mniej przypominają bagna, a coraz bardziej upodabniają się do stepu. Na świecie coraz wyżej przesuwa się też linia utrzymywania się śniegu i lodowców. Objawy tego procesu bywają tak spektakularne, jak w Szwajcarii w maju, gdy lawina lodu i skał utrzymywanych dotychczas przez wieczną zmarzlinę i lodowiec Birch przykryła większość zabudowań wsi Blatten. Skutkuje to zmianą przepływów w rzekach. Problem ten najboleśniej dotyka rolnicze zagłębia w dorzeczach najliczniej zamieszkanych kontynentów oraz rzek wypływających z południowych Andów, z Azji Środkowej, w zachodnich częściach Rosji, Stanów Zjednoczonych i Europy czy z Wyżyny Tybetańskiej.

Rodzi to ostre napięcia polityczne. Spór o zasady korzystania z rzek mających źródła w Himalajach jest osią konfliktu między dysponującymi bronią jądrową Indiami i Pakistanem. Egipt i Sudan zarzucają Etiopii, że bezprawnie napełnia nowy zbiornik na Nilu Błękitnym, niosącym 85 proc. wody najdłuższej rzeki Afryki. Pretensje do Chin mają leżące w dole Mekongu Laos, Tajlandia, Wietnam i Kambodża.

Beton się cofa, powinien prędzej

W regionach na dorobku sposobu na rozwiązanie problemów z wodą wciąż upatruje się w zaporach. W ten sposób można ją zatrzymać i zebrać,

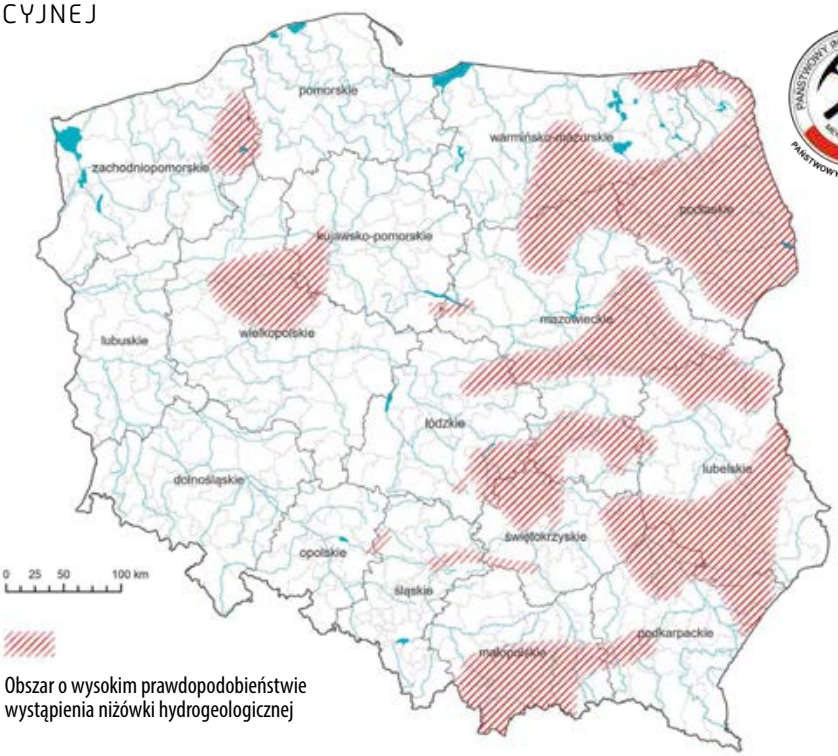

Obszar o wysokim prawdopodobieństwie wystąpienia niżówki hydrogeologicznej

Wody podziemne – naturalne bogactwo Ziemi

Choć na co dzień wód podziemnych nie widzimy, są jednym z najcenniejszych bogactw. To ponad 30 proc. światowych zasobów wody słodkiej. W wielu krajach są głównym źródłem wody pitnej. **W Polsce korzysta z nich ok. 70 proc. społeczeństwa**. Bez wód podziemnych trudno sobie wyobrazić rolnictwo czy wiele gałęzi przemysłu. To one kształtują stan ekosystemów zależnych od wód, np. zasilając rzeki, jeziora i mokradła. Ilość i rozmieszczenie tych zasobów zależą od budowy geologicznej oraz klimatu. Skały muszą być odpowiednio przepuszczalne, by mogły magazynować i przewodzić wodę, a opady – na tyle wystarczające, by zasilać podziemne zbiorniki. Dzięki swojej geologicznej przeszłości Polska ma relatywnie dobrą sytuację. Zlodowacenia pozostawiły na znacznym obszarze zasobne wodonośne warstwy żwirów i piasków. Jednocześnie **ponad 90 proc. terenu Polski** stanowią obszary alimentacyjne, gdzie następuje zasilanie wód podziemnych poprzez infiltrację wód opadowych. Według danych z grudnia 2024 r. zasoby dyspozycyjne wód podziemnych wynoszą ok. 12,4 km sześc. na rok, co znacznie przewyższa obecne potrzeby. Średnio wykorzystujemy ok. 22 proc. tych rezerw, ale sytuacja zależy od regionu. Najmniej zasobne jest południe kraju, a największe zużycie występuje na Górnym Śląsku i w Wielkopolsce.

O dostępności zasobów wodnych przesądza także ich jakość. Coraz więcej wytworów naszej cywilizacji: pestycydów, farmaceutyków, syntetycznych chemikaliów, przenika do gleby i wód podziemnych. To wyzwanie wymagające nie tylko nowych technologii, ale i odpowiedzialnego stosowania substancji chemicznych.

Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut Badawczy (PIG-PIB) rozwija sieć obserwacyjną wód podziemnych liczącą obecnie 2 tys. punktów badawczych, w których prowadzi się pomiary poziomu zwierciadła wód podziemnych (w niektórych nawet co godzinę), a także pobiera próbki wody. Ważnym zadaniem PIG-PIB jest ocena sytuacji hydrogeologicznej w kraju i prognozowanie jej zmian. Ocena ta stanowi podstawę działań mających na celu łagodzenie skutków zjawisk ekstremalnych, takich jak powodzie i susze. W związku z występującym i prognozowanym zjawiskiem niżówki hydrogeologicznej PIG-PIB wydaje ostrzeżenia przed niebezpiecznymi zjawiskami w strefach zasilania lub poboru wód podziemnych. Na prośbę Rządowego Centrum Bezpieczeństwa opracowuje również długoterminowe prognozy sytuacji hydrogeologicznej. Tylko odpowiedzialna gospodarka wodą, monitorowanie jej stanu oraz troska o środowisko mogą zapewnić – także przyszłym pokoleniom – dostęp do wody o dobrej jakości.

eprasa.pl 54c79bd13b

MATERIAŁ WE WSPÓŁPRACY KOMERCYJNEJ

przy okazji zyskując stabilne źródło energii elektrycznej. Tamy nadal się stawia mimo wielkich kosztów ekonomicznych i społecznych (z reguły trzeba zalać jakiś teren, przesiedliwszy jego mieszkańców). Tymczasem w zamożnych rejonach trwa raczej odwrót od takich ingerencji. Nauka dostarcza coraz więcej dowodów, że koszty środowiskowe nie równoważą korzyści gospodarczych.

Rzeka w stanie zbliżonym do pierwotnego ma przestrzeń, by się rozlać w razie nagłych opadów. Lepiej adaptuje się do wyzwań klimatu i sprawniej radzi sobie z zanieczyszczeniami. W takim środowisku więcej szans na przetrwanie zyskuje wodna różnorodność biologiczna, a akurat gatunki żyjące w wodach słodkich giną w tempie pięciokrotnie wyższym niż gatunki lądowe. Wiele z tych organizmów przydaje się ludziom – jemy ryby, a np. mięczaki filtrują i oczyszczają wodę, także tę po dodatkowym uzdatnieniu trafiającą do wodociągów. Nie przez przypadek to silnie uregulowana Odra, niosąca na dodatek poważne zanieczyszczenia z kopalni, padła w 2022 i 2024 r. ofiarą katastrof ekologicznych.

Susza nadciąga, czas się powściągać

Z niedoborem wody zmaga się już jedna trzecia ludności miejskiej. W połowie XXI w. proporcja będzie podobna, choć liczba mieszkańców narażonych na jej brak w kranie wzrośnie z ok. 1 mld do ponad 2 mld osób.

W najtrudniejszych przypadkach trzeba będzie zatem wprowadzać mechanizmy ograniczające urbanizację i wzrost populacji. W sytuacjach mniej wymagających – stosować zasadę taką jak w przypadku prądu elektrycznego czy energii do ogrzewania: oszczędzać. I wodę, i zasoby potrzebne do jej wydobycia, uzdatnienia, przetransportowania, podgrzania i ponownego oczyszczenia.

Wypadałoby krytycznie się przyjrzeć takim ekstrawagancjom jak wodożerne pola golfowe w suchych regionach, np. w Hiszpanii. Obrońcom środowiska zdarzało się już prowadzić akcje

Woda to nasza odpowiedzialność

Dla Żywiec Zdrój woda to nie tylko surowiec – to wspólne dobro, które wymaga odpowiedzialnej ochrony. Od prawie dwóch dekad aktywnie angażujemy się w działania na rzecz zachowania i odnawiania zasobów wodnych, wychodząc naprzeciw skutkom zmian klimatycznych i ograniczonej dostępności wody – jednego z najważniejszych wyzwań środowiskowych w Polsce.

Nasze podejście do wody opiera się na działaniu – długofalowym, mierzalnym i osadzonym w lokalnym kontekście. Zdajemy sobie sprawę, że efektywna ochrona zasobów zaczyna się od przyrody, dlatego wspieramy rozwiązania, które naśladują i wzmacniają naturalne mechanizmy retencyjne.

Sztandarowym przykładem jest program **„Po stronie natury"**, jeden z największych tego typu projektów środowiskowych realizowanych przez firmę prywatną w Polsce. Dotychczas w jego ramach posadziliśmy wraz z partnerami już 9 mln drzew i objęliśmy ochroną 65 ha łąk wysokogórskich. Takie działania zwiększają zdolność ekosystemów do zatrzymywania wody opadowej tam, gdzie spada. Korzenie drzew spulchniają glebę i tworzą mikrokanaliki, dzięki którym woda może wsiąkać i być magazynowana, zamiast szybko odpływać. Roślinność działa jak biologiczny filtr, poprawiając jakość wód gruntowych, a liście regulują parowanie i wspierają lokalny mikroklimat. To wszystko wpływa na lepszy bilans wodny w regionach, w których jesteśmy obecni.

W 2024 r. zainaugurowaliśmy kolejny ważny projekt **„Kropla do kropli"**, realizowany we współpracy z Centrum Ochrony Mokradeł. Jego celem jest przywracanie naturalnych terenów podmokłych, zwłaszcza torfowisk, które pełnią podwójną funkcję: zatrzymują wodę i pochłaniają dwutlenek węgla, przeciwdziałając zmianom klimatu. To uzupełnienie dotychczasowych inicjatyw retencyjnych o jeszcze bardziej kompleksowe podejście do ochrony zasobów wodnych.

Działania te wpisują się w nasz **cel strategiczny**: zwiększenie do 2030 r. zasobów wód dyspozycyjnych w miejscach naszej działalności aż **dwuipółkrotnie**. Pracujemy nad tym poprzez działania przyrodnicze, ale też infrastrukturalne.

W Żywiec Zdrój traktujemy wodę z należnym jej szacunkiem – bo każda kropla ma znaczenie. I wierzymy, że biznes może realnie wspierać środowisko – systematycznie, odpowiedzialnie i lokalnie.

© MP ŻYWIEC, RAFAŁ SKAWIŃSKI

eprasa.pl 54c79bd13b

protestacyjne między dołkami i przerywać działalność ośrodków golfowych w imię sprawiedliwości klimatycznej. Trzeba także się zastanowić nad podlewaniem terenów zielonych wodą pitną z wodociągów. Tu rozwiązaniem są takie ogrody, które wymagają jak najmniejszego zraszania. Trzeba naciskać na polityków, by staranniej chronili istniejące mokradła i odtwarzali te osuszone. Torfowiska doskonale magazynują wodę, oddają ją w porze letniej, na dodatek zalane emitują mniej gazów cieplarnianych. Trwa dyskusja o zarządzaniu lasami. One też są rezerwuarem wody i – zwłaszcza w górach – mają zdolność hamowania spływu podczas nawalnych deszczów lub zasilania wód podziemnych.

Największą różnicę zrobi zaś zmiana nawyków żywieniowych – żywność pochodzenia zwierzęcego pozostawia większy ślad wodny, podobnie jak jedzenie marnowane i wyrzucane. Niestety, rządy nie wymagają od producentów – a ci nie robią tego dobrowolnie – by informować konsumentów, ile wody potrzeba do wytworzenia konkretnego produktu. Szansą będą nowe sposoby upraw, np. podlewanych precyzyjnie. W odwodzie jest też produkcja żywności bez wykorzystania gleb, ale niespecjalnie widać chętnych na menu oparte jedynie na dorobku fabryk i laboratoriów.

Na koniec niezła i może zaskakująca wiadomość. Gdy ludzkość zmaga się z brakiem wody o dość ściśle wąskich parametrach, jej ilość na Ziemi pozostaje w zasadzie niezmienna. Wody szybko ani nie zabraknie, ani nie przybędzie – przynajmniej do czasu zaburzenia o kosmicznej intensywności, które zmieniłoby warunki na całej planecie, co zawsze jest jednak mizernym pocieszeniem. Nie powinien też usprawiedliwiać obecnej nonszalancji.

Jędrzej Winiecki

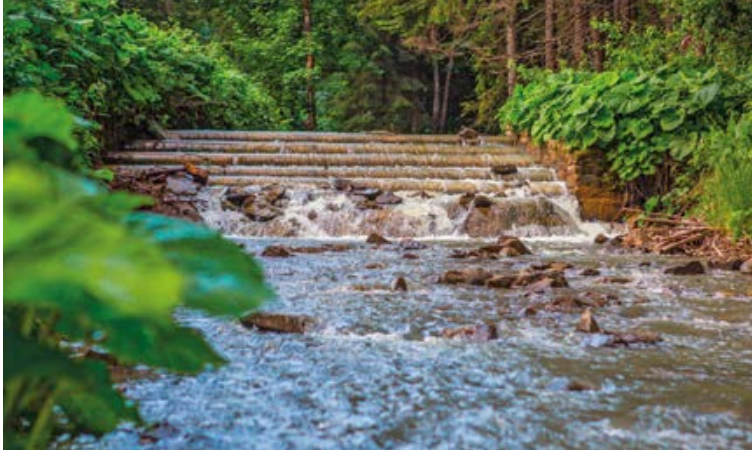

Bez wody nie ma Ż

Zarówno nadmiar, jak i niedobór wody mają istotny wpływ na lokalne społeczności oraz indywidualne życie Polaków. Według ogólnopolskiego badania – przeprowadzonego na zlecenie Grupy Żywiec i Żywiec Zdrój w ramach Koalicji „Dbamy o wodę" – susza i niedobory wody są drugim najważniejszym problemem, któremu należy przeciwdziałać (38 proc. badanych), zaraz po degradacji środowiska naturalnego przez człowieka (39 proc.). Wyniki badań, publikowane co roku z okazji Światowego Dnia Wody, są dla Koalicji ważnym punktem odniesienia w działaniach na rzecz gospodarowania wodą oraz edukacji mieszkańców regionu.

Badanie przeprowadzone zostało także na Żywiecczyźnie, gdzie firmy mają swoje zakłady produkcyjne. Wysoka świadomość lokalnych mieszkańców wynika z ich bezpośrednich doświadczeń z ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi. Stąd ok. 80 proc. badanych deklaruje, że w minionym roku podejmowało działania na rzecz zachowania wody opadowej, a 46 proc. zbiera i wykorzystuje deszczówkę.

W ramach utworzonej Koalicji „Dbamy o wodę" dwie sąsiedzkie firmy, Grupa Żywiec i Żywiec Zdrój, wraz z partnerami z sektora administracji publicznej i organizacji pozarządowych działają systemowo na rzecz zwiększania retencji wody na Żywiecczyźnie. Koalicja prowadzi działalność badawczą i edukacyjną wokół zagadnień hydrologicznych i klimatycznych, promuje dobre praktyki oraz przedstawia korzyści wynikające z wdrażania rozwiązań retencyjnych na poziomie lokalnym, regionalnym i ogólnopolskim.

W 2024 r. podczas dorocznej Konferencji Wodnej Koalicja „Dbamy o wodę" zaprezentowała opracowany przez hydrologów z Uniwersytetu Śląskiego model zlewni rzeki Soły, który może pomóc w planowaniu zarządzania zasobami wodnymi w regionie. Wyniki obliczeń wykonanych w ramach modelu pozwalają określić potencjał i potrzeby retencji na poszczególnych obszarach zlewni, służąc za przewodnik do planowania optymalnego zarządzania zasobami wody. Dzięki modelowi wiadomo, w których gminach jakie potrzeby występują oraz jak budować retencję i mikroretencję.

Koalicja „Dbamy o wodę" pokazuje, że skuteczna ochrona zasobów wodnych wymaga współpracy wielu sektorów i długofalowego myślenia. Jej działania mogą stanowić inspirację dla innych regionów Polski, które również zmagają się z wyzwaniami związanymi z wodą.

Koalicja Dbamy o wodę

PARTNERZY KOMERCYJNI

Grupa Żywiec

ŻYWIEC ZDRÓJ

PAŃSTWOWY INSTYTUT GEOLOGICZNY 1919 PAŃSTWOWY INSTYTUT BADAWCZY

eprasa.pl 54c79bd13b

Kobiety foki

Wyspa Jeju słynie ze skał, wiatru i poławiaczek haenyeo. Pracują do osiemdziesiątki, codziennie nurkując na bezdechu na głębokość 20 m. Nic dziwnego, że ich ciała są niezwykłe.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA, MARTA ALICJA TRZECIAK

Rankiem zbierają się w grupach. Zaczynają od krótkiej modlitwy do bogini morza o bezpieczeństwo i dobre połowy. Wkładają pianki, maski, płetwy, balast, zabierają zakrzywione noże i siatki mangseon, po czym wpływają na otwarte morze lub przybrzeżne rafy. Kobiety zanurzają się, by po chwili pojawić się na powierzchni, wydychając powietrze z charakterystycznym gwizdem sumbi sori, przypominającym cichy śpiew wielorybów. Uchowce, jeżowce, ośmiornice, małże, wodorosty i inne owoce morza trafiają do siatki przyczepionej do bojki taewak, na której nurkinie chwilę odpoczywają przed kolejnym zanurzeniem. Pracują po kilka godzin dziennie – zabronione jest używanie butli, niszczenie dna morskiego i zbieranie młodych organizmów.

Historia kobiet morza z koreańskiej wyspy Jeju sięga co najmniej V w. Początkowo nurkowali też panowie, gdy jednak Korea była wasalem Chin, zaczęli opuszczać wyspę z powodu przymusowych prac lub służby wojskowej. Przybrzeżnymi połowami zajęły się kobiety. W XVII w. odgrywały już dominującą rolę w tej społeczności, a ich miano *haenyeo* stało się synonimem siły, niezależności i odwagi. Choć Korea była patriarchalna, na wyspie panował system półmatriarchalny, bo to one były żywicielkami rodzin, przywódczyniami, a czasami też lokalnymi bohaterkami. Mężczyźni często zajmowali się tu dziećmi i domem, kobietom wolno było się rozwodzić i ponownie wychodzić za mąż, a w ciężkich czasach stawały na czele ruchów oporu, np. podczas buntu przeciw japońskiej okupacji w latach 30. XX w.

Siłę dawała im niezależność ekonomiczna. Po japońskiej kolonizacji, kiedy zniesiono system przymusowego oddawania suszonych uchowców jako daniny dla państwa, zaczęły sprzedawać owoce morza na wolnym rynku. W latach 60. ich połowy stanowiły aż 60 proc. całego dochodu wyspy z rybołówstwa.

Odpowiedniczkami *haenyeo* są Japonki *ama* z prefektury Ise, Shima, Chiba i Mie, ale te biedne kobiety, które nurkowały po owoce morza i perły perłopława japońskiego, nigdy nie miały tak wysokiej pozycji społecznej jak Koreanki z Jeju. Dopiero w XX w. Japonia „upiększyła" ten wizerunek, a ich białe szaty miały symbolizować wolność, naturę i tradycję. Skąd ta różnica między nurkującymi Koreankami i Japonkami? Być może już w głębokiej przeszłości kultura na Jeju była bardziej egalitarna. Jednak i im patriarchalny konfucjanizm dał się we znaki – nie dziedziczyły majątków i nie miały prawa do sprawowania władzy politycznej.

Na Jeju to nie z narodzin chłopców bardziej się cieszono, jak wszędzie indziej, lecz z przyjścia na świat córek, których przygoda z morzem zaczynała się już w dzieciństwie. Sześciolatki najpierw zbierały wodorosty, by z czasem zacząć uczyć się pływać i nurkować pod czujnym okiem matek i babek. Najpierw jako

© SHANAE ENNIS-MELHADO/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54c79bd13b

hagae, blisko brzegu i na małych głębokościach, potem jako *junggae* zaczynały schodzić głębiej i pozostawały pod wodą dłużej, by ok. 14. roku życia stać się pełnoprawnymi *haenyeo*. Uczyły się wydłużania oddechu i kontroli pulsu, nabierania wytrzymałości na zimno i zmęczenie oraz rozpoznawania pogody i morza.

Do lat 70. nurkowały w cienkich bawełnianych strojach, nawet zimą, kiedy temperatura wody spadała do 8 st. C. Wtedy zostawały w niej do godziny, po czym ogrzewały się przy ogniskach, by jeszcze raz wskoczyć na połów. W lecie pozostawały w wodzie do trzech godzin na raz. Dopiero później neoprenowe kombinezony wydłużyły ich czas pracy. Ponieważ ryzyko ze strony rekinów, meduz, sztormów czy hipoksji pozostało, kobiety zawsze nurkowały w grupach – jeśli jedna straciła przytomność, inne mogły ją uratować. Dzieliły się na grupy związane z konkretnymi wioskami, każda z nich miała swoje łowiska, zasady pracy, rytuały.

Do dziś każdej wiosny *haenyeo* odprawiają rytuał Yeongdeung Gut – ceremonię szamańską, podczas której proszą boginię morza Yeongdeung Halmang o bezpieczne nurkowanie, obfite połowy, ochronę przed sztormami i chorobami. Składają ofiary z ryżu, owoców, lokalnego alkoholu *soju* i mięczaków. Szamanki *mudang* tańczą, a *haenyeo* śpiewają monotonne pieśni, w których powtarzają proste frazy błagalne, wyrażając miłość do morza i tęsknotę za koleżankami, które pochłonęło.

Nurkowanie to nie tylko kwestia umiejętności, lecz także biologiczne wyzwanie, dlatego kobietami zainteresowali się naukowcy. Pierwsze badania nad ich adaptacją fizjologiczną prowadził w latach 60. i 70. XX w. Suk-Ki Hong. Okazało się, że dzięki twardemu treningowi dostosowywały się do ekstremalnych warunków: mają powiększone płuca, skurcze ich śledziony uwalniają dodatkowe czerwone krwinki, wzmożona jest też produkcja ciepła w organizmie. Nic dziwnego, że Suk-Ki Hong porównał *haenyeo* do nurkujących fok.

Część badaczy zaczęła się zastanawiać, czy częste schodzenie pod wodę mogło doprowadzić do nowych przystosowań ewolucyjnych. Nie jest to oczywiste, bo nawet jeśli *haenyeo* nurkują od stuleci, to nie wszystkie adaptacje fizjologiczne przekładają się na genom przyszłych pokoleń. I tak np. z badań opublikowanych w tym roku na łamach „Cell Reports" wynika, że ich zdolność do długiego bezdechu to wyłącznie kwestia treningu. Aby tego dowieść, naukowcy sprawdzili m.in. objętość śledzion u *haenyeo*. Badania z 2018 r. wykazały bowiem, że u innej nurkującej populacji – Bajau z Indonezji – doszło do ewolucyjnego powiększenia tego narządu, magazynującego krew i uwalniającego ją w miarę narastającego zapotrzebowania.

Jednak śledziony *haenyeo* nie różniły się istotnie od reszty populacji. Naukowcy wykazali również, że ich niezwykle efektywna zanurzeniowa bradykardia to także kwestia lat praktyki, a nie adaptacji ewolucyjnej. Wyjaśnijmy: każdy ssak posiada w swoim pakiecie podstawowych reakcji tzw. odruch nurkowania (*mammalian diving reflex*). Po zanurzeniu twarzy w chłodnej wodzie receptory nerwowe na głowie przekazują informację do serca, by spowolniło pracę. Dzięki temu układ krążenia efektywniej wykorzystuje tlen na bezdechu. Każdy może wykryć u siebie istnienie tego odruchu. Należy usiąść spokojnie na pięć minut i zmierzyć tętno spoczynkowe. Następnie trzeba zanurzyć całą twarz w misce z zimną wodą, czyli „zanurkować", i wytrzymać tak przez jakiś czas. Partner mierzy w tym czasie tętno – będzie niższe od tego sprzed zanurzenia. U kobiet morza tempo pracy serca spada szybciej i osiąga niższe wartości niż u reszty mieszkańców.

Dalsze badania *haenyeo* wykazały jednak, że niektóre z ich adaptacji utrwaliły się ewolucyjnie. Wykryto u nich np. warianty genetyczne powiązane z wytrzymałością na zimno. U nurkujących mieszkanek Jeju znaleziono również geny wpływające na regulację krążenia.

Badacze wpadli na ten trop podczas pomiarów rozkurczowego ciśnienia krwi. Ku ich zdziwieniu okazało się, że *haenyeo* mają przeciętnie wyższe ciśnienie niż grupa kontrolna, co może sugerować zaburzenia naczyniowe, choć przecież treningi wydolnościowe są kojarzone z poprawą zdrowia. Bardziej dogłębne analizy ujawniły jednak, że u kobiet morza cecha ta może działać ochronnie. Po pierwsze, zapobiega skokom ciśnienia krwi podczas nurkowania (skoro ciśnienie jest już w naczyniach wysokie, to po zanurzeniu w głębinach nie wzrośnie tak gwałtownie jak u innych osób). Po drugie, pozwala zachować odpowiednią perfuzję i natlenowanie mózgu podczas przedłużającego się nurkowania i spadku stężenia tlenu. Po trzecie, wykryto, że choć ciśnienie rozkurczowe jest u *haenyeo* wyższe niż u reszty ludności, to jednak występują u nich genetyczne warianty ochronne, które zapobiegają negatywnym konsekwencjom zdrowotnym, np. nadciśnieniu. To oznacza, że kobiety morza ewolucyjnie „obeszły" niektóre zagrożenia chorobowe, z jakimi mierzą się obecnie całe populacje.

Poławiaczki z Jeju to symbol narodowy Korei Południowej. Państwo subsydiuje ich wyposażenie, gwarantuje prawa do połowów i promuje ich wizerunek jako bezcenną część dziedzictwa narodowego. W 2016 r. UNESCO wpisało je na listę niematerialnego dziedzictwa ludzkości, a w 2023 r. FAO uznała za globalnie ważny system dziedzictwa rolniczego. Dumni mieszkańcy Jeju stawiają im pomniki. Poświęcili im też całe Muzeum Haenyeo w Gujwa-eup. Jednak świat dowiaduje się o nich raczej dzięki kulturze popularnej i takim serialom jak „Błękitne opowieści" czy „Witamy w Samdal-ri". Dla Koreańczyków *haenyeo* to dziś symbol współżycia z morzem w równowadze i pokoju.

Z filmu „The Last of the Sea Women" Sue Kim (na platformie Apple TV+) wynika, że coraz mniej liczne *haenyeo* są dziś strażniczkami oceanu, który zatruwa nadmierna turystyka: przebudowy nabrzeża, chemikalia, mikroplastik i metale ciężkie. Poławiaczki owoców morza są aktywnymi działaczkami na rzecz ochrony środowiska i zachowania tradycji. Czy uda im się coś ugrać?

Niekoniecznie, bo tradycja *haenyeo* umiera. W latach 60. i 70. uprawa mandarynek i zyski z kurortów wyparły morze jako główne źródło utrzymania. Młode kobiety nie chcą iść w ślady babek i matek, wybierają wykształcenie, inne zawody, a przede wszystkim życie na lądzie, jak główna bohaterka serialu „Prosta robota", której matka umiera na chorobę płuc wywołaną latami nurkowania bez pianki. Liczba aktywnych *haenyeo* spadła z ok. 30 tys. w latach 60. XX w. do nieco ponad 2 tys. dziś. A ponad 98 proc. z nich to kobiety po pięćdziesiątce (czasami pod wodę schodzą nawet 80-latki). Kiedy ostatnie *haenyeo* przestaną nurkować, tradycja zniknie, podobnie jak niezwykłe biologiczne uwarunkowania ich ciał – te nabyte i te odziedziczone. ■

eprasa.pl 54c79bd13b

Porozumienie z Schengen 40 lat temu otworzyło granice państw europejskich. Od tamtej pory sytuacja zmieniła się dramatycznie – Europę ogarnął lęk przed migrantami.

ANDREW TOMPKINS

Otwarte, ale chwilowo zamknięte

Polska w strefie Schengen. Od lewej: wojewoda śląski Zbigniew Łukaszczyk oraz hetman województwa morawsko-śląskiego Evžen Tošenovský przepiłowali szlaban na granicy w Cieszynie, 21 grudnia 2007 r.

eprasa.pl 54c79bd13b

Niepozorną winiarską wieś Schengen w Luksemburgu wybrali na miejsce podpisania układu przedstawiciele Francji, Republiki Federalnej Niemiec i krajów Beneluksu. Ceremonia odbyła się 14 czerwca 1985 r. na pokładzie statku „Princesse Marie-Astrid" na Mozeli. Podpisy złożyli słabo rozpoznawalni sekretarze stanu, nie zorganizowano żadnych uroczystości, a prasa ledwie odnotowała to wydarzenie.

Wdrożenie układu w Europie Środkowo-Wschodniej ponad 20 lat później wyglądało już inaczej. Tuż przed Bożym Narodzeniem 2007 r. na polsko-niemieckiej granicy zebrały się tłumy, by uczcić zniesienie kontroli. Donald Tusk, Angela Merkel i Mirek Topolánek spotkali się na styku granic Polski, Niemiec i Czech. Wzdłuż polsko-litewskiej granicy odbyła się uroczystość z udziałem prezydentów Lecha Kaczyńskiego i Valdasa Adamkusa, którzy z dumą ogłosili, że „dopełnił się ostatni akt integracji europejskiej".

Zniesienie „przeszkód w swobodnym przepływie osób, usług i kapitału" obiecywały już traktaty rzymskie z 1957 r., jednak ani Europejska Wspólnota Gospodarcza (EWG), ani ówczesne kraje członkowskie nie spieszyły się, by je wdrożyć. Pierwszy krok wykonano dopiero w latach 70. – rozpoczęto prace nad ujednoliconym paszportem europejskim. W niedawno wydanej książce o historii strefy Schengen Isaac Stanley-Becker dowodzi, że gwarancje „swobodnego przepływu" miały dla EWG wymiar wyłącznie ekonomiczny. Obywatele Europy Zachodniej nie mieli prawa osiedlać się w innych krajach ani dowolnie przekraczać ich granic.

Dla przykładu: policja francuska regularnie nie dopuszczała Niemców z RFN do udziału w antynuklearnych protestach. W 1979 r. niemiecki europarlamentarzysta złożył skargę do Komisji i Rady Europejskiej, że strażnicy niedaleko Schengen zabronili protestującym przejść na francuską stronę granicy. Twierdził, że ograniczając prawa obywatelskie, działali wbrew intencji traktatów rzymskich. W odpowiedzi usłyszał, że zatrzymane osoby „nie miały zamiarów gospodarczych", wobec czego nie były chronione przez prawa EWG.

Na początku lat 80. gospodarczy projekt integracji popadł w stagnację i publicyści zdiagnozowali zaawansowaną „eurosklerozę". Chcąc tchnąć życie w Europę, François Mitterrand i Helmut Kohl zaproponowali w maju 1984 r. eliminację pozostałych kontroli granicznych. Miesiąc później Mitterrand z dumą ogłosił pakiet dla „Europy obywateli". Opór stawiała Wielka Brytania pod eurosceptycznym przywództwem Margaret Thatcher i nigdy nie weszła do strefy Schengen.

Układ z Schengen był deklaracją woli. Dopracowanie szczegółów pozostawiono grupom roboczym, a parlamenty narodowe aż do czasu ratyfikacji w ogóle nie były włączone w przygotowania. W tak skomplikowanej sprawie mogły powiedzieć tylko „tak" lub „nie". Mimo że zniesienie granic miało przybliżyć Europę do obywateli, układ wypracowano bez ich udziału. Pominięto też ich przedstawicieli wybranych w powszechnych wyborach.

Sygnatariusze zamierzali znieść kontrole graniczne do końca 1986 r. Tworzenie konwencji wykonawczej do układu przeciągnęło się jednak aż do 1990 r., bo negocjatorzy chcieli z góry przeciwdziałać potencjalnym konsekwencjom: przestępczości, terroryzmowi i niekontrolowanym migracjom. Przewidzieli, że otwarcie granic wywoła w społeczeństwach strefy Schengen lęki, i chcieli wprowadzić tzw. środki wyrównawcze. Już samo to pojęcie sugerowało, że zmniejszenie kontroli oznacza osłabienie bezpieczeństwa. Paradoksalnie, chcąc zapobiec lękom, umacniali przekonanie, że otwarte granice to niebezpieczne granice.

Podstawowym środkiem wyrównawczym było wzmocnienie zewnętrznych granic strefy Schengen. Kontrolowano je intensywniej niż wcześniej granice państwowe. Wzmocniono też kontrolę w obrębie strefy, ale w sposób prawie niezauważalny dla obywateli EWG. Dla przykładu: straż graniczna otrzymała uprawnienia do działania w strefach granicznych, a nie tylko na przejściach. Mogła również ścigać podejrzanych na obszarze sąsiedniego państwa, co wcześniej byłoby naruszeniem terytorialnej suwerenności. Dzięki wprowadzeniu Systemu Informacyjnego Schengen władze wszystkich krajów członkowskich mogły wymieniać się informacjami o podróżujących. Historyk Andreas Pudlat twierdzi, że po podpisaniu konwencji wykonawczej do układu z Schengen możliwości policji znacząco się rozszerzyły. Do tego w obawie o miejsca pracy straż graniczna nieustannie podkreślała znaczenie kontroli. Wzmacniała w ten sposób wrażenie, jakoby swoboda przepływu osób i bezpieczeństwo stały ze sobą w sprzeczności.

Układ z Schengen był produktem zimnej wojny, zgodnym z interesami Europy Zachodniej. Negocjacje konwencji wykonawczej odbywały się na tle rosnącej w tamtym czasie ksenofobii. Już wtedy radykalnie prawicowe partie, jak Front Narodowy we Francji czy Die Republikaner w RFN, wykorzystywały strach przed obcymi. W latach 80. również partie głównego nurtu straszyły migrantami. Wynikający z układu z Schengen plan ujednolicenia polityki migracyjnej oznaczał dalsze ograniczanie dostępu do strefy – także dla obywateli państw Europy Środkowo-Wschodniej.

Gdy dyskusje o konwencji wykonawczej dobiegały końca, dramatycznie zmieniła się rzeczywistość, w której przepisy te miały funkcjonować. W 1989 r. w Polsce ułatwiono wyjazdy za granicę, Węgry otworzyły granicę z Austrią, obywatele NRD wyszli na ulice z hasłem *Reisefreiheit* (wolność podróżowania), a Czesi i Słowacy dzwonili kluczami na znak protestu. Upadek komunizmu wywołał w Europie Zachodniej zarówno entuzjazm, jak i strach. Tamtejsze rządy obawiały się napływu milionów migrantów ze Wschodu. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec w 1990 r. podział na Wschód i Zachód w Europie nie zniknął. Przesunął się z Łaby na Odrę.

Wiarę w otwarte granice podkopywały przedłużające się negocjacje w sprawie konwencji wykonawczej. Ostatecznie podpisano ją 19 czerwca 1990 r., a wejść w życie miała dwa lata później. Termin ten był jednak wielokrotnie przesuwany, aż do 26 marca 1995 r. Mimo to Francja naciskała na dalsze kontrole i „fazę testową", która trwała do września. Wszystkie te opóźnienia wzmacniały wrażenie, jakoby otwarte granice nie były bezpieczne. ▶

© ANDRZEJ GRYGIEL/PAP, EASTWAY/REPORTER

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ **Kraje Europy Środkowo-Wschodniej jeszcze dłużej czekały na dostęp do strefy Schengen.** Między 1991 a 1996 r. Węgry, Polska, Rumunia, Czechy, Słowacja, Estonia, Łotwa, Litwa i Słowenia podpisały umowy stowarzyszeniowe ze Wspólnotami Europejskimi oraz złożyły wnioski o członkostwa w Unii Europejskiej – ustanowionej w 1992 r. na bazie dotychczasowych wspólnot. Zanim jednak rozpoczęły się negocjacje akcesyjne, tzw. dorobek Schengen (czyli komplet aktów prawnych regulujących funkcjonowanie strefy) został w 1997 r. dołączony do prawa UE.

Oznaczało to, że nowe państwa członkowskie będą korzystały z prawa do swobodnego przepływu obywateli, ale będą też zobligowane do dostosowania zasad migracji i kontroli granicznych do zachodnioeuropejskich norm. Zdaniem historyczki Angeli Siebold narzucony mechanizm sprawił, że społeczeństwa, które w okresie zimnej wojny nie zyskały doświadczenia w kwestiach migracji, nie musiały podejmować dyskusji ani wypracowywać kompromisów na ten temat.

W 2004 r. osiem krajów postsocjalistycznych weszło do UE (wraz z Maltą i Cyprem; Bułgaria i Rumunia czekały jeszcze trzy lata). Nowi członkowie dołączyli jednak do strefy Schengen dopiero w 2007 r. Dla instytucji unijnych był to główny krok w integracji kontynentu. Dla wielu Europejczyków swobodny przepływ obywateli stanowił najbardziej odczuwalną korzyść z przystąpienia do UE, mimo że przepisy przejściowe aż do 2011 r. ograniczały dostęp do rynków pracy w Niemczech czy Austrii. Po zakończeniu okresu przejściowego Komisja Europejska oświadczyła, że „początkowe obawy przed masowym napływem pracowników ze wschodu były przesadzone".

Rozszerzeniu UE towarzyszyło wzmacnianie jej nowych zewnętrznych granic. W tym celu powołano Frontex. Na siedzibę utworzonej w latach 2004–05 agencji wybrano Warszawę, a jej pierwotne zadanie polegało na koordynacji służb granicznych w państwach członkowskich. W latach 2016 i 2019 budżet agencji został zwiększony, a jej zadania – poszerzone. Dziś kojarzy się z hasłem „twierdza Europa". Uznawana jest także za instytucję, która w restrykcyjny sposób ogranicza migrantom dostęp do UE. Organizacje chroniące prawa człowieka wielokrotnie oskarżały Frontex o nielegalne push-backi i uniemożliwianie migrantom składania wniosków o azyl.

Wielokrotne zawieszanie układu z Schengen na ogół uzasadniano migracją. Przepisy pozwalają w niektórych okolicznościach czasowo przywracać kontrole. W latach 2006–15 skorzystano z tego prawa tylko 36 razy, na ogół na krócej niż 30 dni i w związku z konkretnymi wydarzeniami: szczytami międzynarodowymi, wizytami papieża, mistrzostwami w piłce nożnej i niektórymi demonstracjami. W sytuacjach nagłego zagrożenia możliwe jest także natychmiastowe przywrócenie kontroli. Po raz pierwszy zastosowano ten środek w Norwegii w 2011 r., kiedy bomba podłożona pod budynkami rządowymi zabiła osiem osób, a prawicowy terrorysta na wyspie Utøya zamordował 69 osób. System Schengen zakłada, że kontrole granic zewnętrznych chronią przed zagrożeniem terrorystycznym. Tymczasem sprawcy większości dotychczasowych ataków pochodzili z wewnątrz strefy.

Od 2015 r. kraje członkowskie zawiesiły układ z Schengen ponad 420 razy, zwykle po to, by zatrzymać migrację. Pierwszym krajem, który przywrócił kontrolę granic w odpowiedzi na „duży napływ osób", były Niemcy pod rządami Angeli Merkel. Natychmiast w ich ślady poszły Austria, Słowenia, Węgry, Szwecja i Francja, a niedługo później Norwegia i Dania. Od tamtej pory niektóre z tych krajów niemal bez przerwy odnawiają „czasowe" kontrole. Austria i Dania wprowadziły od 2015 r. jedynie trzymiesięczną przerwę, a Francja i Szwecja utrzymują kontrole na niektórych granicach nieprzerwanie od prawie 10 lat. Politolożka Jolanta Szymańska twierdzi, że kontrole graniczne, które miały być wyjątkiem, stały się regułą.

Oczywiście bywały też inne powody ograniczania przepływu osób. W listopadzie 2015 r. Francja zamknęła granice w reakcji na skoordynowane ataki terrorystyczne tzw. państwa islamskiego – dodajmy, że sprawcy urodzili się we Francji i w Belgii. W latach 2019–21 szczelnie zamknięto granice w związku z pandemią Covid-19. Nie zmienia to jednak faktu, że w prawie 180 wypadkach przywracania kontroli od 2015 r. za powód podawano migrację. Pominąwszy kontrole spowodowane pandemią, aż 71 proc. wszystkich zawieszeń układu z Schengen wynikało z polityki migracyjnej.

Strach Europejczyków przed migracją spowodował większy i trwalszy kryzys systemu Schengen niż sama migracja. Od 2021 r. reżim Aleksandra Łukaszenki ułatwia dużym grupom migrantów z Bliskiego Wschodu i globalnego Południa dotarcie na granicę Białorusi z UE. Zdaniem ministra sprawiedliwości Adama Bodnara stan wyjątkowy, ograniczanie dostępu dla mediów oraz push-backi podważyły wiarygodność Europy w kwestii praworządności i praw człowieka. Unia Europejska wbrew własnemu prawu po cichu wspiera działania Polski i dyskutuje o finansowaniu dalszej budowy płotu na granicy z Białorusią. Drakońskie środki nie zdołały jednak uspokoić obaw w strefie Schengen – Niemcy przywróciły kontrole na granicy z Polską. Łukaszenka zaś wykorzystał strach Europy przed migracją, by osłabić jej pozycję międzynarodową oraz wzajemne zaufanie państw członkowskich.

UE z dumą chwali się, że strefa Schengen gwarantuje prawo do swobodnego przemieszczania się 450 mln obywateli i legalnych rezydentów. Jej znaczenie zmieniało się jednak w ciągu 40 lat od podpisania układu. Od 1995 r. otwarte granice wewnątrz strefy kompensowano środkami wyrównawczymi na zewnątrz. W ostatniej dekadzie największym zagrożeniem dla swobodnego przepływu osób był strach Europejczyków przed uchodźcami i migrantami.

W toku swojej historii strefa Schengen umacniała zarówno kosmopolityzm, jak i ksenofobię. Czy to napięcie przetrwa kolejne 10 lat? A może jedno przeważy nad drugim?

ANDREW TOMPKINS
Autor jest pracownikiem Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

KUP TERAZ

Więcej o historii UE
poczytasz w Pomocniku Historycznym
„DZIEJE WSPÓLNEJ EUROPY",
do nabycia na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 54c79bd13b

POLITYKA

Zaprenumeruj nasz tygodnik przez

InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę**
  do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka**
  przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz**
  niż w punktach sprzedaży

InPost

Jak to działa?

- Podczas zakupu wybierasz swój ulubiony InPost Paczkomat.
- Otrzymasz SMS i/lub email o tym, że możesz już odebrać nowy numer „Polityki”.

569 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~13,90~~ 11 zł za numer

299 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~13,90~~ 11,50 zł za numer

blik PayU

Do pierwszych 500 zamówień prenumeraty przez InPost Paczkomat 24/7 dodajemy **Pomocnik Historyczny „Piastowie”** w prezencie

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 54c79bd13b

Apoteoza Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, obraz Nicolaas Verkolje, XVIII w.

Jak ukryć imperium

O tym, dlaczego Indonezja jest tak ważna dla historii globalnej, i jak gałka muszkatołowa wpłynęła na bieg dziejów – opowiada David van Reybrouck, autor książki „Revolusi".

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Holandia jest jedną z tych dawnych potęg europejskich, o której kolonialnym imperium niemal zapomniano. W jaki sposób jej ponad 300-letnie panowanie nad Indonezją przeszło niemal niezauważone? To przypadek czy był w tym jakiś zamysł?**

DAVID VAN REYBROUCK: – Raczej przypadek. Holendrzy długo tkwili w przekonaniu, że ich kolonializm był mniej krwiożerczy niż innych. Z jednej strony byli dumni ze swojego imperium, a z drugiej mieli poczucie – zupełnie nieuzasadnione

eprasa.pl 54c79bd13b

– że jest ono w jakimś sensie inne niż imperia Francuzów czy Brytyjczyków. Holendrzy uważali się za naród odkrywców, który przemierzając morza i oceany, czynił dobro, przecierając szlaki innym nacjom, i w trakcie tego procesu, niejako przypadkiem, wzbogacił się o kolonie.

Do tego dochodzi element psychologiczny. Jestem Belgiem i moja poprzednia książka dotyczyła Konga, które było prywatną kolonią belgijskich królów. Belgowie i Holendrzy to dwa stosunkowo małe narody, które długo trwały w przekonaniu, że żyją wciśnięte między potężniejsze nacje. Ich tożsamość wykuwała się w opozycji do Francuzów czy Niemców. Chyba dlatego zarówno Belgom, jak i Holendrom ciężko pogodzić się z myślą, że nie byli uciskanymi, ale to oni uciskali innych.

Innym czynnikiem, który pozwolił trzymać Holenderskie Indie Wschodnie schowane „pod dywanem", był fakt, że przez długi czas bardzo trudno było tam dotrzeć, a holenderska flota skutecznie broniła dostępu do swoich szlaków morskich. Przez długi czas nikt – włącznie z samymi Holendrami – nie zdawał sobie też sprawy, jak ogromna jest Indonezja. To największy archipelag na świecie. Oficjalnie liczy ponad 13 tys. wysp. Ale może ich być nawet 16 albo 18 tys. Dokładnie nie wiadomo. Jeśli dobrze pamiętam, na całym terytorium Indonezji dałoby się zmieścić 45 Holandii.

Europejski kolonializm rozpoczął się jako przedsięwzięcie czysto komercyjne. Celem wszystkich był dostęp do bogactw Dalekiego Wschodu. Czego pragnęli Holendrzy?

Powiedziałbym, że holenderski kolonializm narodził się z tęsknoty za smakiem. Średniowieczna kuchnia była znacznie bardziej pieprzna i słodka niż obecnie. Ówcześni kucharze używali bardzo dużo pieprzu, kardamonu czy goździków. Ceny tych przypraw były tak absurdalnie wysokie, że każdy marzył o tym, by samodzielnie dotrzeć do „Indii", ominąć pośredników i przywieźć towar bezpośrednio do Europy.

Złota moneta rupiowa Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej wydana do użytku na Jawie, XVIII w.

W 1605 r. Holendrzy uchwycili pierwszy przyczółek w Indonezji: zajęli portugalski fort na wyspie Ambon. Tam dowiedzieli się, że jakieś 800 km na południe znajduje się archipelag wysp Banda, jedyne miejsce, gdzie występował muszkatołowiec. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska (VOC) zajęła je, narzucając tamtejszym mieszkańcom monopol na handel gałką muszkatołową. Gdy w 1621 r. okazało się, że ich mieszkańcy wciąż dostarczają gałkę innym krajom, Kompania wysłała ekspedycję karną, która wymordowała całą miejscową ludność. Zginęło od 10 do 15 tys. mieszkańców, a odzyskaną po nich ziemię przekazano urzędnikom VOC, którzy sprowadzili do jej uprawy tysiące niewolników. Równie często co muszkietem, Holendrzy posługiwali się siekierką. Kiedy dowiedzieli się, że na wyspie Seram trwa nielegalna uprawa goździków, wycięli kilkadziesiąt tysięcy drzewek tylko po to, aby utrzymać swój monopol.

Można postawić tezę, że przyprawy – a raczej ich głód – wpłynęły na bieg dziejów. A przykład gałki muszkatołowej pokazuje, że ludzie nie są jedyną siłą sprawczą w historii.

Poszedłbym krok dalej. Jeśli na chwilę wyjdziemy poza antropocentryczny punkt widzenia, dostrzeżemy, że świat nieożywiony, np. zasoby naturalne, ma swoją podmiotowość. Przyprawy, opium, bawełna, węgiel, ropa naftowa. Wszystkie te dobra na swój sposób zmieniły obraz cywilizacji i pchnęły ludzkość w kierunku, którego ostateczny kształt był nieznany. W szkołach uczą nas, że historię tworzą wydarzenia polityczne. W ten sposób sami się przekonujemy, że mamy na nią ostateczny wpływ. Robimy to, bo żyjemy w strachu, że tracimy kontrolę nad teraźniejszością i przeszłością.

Dzieje Indonezji pokazują, jak jest naprawdę. Przyprawy najpierw przywiodły Holendrów na ten odległy archipelag, a później prawie doprowadziły ich kolonialną przygodę do końca. W XVIII w. stało się coś nieoczekiwanego: goździki, gałka muszkatołowa i cynamon wyszły z mody. W Paryżu powstała *la nouvelle cuisine française* – kuchnia ceniąca łagodny naturalny smak i łatwiejsze trawienie. Popularność zyskały: trufle, ostrygi, raki, grasica cielęca. Nowe, wyrafinowane potrawy, których nie wolno było popsuć przez zatopienie ich w ciężkiej marynacie pełnej przypraw. Kiedy europejska arystokracja poszła w ślady Francuzów, Kompania Wschodnioindyjska stanęła na progu bankructwa.

Co było dalej?

Z pomocą przyszła kolejna moda. Europejczycy zaczęli uczęszczać do kawiarni i herbaciarni. Rozsmakowali się w kawie, herbacie i czekoladzie. W 1707 r. Kompania założyła na Jawie pierwsze plantacje kawy i herbaty. W ciągu 20 lat stała się największym na świecie producentem kawy, potężniejszym nawet niż Półwysep Arabski. Od 1725 r. miała w rękach od połowy do trzech czwartych światowego ▶

© SHANAE ENNIS-MELHADO/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54c79bd13b

Od lewej: **herb Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej datowany na XVII w. Batawia (obecnie Dżakarta), stolica Holenderskich Indii Wschodnich**

handlu tym towarem. Nowe uprawy wymagały ziemi, co wyznacza moment przejścia od kolonializmu czysto handlowego do osiadłego. Zajmowanie nowych terytoriów wymagało żołnierzy, a do zarządzania nimi trzeba było urzędników. Wydatki wystrzeliły w górę, rosły dług i korupcja. Ostatecznie w 1799 r. Kompania Wschodnioindyjska została rozwiązana, a jej ruchomości i nieruchomości przejęło państwo. Odtąd zaczyna się właściwa historia holenderskiego kolonializmu państwowego.

Po kawie i herbacie przyszedł boom na tytoń, a później na ropę naftową. Gdyby nie bogactwa naturalne i niezwykle żyzna ziemia, czy losy państw takich jak Indonezja potoczyłyby się inaczej?

Z pewnością. Podczas dyskusji nad moją poprzednią książką o Kongu często pojawiało się stwierdzenie o „pułapce bogactw naturalnych". Ta intrygująca hipoteza mówi, że kraje mające bogate zasoby są biedne, ponieważ ich rozwój polityczny jest hamowany przez silniejsze państwa albo kompanie handlowe. Najeźdźcom nie opłacało się inwestować w szkolnictwo albo szpitale – bardziej potrzebowały przecież dróg i portów, aby wyeksportować swoje towary. Zarówno Kongo, jak i Indonezja są na to doskonałym przykładem. Masowej uprawie kauczukowców w Kongu, co było niezwykle dochodowym biznesem na przełomie wieków XIX i XX, towarzyszyły zbrodnie na niewyobrażalną skalę, co Belgowie uznali dopiero niedawno. W przypadku Konga klątwa surowców trwa w najlepsze. Ten kraj byłby dużo bardziej stabilny, gdyby jego ziemia nie skrywała tylu rzadkich pierwiastków. Zwykli Kongijczycy do dziś nie mają z nich żadnych korzyści.

Wspomniał pan o wciąż utrzymującym się micie, że holenderski kolonializm był mniej krwiożerczy niż inne. A jak było naprawdę?

Scalanie złożonej z tysięcy puzzli układanki, jaką była Indonezja, trwało przez cały wiek XIX i było bardzo brutalne. Najpierw pod rządami króla Willema I w latach 1825–30 toczyła się wojna jawajska i była to największa wojna toczona kiedykolwiek przez Holandię. Później przyszła wojna z sułtanatem Acehu na Sumatrze, która trwała prawie 40 lat od 1873 r. do 1904 r. i kosztowała życie ponad 100 tys. osób. Kiedy na początku XX w. cały archipelag wreszcie uznał władzę Holandii, w Indonezji zaczął rodzić się nowoczesny ruch niepodległościowy. Komuniści, nacjonaliści i islamiści działali ręka w rękę. Organizowano masowe strajki, które były brutalnie tłumione. Kolejny etap przemocy nastał zaraz po zakończeniu japońskiej okupacji w 1945 r. Indonezja ogłosiła niepodległość, co dało początek nowej wojnie, którą Indonezyjczycy nazywają rewolucją narodową, czyli *revolusi*. Była to pierwsza kostka kolonialnego domina, jaka upadła. Dopiero po czterech latach brutalnych walk w 1949 r. Holendrzy uznali niepodległość Indonezji.

Pana książka obala jeden z fundamentalnych mitów powojennej Europy, który mówi, że po zakończeniu drugiej wojny światowej Europejczycy w swojej mądrości wyrzekli się wojny i zrozumieli, że muszą współpracować. W rzeczywistości już w 1945 r. rozpoczęła się seria krwawych wojen kolonialnych, które miały na celu utrzymać przy życiu europejskie imperia.

Holandia i Indonezja zajmują kluczowe miejsce w tym procesie. Indonezja,

eprasa.pl 54c79bd13b

na rycinie Jana Van Ryne'a, 1754 r.

bo była pierwszym krajem, który po drugiej wojnie światowej ogłosił niepodległość – i zrobił to raptem dwa dni po kapitulacji Japonii! Holendrom przypadła mniej chwalebna rola, bo dla nich to ogłoszenie niepodległości równało się wypowiedzeniu wojny. Wojny, podczas której popełniano okrutne zbrodnie. Dopiero kiedy poznałem historię Indonezji, dotarło do mnie, że dekolonizacja była kluczowym elementem europejskiej integracji. Bo idea, że Europa zaczęła się tam, gdzie skończył się kolonializm, jest błędna.

W jakim sensie?

Jednoczenie się kontynentu było przede wszystkim reakcją obronną przeciwko powstaniu bloku młodych niezależnych państw w Afryce i Azji. W latach 1955–57 podczas negocjacji w sprawie traktatów rzymskich – aktu założycielskiego Wspólnoty Europejskiej – bardzo wiele uwagi poświęcono koloniom. Zastanawiano się, jak włączyć je we wspólny rynek europejski, czyli *de facto* jak zachować swoje imperia pod płaszczykiem europejskiej współpracy. Przypomnijmy, trzy spośród sześciu państw założycielskich wciąż miały kolonie: Holandia, Belgia i Francja. Dwa pozostałe – Włochy i Niemcy – utraciły zamorskie posiadłości stosunkowo niedawno. Śmiertelny cios mrzonkom o przedłużeniu życia imperiów zadały dwa wydarzenia. Pierwszym była wojna o Kanał Sueski w 1956 r., która pokazała, że Francja i Wielka Brytania są mocarstwami bez zębów. Drugie to konferencja w Bandungu w Indonezji, zorganizowana w 1955 r. przez prezydenta Sukarno. Zjechały na nią delegacje z całej Afryki i Azji reprezentujące blisko 1,5 mld ludzi, czyli ponad połowę ówczesnej populacji świata. W Bandungu nie zapadły żadne konkretne postanowienia, nie zawarto też żadnego oficjalnego traktatu. Zdefiniowano jednak klimat nowej epoki, mówiąc, że czas kolonializmu, stref wpływów, dzielenia mapy wedle uznania dobiegł końca. Postanowiono też, że żaden młody kraj nie musi wybierać między mocarstwami w nowym konflikcie między Wschodem a Zachodem, co było początkiem tzw. ruchu państw niezaangażowanych.

Traktaty rzymskie miały przede wszystkim zapewnić większy dobrobyt na Starym Kontynencie. Dobrobyt miał ochronić przed kolejną niszczącą wojną europejską. Gdzie tu wpływ konferencji w Bandungu?

Wystarczy poczytać relacje dyplomatów i stenogramy dyskusji podczas negocjacji. Kanclerz Niemiec Konrad Adenauer powiedział, że Europa musi coś zrobić, „jeśli nie chce zostać w najbliższej przyszłości zmiażdżona przez ludy Azji i Afryki". Z kolei Paul-Henri Spaak, były premier Belgii uznawany za jednego z ojców założycieli Unii Europejskiej, nie chciał być „otoczony przez wielkie masy ludzkości, które są nam obojętne lub nawet wrogie". Wzajemną dynamikę dwóch wielkich procesów – dekolonizacji i europejskiej integracji – doskonale opisało dwóch szwedzkich uczonych Peo Hansen i Stefan Jonsson w książce „Eurafrica". Dobitnie pokazują oni, że Europa zaczęła się jednoczyć nie w imię pokoju, lecz ze strachu przed ogromnym blokiem młodych niezależnych państw w Azji i Afryce. Zjednoczenie Starego Kontynentu miało stanowić odpowiedź na antyimperializm Globalnego Południa.

Indonezja okazała się również prekursorem innego procesu. W latach 60. XX w. państwa postkolonialne kojarzyły się już nie z wolnością i nadzieją, lecz raczej z brutalnymi dyktaturami.

W październiku 1965 r. indonezyjscy wojskowi obalili Sukarno i zainstalowali w kraju prawicowy reżim. Był to jeden z pierwszych poważnych, wspieranych przez Amerykanów zamachów stanu w okresie zimnej wojny. Wkrótce potem doszło do ludobójstwa. Wojskowi i cywilne bojówki zabili od pół miliona do miliona Indonezyjczyków – wszystkich, którym dało się przypiąć łatkę komunisty. Gen. Mohamed Suharto wprowadził dyktaturę, która rządziła krajem 32 lata. Hasło „Dżakarta" stało się kryptonimem zmian reżimów i masakr ludności wspieranych przez CIA, a duch Bandungu całkowicie się ulotnił. Mimo to, pisząc książkę, spotkałem setki ludzi dumnych z dokonań „pokolenia niepodległości". Niezależnie od tego, na jakiej wyspie lądowałem, lotniska, ulice i skwery noszą imiona któregoś z bohaterów tamtego okresu. Pomniki i tablice pamiątkowe niezmiennie sławią *revolusi*. Indonezyjczycy szczerze wierzą, że ich rewolucja była wydarzeniem globalnym, inspiracją dla reszty świata.

Również Holandia zaczyna inaczej postrzegać swoją obecność w Indonezji. Dopiero niedawno rząd w Amsterdamie uznał swoją odpowiedzialność za zbrodnie popełnione podczas wojny o niepodległość i zaczął wypłacać rodzinom ofiar odszkodowania. Opinia publiczna bardziej niż idyllicznym obrazkiem herbacianej farmy na Jawie wydaje się zainteresowana doświadczeniami samych Indonezyjczyków. Chciałbym wierzyć, że dołożyłem do tego swoją cegiełkę.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

David van Reybrouck – belgijski historyk kultury i autor popularnych książek, m.in. „Kongo. Opowieść o zrujnowanym kraju" oraz „Revolusi. Indonezja i narodziny nowoczesnego świata", które odbiły się szerokim echem w Belgii i Holandii.

© UIG/GETTY IMAGES, UIG/GETTY IMAGES, LEONARDO CENDAMO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 54c79bd13b

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

film

Sprzedawcy miłości 4/6

Materialiści (Materialists), reż. Celine Song, prod. USA, Finlandia 2025, 109 min, w kinach od 13 czerwca

Dlaczego ludzie się pobierają? Jakie mają oczekiwania w związkach? Czy zawsze wszystko kończy się tak samo? Te odwieczne pytania stanowią żywą, nigdy niegasnącą inspirację dla komedii romantycznych. „Materialiści" też wpisują się w ten popularny gatunek, ale nie jest to wariant klasyczny, powstający seryjnie od dekad. Opowieść o Kopciuszku spotykającym wymarzonego księcia zderza się tu z cynizmem pokolenia współczesnych trzydziestolatków starających się nie zginąć w nowojorskiej dżungli. Już sam tytuł zachęca do rozpatrywania tej historii w kategoriach wartości, jakimi kierują się przy wyborze partnera lub partnerki ambitni ludzie mający na celu przede wszystkim zabezpieczenie sobie wygodnej i bezpiecznej przyszłości. Odczuwający jednak przy tym głód czegoś więcej.

„Materialiści" śledzą losy niedoszłej aktorki porzucającej marzenia, by odgrywać rolę energicznej bizneswoman (**Dakota Johnson**), oraz szorującego po dnie jej byłego, kurczowo trzymającego się nadziei na zaczepienie się na off-off-Broadwayu (Chris Evans). Wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś wersją „La La Landu", to złudzenie. Celine Song przekierowuje uwagę na inteligentną, lecz szytą grubymi nićmi satyrę na biznes matrymonialny. Pełni on funkcję krzywego zwierciadła nie tylko dla goniących za kasą Amerykanów, ale też zaprogramowanego na osiąganie materialnych korzyści całego gatunku ludzkiego, powtarzającego te same strategie i rytuały od wyjścia z jaskini. Co zostaje wdzięcznie zasugerowane już w pierwszej scenie wręczania podarunku zaręczynowego przez naszych przodków. **Pedro Pascal** wcielający się w mężczyznę na pierwszy rzut oka bez wad, mogącego swoim bogactwem zaimponować każdej wybrance, nie ma w tym filmie za wiele do roboty. Jego rola jest mocno wyciszona i niespodzianek (poza finałowym zwrotem) nie przynosi. Także od reżyserki „Poprzedniego życia", wybitnie udanego i nominowanego do Oscara debiutu, można było się spodziewać więcej.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Lux In Tenebris 2/6

Ballerina. Z uniwersum Johna Wicka (From the World of John Wick: Ballerina), reż. Len Wiseman, prod. USA 2025 r., 125 min., w kinach

Wiem, że narażę się rzeszom wiernych fanów, nigdy jednak nie byłem przesadnym miłośnikiem morderczego baletu w wykonaniu Johna Wicka. Wszelako ożywcza zmiana, jaką zaproponowali twórcy cyklu – aby stery spin-offu powierzyć kobiecie, która z wdziękiem Czarnej Mamby zatańczy w rytm zadawanych ciosów i obojętnie: mieczem, pasem z granatami, stalowymi płozami przymocowanymi do łyżew, a jeśli trzeba to i miotaczem ognia, wyśle na tamten świat armię paskudnej sekty X, która zamordowała

jej ojca – dawała nadzieję na więcej niż tradycyjną strzelankę w abstrakcyjnych realiach gry komputerowej. Wybór **Any De Armas** na mścicielkę lub obrończynię o pseudonimie Kikimora – bohaterkę kina akcji traktującego obrazy przemocy jak najwyższy stopień choreograficznego wtajemniczenia, okazał się, nomen omen, strzałem w dziesiątkę. Bardziej nawet niż na Umę Thurman w obu częściach „Kill Billa" chce się na nią patrzeć, gdy wykańcza dwa razy większych od siebie osiłków. Co jednak z tego, skoro pierwsza połowa „Balleriny" wygląda jak mechaniczna piła tarczowa zarzynająca logikę i sens krwawej produkcji dla naprawdę mało wymagających widzów. Finałowa wolta wynagradza toporność początku, niestety deficyty umiaru i elementarnej wrażliwości dają się boleśnie we znaki, co czyni z tego przedsięwzięcia rzecz wyłącznie dla przekonanych. J.W.

© UIP, MONOLITH FILMS, NETFLIX, RAFAŁ LATOSZEK, MUSEUM ASSOCIATES 2025

eprasa.pl 54c79bd13b

serial

Wydział przypadków beznadziejnych 4/6

Dept. Q, twórca serii: Scott Frank, 9 odc., Netflix

Seria powieści kryminalnych Jussiego Adlera-Olsena doczekała się w jego rodzinnej Danii kilku przyzwoitych ekranizacji, można więc się zastanawiać, czy potrzeba było kolejnej. Tym bardziej że sfilmowana została także książka „Kobieta w klatce", będąca podstawą pierwszego sezonu „Dept. Q". Scenarzysta Scott Frank – który stał m.in. za sukcesem „Gambitu królowej" – postanowił więc przenieść akcję z Kopenhagi do Edynburga. I to był strzał w dziesiątkę, bo okazało się, że nordic noir i tartan noir mają ze sobą więcej wspólnego niż wietrzną nadmorską pogodę. Tytułowy departament Q to oddział szkockiej policji zajmujący się sprawami sprzed lat. Powołany także po to, by gdzieś upchnąć niesubordynowanego detektywa Carla Morcka (**Matthew Goode**), którego błąd kosztował życie innego policjanta. Morck, emocjonalnie poturbowany choleryk, dostaje do pomocy Akrama (Alexej Manvelov), syryjskiego imigranta skrzętnie ukrywającego swoją przeszłość. Pierwszą sprawą, do której się wspólnie zabiorą, jest tajemnica rzekomego samobójstwa kontrowersyjnej prokuratorki. Serialowa wersja „Departamentu Q" wierniej niż kinowa ekranizacja odtwarza fabułę i nastrój powieści Adlera-Olsena. Chwilami, zwłaszcza w początkowych epizodach, cierpi na tym tempo akcji, ale za to dostajemy wystarczająco dużo przestrzeni, by zrozumieć, a może nawet polubić (choć nie jest to łatwe), skomplikowanych bohaterów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

scena

Odczucie barw 4/6

Piotr Rowicki, **Jadwiga**, reż. Anna Gryszkówna, Mazowiecki Instytut Kultury w Warszawie

Po „Ocalonych", rozgrywanym na najwyższych poziomach emocji hołdzie dla ofiar masowych gwałtów i mordów w obozie na Zieleniaku na warszawskiej Ochocie w 1944 r., **Agnieszka Przepiórska** potrzebowała nieco innej energii. Najnowszy monodram przynosi paletę jaśniejszych barw, choć, paradoksalnie, jego bohaterką jest osoba ociemniała. Życie Jadwigi Stańczakowej, z domu Strancman, opisanej przez jej wnuczkę Justynę Sobolewską w książce „Jadwiga. Opowieść o Stańczakowej", zostało przecięte na pół. To przedwojenne było szczęśliwe: zieleń i słońce, kapelusze, sukienki i kawiarnie, wakacje w Sopotach i marzenia o karierze pisarskiej. Wojna przyniosła śmierć ukochanego brata, getto, ukrywanie się. I stopniową utratę wzroku. Czasy powojenne to z jednej strony ciemność – koniec świata widzialnego, z drugiej – odkrywanie swojego talentu poetyckiego, walka o własny głos, którym pasjonująco relacjonowała inne „widzenie", doświadczenia świata i siebie osoby niewidzącej, ale też zmagającej się z depresją i problemami psychicznymi. To w tej opowieści jest najciekawsze: wiersze Stańczakowej, nagrania, na których własnym głosem mówi o swoich emocjach czy eksperymentach z odczuwaniem kolorów. Ale jest w tym poruszającym spektaklu też miejsce na rozmowy z Władysławem Broniewskim i Mironem Białoszewskim, na podłogo-jogę, na rzeczywistość PRL rodem z filmów Barei. I na rewię ze schodami (antypoślizgowymi)!

ANETA KYZIOŁ

galeria

Lucas de Vorsterman (wg Rubensa), „Strącenie Lucyfera i zbuntowanych aniołów do piekła", 1621 r.

Na tropach Mistrza 4/6

Rubens na Śląsku, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, do 30 listopada

Ogromny baner na gmachu muzeum krzyczy wielkimi literami „Rubens" i dużo mniejszymi „na Śląsku". Efektownie, ale myląco i dla wielu widzów – być może – także rozczarowująco. Oto bowiem na wystawie mamy tylko jedną pracę olejną samego mistrza i trudno tu mówić o arcydziele – to dość szkicowo potraktowana nieduża „Alegoria sprawiedliwości". W pozostałych przypadkach emocje studzą dopiski typu: „warsztat", „krąg", „uczniowie", „naśladowca", „kopia", „według". Ale w sumie cała ta wystawa jest w dużym stopniu o tym, czego nie ma. O wspaniałej „Świętej Rodzinie" z Brzezinki pod Oleśnicą, która dziś zdobi muzeum w Los Angeles i której na wystawę nie udało się pozyskać. O obrazach, szkicach, tapiseriach zaginionych, utraconych, zniszczonych przez wojenną zawieruchę. Muszą nam wystarczyć opowieści, niekiedy duże fotogramy lub niewielkie reprodukcje. Praktycznie tylko ryciny (głównie miedzioryty) inspirowane obrazami Rubensa reprezentowane są prawdziwie obficie. Czarno-białe namiastki okazałych, kolorowych płócien artysty. Fakt, że na „Rubensie" brakuje Rubensów, choć trochę nadrabiany jest niezwykle okazałą, godną Luwru aranżacją. Z czym wychodzimy z wystawy? Z wielokrotnie powtarzaną tezą, że na Śląsku zawsze kochano i mniej lub bardziej udanie naśladowano Rubensa. A niekiedy wręcz genialnie się nim inspirowano, jak choćby Michael Willmann (paradoksalnie zwany „śląskim Rembrandtem") w „Ukrzyżowaniu Chrystusa".

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 54c79bd13b

Tykająca bomba pragnień 5/6

Denton Welch, **Młodości, w tobie uciech siła**, przeł. Marcin Szuster, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025, s. 192

Ta niewielka powieść to pierwsza po polsku książka legendarnego pisarza, który zmarł w 1948 r. Kiedy miał 20 lat, w 1935 r., w jego rower wjechała ciężarówka i został sparaliżowany do końca życia. I dopiero po wypadku zaczął pisać, wcześniej tylko malował. Zdążył napisać kilka książek, ale stał się ulubionym autorem Wiliama S. Burroughsa i W.H. Audena, nazywano go miniaturowym Proustem, bo też badał mechanizmy pamięci, ale inaczej niż wielki Francuz. Wspaniale, że dostajemy tę powieść. Jej bohater, 15-letni Orvil, który przypomina Dentona, spędza wakacje w hotelu nad Tamizą z ojcem i dwoma braćmi. Welch tworzy skoncentrowany obraz młodości, intensywnego odczuwania świata i swojej cielesności. Wszystko może być dla Orvila źródłem cierpienia lub rozkoszy, rzeczywistość dostarcza bodźców ekstremalnych, choć nic szczególnego się nie zdarza: podwieczorek, spacer, jazda w deszczu. Słowa ludzi dookoła trafiają w niego jak pociski. Orvil robi mnóstwo rzeczy, idąc za nieświadomym impulsem: kradnie szminkę w sklepie, potem maluje się nią i tańczy dziko, błąka się po cmentarzu dla zwierząt, śledzi mężczyznę na rzece. Jego ciało dyktuje mu nowe, nieznane warunki: nagle chce się biczować i zadawać ból. A fantazja prowadzi w najdziwniejsze rejony. Wspaniała jest scena, kiedy w wyobraźni toczy spór z Bogiem, co musiałby zrobić, żeby odzyskać matkę, która zmarła (Welch też stracił matkę). Niezwykła jest ta opowieść o wakacjach, które są i okropne, i upojne, bo bohater sam jest skoncentrowaną energią, tykającą bombą pragnień i doznań. Jest tu literacka moc.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Wampir w kamieniołomie 4/6

Agnieszka Jeż, **Potrzask**, Wydawnictwo Luna, Warszawa 2025, s. 336

Czy trup pozbawiony głowy i przebity osinowym kołkiem, znaleziony przez parę turystów w dawnym kamieniołomie, ma coś wspólnego z legendą o upiorze sprzed 300 lat, znaną z archiwum Hochbergów z zamku Książ? Po raz czwarty już przeszłość Dolnego Śląska przypomina o sobie policjantom z komisariatu w Mieroszowie, którymi dowodzi komisarz Sonia Kranz. Odciski palców są nieznane, pomóc w identyfikacji może tylko tatuaż; ostatecznie na cmentarzu odnajduje się też porzucona głowa. Na tej podstawie policjanci odkrywają tożsamość miejscowego lowelasa oraz przyczynę jego śmierci – silne uderzenie w głowę. Motyw miałoby paru zdradzonych mężów, ale skąd ten makabryczno-folklorystyczny sztafaż? Czy nie jest to zmyłka, by policjanci szukali maniaka miejscowych legend, chociaż morderstwo było prostą zemstą? Sonia jak zwykle sprawnie rozwiązuje tę zagadkę. Gorzej idzie jej w życiu prywatnym. Akcja umiejscowiona jest w czasie zaraz po poprzedniej części („Przewina"), w której dowiadujemy się w ostatnich zdaniach, że bohaterka zaszła w ciążę. W tej książce ciąża jest jeszcze niewidoczna, a Sonia wciąż nie zdecydowała, czy powie o niej partnerowi, z którym jest jej dobrze, ale nie do końca mu ufa. Plus problemy z córką i matką – wszystko to składa się na bardzo ludzki portret pani komisarz.

DOROTA SZWARCMAN

Klęska urodzaju 5/6

C Pam Zhang, **Kraina mleka i miodu**, przeł. Michał Rogalski, Znak Horyzont, Kraków 2025, s. 320

Zanim nastąpi wysyp powieści takich jak ta, lepiej ustawić radar na utwory udane, a nie tylko łapiące się na trend. „Kraina mleka i miodu" z zadania wywiązuje się dobrze. Co to za trend? Dystopie o przetrwaniu w świecie rozmaitych kataklizmów, które sami na siebie lekkomyślnie ściągnęliśmy. C Pam Zhang pisze dość przerażający – bo wiarygodny – scenariusz wojny o zasoby, która jest jeszcze jednym pokłosiem katastrofy klimatycznej. Smog spowił świat i zabrał mu kolory. Zrobiło się szaro, ziemia jałowieje, zniknęły zwierzęta hodowlane, podstawą diety jest proteinowa fasolmąka, ale głód i tak się szerzy. Pandemie to – nomen omen – chleb powszedni, słońce jest wiecznie schowane, granice zamknięte. Bohaterka tej powieści jest kucharką, to też zresztą zawód wymierający i szalony. W akcie desperacji, żeby jeszcze coś poczuć, zgłasza się do pracy gdzieś we Włoszech. Warunki są podejrzane, ale w zamian otrzymuje obietnicę, że jeszcze zobaczy nieco zieleni. Ta kraina, odcięta od świata i sterylna, to nieprzebrany skarbiec produktów już niespotykanych, jak truskawki. Bohaterka przeżywa moralny dylemat: gotować dla „potwornych bogaczy", kiedy świat głoduje, interweniować, wrócić do codziennej szarzyzny? Na domiar złego traci apetyt, jej ciało pamięta, buntuje się. C Pam Zhang drażni zmysły, rozkosz i głód to awers i rewers jednej monety. Odmalowuje zarazem świat nierówności. Ale bez oczywistości. Wiadomo, że w batalii o zasoby wygrywają ci, których na to stać. Autorka namawia jednak i swoją bohaterkę, i czytelnika, by nie wydawali przedwczesnych ocen.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, MP(8)

eprasa.pl 54c79bd13b

komiks

Świadectwo zachwytu 5/6

Marcin Maciejowski, **Rysunki wawelskie**, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków 2025

Artbook, pamiątka po niezliczonych godzinach spędzonych w muzealnych murach, labirynt kulturowych odniesień i cytatów, energetyczny remiks tekstów kultury, a może coś jeszcze innego? „Rysunki wawelskie" z pewnością nie są wyłącznie zbiorem szkiców inspirowanych bogactwem zamkowego muzeum. Marcin Maciejowski zamienia swoje ilustracje w wielopoziomowy dialog ze sztuką, w którym płynnie przenikają się historyczne epoki, a archaiczny podział na kulturę wysoką i niską zostaje ostatecznie unieważniony. Komiks – z którego estetyki krakowski artysta tak chętnie korzysta – sąsiaduje tu z barokowym malarstwem, cytaty z Facebooka przeplatają się z wypowiedziami krytyków sztuki, Bona Sforza ostrzega, że „oczy zmarnujesz nad tym telefonem". Tu można spotkać raperów, Tytusa De Zoo, a nawet przechadzającego się muzealnymi korytarzami Mikołajka z książek Goscinnego i Sempego. Maciejowski, jak notuje w posłowiu Łukasz Gorczyca, „przyjmuje radykalną perspektywę fizyki kwantowej, ucząc nas równoległego życia w różnych czasach i przestrzeniach kultury i sztuki". „Rysunki wawelskie", odbicie przeładowanej bodźcami rzeczywistości, są zarazem poszukiwaniem porządku w chaosie, odnajdywaniem nowych znaczeń i sensów, a przede wszystkim świadectwem nieustającego zachwytu sztuką w jej wszelkich odmianach. JD

festiwal

Zaskoczenia i emocje

Ephemera Festival, 11–15 czerwca, Warszawa

Muzyka Krzysztofa Pendereckiego grana na pile o świcie w parku Rzeźby w warszawskiej Królikarni? Trudno znaleźć coś takiego jak ten występ Andrzeja Sławomira Kiełbowicza w programie konkurencyjnych festiwali. Podobnie jak trudno o drugą taką grupę jak Sunn O))). Nikt nie ma tak potężnego brzmienia, do tego występ tej amerykańskiej formacji z pogranicza metalu odbędzie się w ATM Studiu, przestrzeni wykorzystywanej często – poza programami teatralnymi i kabaretowymi – do nagrań telewizyjnych programów rozrywkowych, choćby „Tańca z gwiazdami". Przy tej muzyce najtęższi specjaliści od tańca towarzyskiego okazaliby się bezradni. Podobnie jest zresztą z klasyfikacją innych festiwalowych przedsięwzięć: elektroniczny twórca z Kijowa Heinali wykona na przykład – z wokalistką Andrianą-Yaroslavą Saienko – pełne dramatyzmu wersje utworów średniowiecznej mistyczki Hildegardy z Bingen. Dużo w tym roku duetów. Na wydarzenie zapowiada się występ wokalistki Antoniny Nowackiej z duńską artystką dźwiękową Sofie Birch (wydały właśnie drugą wspólną płytę) w holu Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. A zaskoczeniem może być współpraca nominowanej do Paszportu POLITYKI kompozytorki Aleksandry Słyż z laureatką naszej nagrody, połową duetu Siksa, Alex Freiheit. Emocji nie zabraknie.

BARTEK CHACIŃSKI

Szczegóły: ephemerafestival.com

nie przegap

62. Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu, 12–15 czerwca

Jak zawsze będą Premiery, Debiuty i SuperJedynki. Wystąpi czołówka polskiej muzyki popularnej, ale największą uwagę skupi na pewno koncert „Małe tęsknoty" poświęcony twórczości Wojciecha Trzcińskiego, zmarłego w lutym kompozytora i producenta, dedykowany autorowi tekstów piosenek Jackowi Cyganowi koncert „Trzy ćwiartki" oraz widowisko „Hip-hop. Jedno podwórko" z silną reprezentacją trzech generacji polskiego rapu. Po 20 latach hip-hop triumfalnie wraca do Opola, tym razem na główną scenę. MP

„Co babie do pędzla?!". Artystki polskie 1850–1950, Muzeum Narodowe w Lublinie, do 5 października

Wystawa funduje widzowi niewiarygodny natłok artystycznych bodźców, zgromadzono bowiem ponad pół tysiąca dzieł autorstwa 133 artystek. O kontemplowaniu sztuki mowy więc być nie może, raczej o jej pobieżnym skanowaniu. Ale zabieg jest celowy: pokazać mnogość dokonań malarek i rzeźbiarek, w tym także (a może przede wszystkim) tych, o które historia sztuki nigdy wcześniej się nie upominała. To kolejna próba rewizji hierarchii i kanonów. Momentami udana. P. SARZ.

W szerokim kadrze. Komiks polski po transformacji, Bunkier Sztuki, Kraków, do 3 sierpnia

Historia najnowsza polskiego komiksu w pigułce: od niezależnych wydawnictw z lat 90., poprzez fascynację estetyką superbohaterską, aż po falę komiksu feministycznego, która pozwala spojrzeć inaczej na dziedzinę sztuki przez lata zdominowaną przez mężczyzn. Na krakowskiej ekspozycji nie brakuje hitów – można na niej wypatrzyć choćby prace Janka Kozy znane z łamów POLITYKI – lecz obok nich znalazło się miejsce także dla tytułów niszowych i artystów nieco dziś zapomnianych. JD

eprasa.pl 54c79bd13b

Rybnik górą!

Po raz pierwszy w 14-letniej historii Nagrody Architektonicznej POLITYKI tytułem Grand Prix jury postanowiło uhonorować wielorodzinny budynek mieszkalny, rybnicki TBS „Ajnfart".

PIOTR SARZYŃSKI

Choć wielorodzinne budownictwo mieszkaniowe stanowi większość nowo powstającej tkanki polskich miast, to w naszej nagrodzie pojawiało się dotychczas zaskakująco rzadko. Może dlatego, że w opanowanej przez deweloperów branży rzadko zabiegano o jakość, funkcjonalność czy walory estetyczne, głównie zaś – o maksymalizację zysku. Dotychczas trzykrotnie w finale nagrody pojawiały się osiedla: 19. Dzielnica w Warszawie, Nowe Żerniki we Wrocławiu i Browary Warszawskie. To ostatnie zdobyło nawet Grand Prix, ale należy pamiętać, że zawsze mieliśmy do czynienia z hybrydami łączącymi funkcje mieszkaniowe, usługowe i biurowe. Z pojedynczych realizacji wielorodzinnych wśród laureatów znalazły się obiekty z Wrocławia (Thespian, 2011 r.), Warszawy (Sprzeczna 4, 2017 r.), Katowic (Unikato, 2018 r.) oraz Chorzowa (Villa Redan, 2021 r.). Były to jednak realizacje deweloperskie, nie na każdą kieszeń. Tymczasem nagrodzony w tym roku budynek to realizacja Towarzystwa Budownictwa Społecznego (TBS) w Rybniku, za którym stoi pracownia SLAS Architekci.

Przez wiele lat wydawało się, że popularne TBS-y, uważane za ubogich krewnych mieszkaniowej deweloperki i tzw. apartamentowców, nie mają żadnych szans na uznanie krytyków architektury. Bo nie o wybitne estetycznie projekty tam chodziło, ale o budowanie tanie, w miarę funkcjonalne, ekonomiczne, omijające droższe materiały wykończeniowe, realizowane często na przedmieściach miast, gdzie grunty są tańsze. Nikt nie oczekiwał, że będzie pięknie, wszyscy – że będzie tanio. Ale ten utrwalony wzorzec wyraźnie się zmienia, a rybnicka realizacja

eprasa.pl 54c79bd13b

© JAKUB CERTOWICZ

nie jest jedyną wyróżniającą się, i dlatego owo Grand Prix można potraktować szerzej – jako wyraz uznania dla coraz lepszej jakości inwestycji TBS w całym kraju.

Przede wszystkim poprawiła się jakość architektoniczna społecznego budownictwa. TBS-y przestały być ubogimi krewnymi firm deweloperskich, których estetykę próbowały naśladować. To oczywiście nadal są inwestycje ekonomiczne i nagle nie zaczęto zastępować płyt betonowych ceramicznymi, okien plastikowych drewnianymi i wszelkich tanich materiałów szlachetnymi. Ale pojawiły się dwie nowe, istotne okoliczności. Po pierwsze, coraz częściej realizację poprzedzają konkursy architektoniczne, co zdecydowanie podniosło estetyczny poziom projektów. Po drugie, na ów ciągle jeszcze nieduży rynek wkroczyły prestiżowe biura architektoniczne, a kolejne realizacje są sygnowane m.in. przez takie znane pracownie, jak JEMS Architekci, WXCA, OVO Grąbczewscy czy Archistudio studniarek+pilinkiewicz. Dziś to uznani deweloperzy coraz częściej mogą z zazdrością zerkać na projekty TBS-ów. Realizacje z Katowic, stołecznej Ochoty, Bielska-Białej, Giszowca, Łowicza czy podstołecznej Falenicy wyznaczają standardy budowlanego dobrego smaku.

Co równie ważne, TBS-y skutecznie porzucają rolę położonych na obrzeżach miast noclegowni, z funkcjami zredukowanymi do metrów kwadratowych mieszkania i ewentualnie miejsca parkingowego. Poszerza się sfera funkcji i usług dodatkowych, zarówno tych ułatwiających życie, wspierających społeczną integrację i relacje, jak i odpowiadających na wyzwania cywilizacyjne. Parkingi schodzą pod ziemię, pojawia się coraz więcej zieleni i place zabaw, projekty uwzględniają miejsce na żłobki, przedszkola, kluby seniora czy osiedlowe świetlice. Montowane są stacje ładowania samochodów elektrycznych i stacje rowerów miejskich. W powstającym na katowickim Giszowcu osiedlu TBS zaplanowano autonomiczną osiedlową sieć centralnego ogrzewania i ciepłej wody zasilaną pompą ciepła z energią ze studni głębinowej i paneli fotowoltaicznych.

Grand Prix dla rybnickiej realizacji wzmacnia dwa nawzajem przenikające się trendy, od lat widoczne w naszej Nagrodzie Architektonicznej. Po pierwsze, silnej pozycji biur architektonicznych działających w Katowicach i aglomeracji. Nieformalnym, choć chyba i niekwestionowanym liderem pozostaje KWK Promes, ze swym szefem Robertem Koniecznym. Pracownia ta jest pięciokrotną laureatką naszej nagrody (rekord), a w 2016 r. jej Centrum Dialogu „Przełomy" w Szczecinie otrzymało Grand Prix. Wybitnymi realizacjami, dostrzeganymi także przez nominujących do naszej nagrody, mogą się pochwalić Konior Studio, Franta Group, Medusa Group czy Małeccy Biuro Projektowe. No i oczywiście SLAS Architekci, tegoroczni laureaci najwyższego wyróżnienia. ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

© HEDRONISTA TOMASZ CELEBAN

TBS „Ajnfart" – domknięciem trzech brył w kształcie litery „U" są dwa zrewitalizowane budynki z 1904 r., przeznaczone na funkcje usługowe

▶ Nagroda dla TBS „Ajnfart" podkreśla też, jak ciekawie rozwija się śląska architektura. Parokrotnie laureatami Nagrody Architektonicznej POLITYKI były obiekty z Katowic, w tym aż trzykrotnie otrzymały Grand Prix (Biblioteka Akademicka CINIBA, Międzynarodowe Centrum Kongresowe oraz Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego). Ale wśród wyróżnionych znalazły się także realizacje z Chorzowa, Jastrzębia-Zdroju, Bytomia, Rudy Śląskiej i Tychów. Teraz do tej listy trzeba dopisać Rybnik.

SLAS Architekci znaleźli się w finałowej piątce już po raz drugi. Zadebiutowali w edycji 2021 salą koncertową Państwowej Szkoły Muzycznej w Jastrzębiu-Zdroju i wygrali nią wtedy rywalizację o tytuł Ulubieńca Czytelników.

TBS „Ajnfart" stanowi element rewitalizacji bardzo ważnego fragmentu centrum miasta i położony jest zaledwie 300 m od rynku. Na dużym zaniedbanym terenie poprzemysłowym, gdzie przez wiele lat dominowały rozległe parkingi, zbudowano najpierw nowoczesny parking wielopoziomowy, a następnie siedzibę Rybnickiego Centrum „Galeria Rzeczna". Nagrodzony kompleks mieszkalny uzupełnia wcześniejsze przedsięwzięcia i niemal domyka (będzie jeszcze teren zielony z parkiem rzeźb) program przywrócenia miastu tej przestrzeni. O tym, jak będzie wyglądał, zadecydował konkurs rozpisany przez władze Rybnika.

SLAS Architekci zaproponowali pięciopiętrowy budynek składający się z trzech prostopadłościennych brył zestawionych w kształt litery „U". Z czwartej strony domknięciem projektu są dwa istniejące już wcześniej budynki, powstałe w 1904 r. Początkowo mieściły się w nich mieszkania robotnicze, następnie przerobione na rzeźnię. Od dłuższego czasu stały opuszczone i zdewastowane. Teraz w ramach projektu zrewitalizowano je, przeznaczając na funkcje usługowe.

TBS „Ajnfart" nie reprezentuje architektury spektakularnej, a rozmachem czy śmiałością wizji daleko mu choćby do innego finalisty i najgroźniejszego rywala do Nagrody Architektonicznej – Muzeum Sztuki Nowoczesnej. O przyznaniu Grand Prix zadecydowała raczej koincydencja wielu czynników, które sprawiły, że jest to realizacja wyjątkowa i zasługująca na docenienie. Rzecz w tym, że rybnicki projekt wyraźnie podnosi poprzeczkę dla budownictwa mieszkaniowego w ogóle, a dla społecznego – w szczególności. Tu wszystko się zgadza i wszystko sprawia, że TBS może śmiało rywalizować z realizacjami komercyjnymi, stanowiąc wzór dla innych miast.

Oczy cieszą przede wszystkim rozwiązania urbanistyczne. Swoją moc ma, wspomniana już, lokalizacja w samym centrum miasta, której pozazdrościć mógłby każdy deweloper. Nowo powstały budynek doskonale współgra zarówno z przypisanymi mu dwoma zabytkowymi budyneczkami, jak i z szerszym planem tego fragmentu miasta. Nie dominuje nadmiernie, ale też nie ukrywa się wstydliwie. Po prostu kreuje nową jakość miejskiego krajobrazu. Estetyka doskonale nawiązuje do tradycji lokalnej architektury, ale niczego nie udaje. Świetne rozwiązanie, polegające na stworzeniu przeskalowanych, wysokich na trzy kondygnacje bram wejściowych na podwórze (stąd nazwa „ajnfart" nawiązująca do podobnych rozwiązań w tradycyjnej architekturze Śląska), nadaje realizacji rys oryginalności. Projektanci

eprasa.pl 54c79bd13b

© FILIP DOMASZCZYŃSKI

Nagroda Internautów – Centrum Aktywności Międzypokoleniowej na warszawskiej Ochocie

nazwali je pokojami urbanistycznymi, sugerując, że mogą też pełnić dodatkowe funkcje integracyjne dla mieszkańców. Nawiązujące do ceglanych elewacje także są ukłonem wobec tamtejszej historii. Materiały wykończeniowe na zewnątrz i na klatkach schodowych, nawet jeśli nie są najwyższej klasy, to sprawiają bardzo dobre wrażenie i gwarantują wysoki standard użytkowania.

Ważna jest także funkcjonalność. 80 mieszkań o powierzchni od 38 do 65 m kw. zaplanowano tak, by do większości przypisane były własne tarasy. Nie ma zbędnych skosów, długich korytarzy, powierzchnie wspólna i prywatna zostały zaprojektowane z maksymalnym pożytkiem dla użytkowników. W standardzie jest ogrzewanie podłogowe i zajmujące całą ścianę okna, zapewniające w mieszkaniach dużo naturalnego światła. Są windy, część lokali na parterze zaadaptowano na potrzeby osób niepełnosprawnych. Nie ma za to uciążliwych miejsc parkingowych, a mieszkańcom musi wystarczyć (i wystarcza) nieodległy parking wielopoziomowy.

Tradycyjnie przyznaliśmy również Nagrodę Internautów, jej laureat wybierany jest z piątki finalistów w internetowym głosowaniu. W tym roku rywalizacja o pierwsze miejsce do końca była bardzo zacięta i praktycznie „o włos" przegrało ją Interaktywne Centrum Bajki i Animacji OKO w Bielsku-Białej projektu Nizio Design International. A kto wygrał? Można powiedzieć, że starzy znajomi – wszak xystudio, które zdobyło ów laur za Centrum Aktywności Międzypokoleniowej na warszawskiej Ochocie, w naszych nagrodach pojawiało się już parokrotnie. W 2015 r. byli finalistami dzięki realizacji przedszkola „Żółty Słonik" w Ostrowi Mazowieckiej. Cztery lata później zdobyli Grand Prix za Dom dla Bezdomnych, zaprojektowany we wsi Jankowice. Zaś rok temu nasi nominujący i czytelnicy docenili Dom dla osób w kryzysie bezdomności, który stanął na obrzeżach stolicy. Tym razem mamy do czynienia ponownie z realizacją w Warszawie, ponownie o charakterze społecznym, choć dość nietypową, bo łączącą w sobie kilka różnych funkcji: żłobka, domu dziennego pobytu dla seniorek i seniorów, placówki opiekuńczo-wychowawczej oraz środowiskowego domu samopomocy dla osób z tzw. niepełnosprawnościami sprzężonymi.

Gratulujemy zdobywcy Grand Prix oraz Nagrody Internautów. Równocześnie przypominamy, że tegorocznymi laureatami zostali także: Centrum Bajki i Animacji OKO w Bielsku Białej, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie oraz Dworzec Metropolitalny w Lublinie. W sumie pięć realizacji, z których każda na swój sposób podnosi jakość przestrzeni publicznej w kraju i podpowiada standardy do zastosowania przez innych.

PIOTR SARZYŃSKI

Zapraszamy po więcej na stronę: **polityka.pl/architektura**

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI

ATLAS

eprasa.pl 54c79bd13b

Jarvis Cocker, lider grupy Pulp, na scenie w Finsbury Park w Londynie, 2023 r.

Lato nie z tych lat

Pulp, Stereolab, Massive Attack, Oasis – tegoroczne premiery i letnie koncerty zamieniły się w jeden wielki festiwal wspomnień lat 90. Czy mamy do czynienia z nowym pokoleniem muzycznych dinozaurów?

BARTEK CHACIŃSKI

Ćwierć wieku temu podczas festiwalu w hiszpańskim Benicàssim lider grupy Pulp – wyraźnie zadowolony, że jest poza sferą anglosaską i fani mniej go nagabują – włóczył się samotnie po stoiskach z płytami. Wysoki, ubrany w rozchełstaną i wymiętą koszulę, szorty, popularny wtedy kapelusz-wiaderko, w sfatygowanych sandałach odsłaniających niezbyt wypielęgnowane stopy, Jarvis Cocker nie wyglądał ani trochę jak wielka gwiazda, laureat prestiżowej Mercury Prize czy wręczanej wybitnym autorom piosenek Ivor Novello Award. Wyglądał, jak gdyby chciał zostać bohaterem własnego przeboju „Common People", w którym złośliwie opisywał osoby uprzywilejowane, próbujące się zachowywać jak tytułowi „zwykli ludzie", wykorzystując do tego historię bogatej Greczynki, która studiowała w Londynie. „Chciałabym żyć jak zwyczajni ludzie" – śpiewał w refrenie. „Chciałabym sypiać z kimś tak zwyczajnym jak ty".

Ta piosenka, otwierająca wówczas koncert na Benicàssim, stała się w latach 90. hymnem generacji britpopu – ostatniego nurtu muzyki gitarowej, który był tak wielki, że na Wyspach Brytyjskich podzielił publiczność niczym miejscowa liga kibiców piłkarskich, doprowadzając 30 lat temu do „wojny zespołów" na brytyjskiej liście bestsellerów. I który jednoznacznie odnosił się do napięć klasowych.

© VICTORIA JONES/PA IMAGES/GETTY IMAGES, VALENTIN FLAURAUD/EPA/PAP

eprasa.pl 54c79bd13b

Młodzież wychowana w czasach taczeryzmu wybiła się w kilku rockowych składach: Oasis (nawiązujących do tradycji The Beatles), Blur (raczej do The Kinks) czy Suede i właśnie Pulp (z kolei bardziej w tradycji Davida Bowiego czy Roxy Music). Ci ostatni wrócili na scenę z pierwszą od 24 lat płytą zatytułowaną po prostu „More" (Więcej).

Nowa czterdziestka

W latach 70. ukuto dla takich reliktów dawnej epoki hasło „dinozaury rocka". Pejoratywne, było wtedy złośliwie używane przez punkowe środowisko w stosunku do niewiele starszych rockowych gwiazd: Yes, Pink Floyd czy Led Zeppelin. Ich członkowie mieli wtedy w porywach do 35 lat i stali się z punktu widzenia rynku skamielinami. Ciągle aktualne wydawało się hasło młodzieżowej rebelii lat 60.: „Nie wierz nikomu po trzydziestce". Dziś czterdziestka to nowa trzydziestka, a nową czterdziestką – biorąc pod uwagę muzyczne powroty – musiałaby być sześćdziesiątka.

Przypomnijmy krótko historie wielkich powrotów sprzed lat. Grupa Aerosmith odrodziła się triumfalnie w 1986 r., gdy Steven Tyler miał 48 lat, a Joe Perry 46. Wielki płytowy powrót Tiny Turner na albumie „Private Dancer" (1984 r.), kiedy to bohaterkę nazwano okrutnie „babcią rocka", miał miejsce, gdy skończyła 46 lat. Do spektakularnego powrotu do formy Boba Dylana na płycie „Time Out of Mind" (1997 r.) doszło, gdy przyszły noblista miał 56 lat. A kiedy ukazywał się uznawany wtedy za triumfalny comeback album The Rolling Stones „Steel Wheels" (1989 r.), Mick Jagger i Keith Richards kończyli 46 lat.

Bieżący rok uświadamia nam, jak bardzo gwiazdy lat 90. – dominujące dziś na estradach – oddaliły się od tego wzorca. Tim Gane z formacji Stereolab, która wydała pierwszy od 2010 r. album „Instant Holograms on Metal Film", skończy w tym roku 61 lat. Stojący na czele Nine Inch Nails i rozpoczynający wielką trasę koncertową gwiazdor tegorocznego Open'era Trent Reznor ma lat 60. Podobnie Robert Del Naja, lider Massive Attack, drugiej największej gwiazdy gdyńskiej imprezy. Z kolei Karl Hyde z Underworld, legenda sceny klubowej (i ścieżki dźwiękowej do „Trainspotting"), który będzie główną gwiazdą festiwalu Tauron Nowa Muzyka, ma 68 lat.

Robert Del Naja, lider Massive Attack, podczas 58. Montreux Jazz Festival w Szwajcarii, 2024 r.

W Polsce cały sezon letni upłynie zresztą pod kątem wspominania lat 90., a podczas wakacyjnych tras koncertowych można się będzie natknąć na Edytę Bartosiewicz, zreformowaną na kilka występów grupę Hey (która teoretycznie osiem lat temu pożegnała się z publicznością), jej liderkę Katarzynę Nosowską, a także Artura Rojka bez Myslovitz oraz Myslovitz bez Artura Rojka. Także dla ich publiczności, dziś nierzadko dwupokoleniowej, granice młodości – utożsamianej kiedyś z aktywnym życiem koncertowym – przesunęły się daleko ponad trzydziestkę.

Sam Jarvis Cocker z Pulp, dziś 61-latek, narzeka oczywiście na wiek: twierdzi, że muzykom rockowym po sześćdziesiątce, ciągle jeżdżącym po świecie, trudniej o ubezpieczenie. Kilkanaście lat temu zarzekał się, że byłby zdziwiony powrotem swojego zespołu (mówił, że są „jak wygasły wulkan"). Po czym wrócił do pisanych kiedyś piosenek, m.in. „Grown Ups", w której śpiewa, że się nie starzeje, tylko dojrzewa. Nie potrafił jej skończyć w latach 90., teraz wyszło szybko, a kiedy puszczali cały materiał szefom wytwórni Rough Trade, usłyszeli, że „to płyta adekwatna do wieku".

Lewica sceniczna

Wydaje się jednak, że aktualność bohaterów lat 90. jest nieadekwatna do ich wieku, bo mają dziś do zaoferowania coś więcej niż tani sentymentalizm. Ich kariery zahartował ostatni moment całkiem wolny od jednorazowości. Budowane były długo, przez lata, bez szansy na drogę na skróty, jaką dziś oferują media społecznościowe. Takie zespoły, jak Stereolab czy Pulp, wydając nowe płyty po wielu latach, obudziły się w nowym ▶

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ świecie. Przeskoczyły nagle z kultury fanowskiej, zbudowanej na kolekcjonowaniu fizycznych nośników, prosto do epoki streamingu, w której każdy ze scenicznych bytów uczestniczy w obiegu zmieniających się codziennie playlist. „Dziś mamy do czynienia z sytuacją, kiedy można przeżyć całe życie, nie słuchając po raz drugi żadnego utworu muzycznego, sprawić, że wszystko będzie przelatywało obok niczym woń świecy zapachowej" – mówił Jarvis Cocker podczas spotkania z dziennikarzami.

Druga różnica polega na tym, że dzisiejsza scena muzyczna rzadko pozwala sobie na jasne zaangażowanie ideologiczne, a wykonawcy z lat 90. od tematów politycznych i społecznych nie uciekali. Stereolab traktują je hasłowo, prowokując ciągle hasłami rodem z marksistowskiego słownika, ale wyrwanymi z kontekstu. U Pulp jest inaczej: nawet na nowej płycie w „The Hymn of the North" wraca krajobraz ich rodzinnej północnej Anglii, martwego od dawna regionu przemysłowego. Cocker, podobnie jak większość sceny britpopowej, wychowywał się w czasach ekonomicznego załamania. I załamania dostępu do edukacji artystycznej. Owen Hatherley w książce „Uncommon", obszernym eseju poświęconym Pulp, przypomina, że o ile w 2010 r. artyści z czołówki brytyjskiej listy przebojów w 60 proc. byli uczniami publicznych szkół, o tyle jeszcze w 1990 r. takich osób było tylko 1 proc. A Pulp czy Oasis, podobnie jak dekady wcześniej David Bowie czy Roxy Music, wywodzili się z klasy robotniczej.

Żeby odkryć klasizm, Cocker nie musiał zaglądać do lewicowych memów na Instagramie. Przetestował go na własnej skórze, gdy jako młody chłopak wypadł z okna (chciał się popisać przed dziewczyną spacerem po gzymsie) i trafił do państwowego szpitala, do jednej sali z ofiarami wypadków przy pracy. „To byli mężczyźni z innego pokolenia i z innego środowiska. Rozmowa z nimi okazała się kształcąca" – relacjonował później. Postanowił pisać odtąd piosenki o rzeczach, które widzi dookoła, stając się – jak go nazwał pisarz Nick Hornby – „wielkim poetą prozy życia". Dlatego też dziś wobec zmieniającego się klimatu społecznego w Wielkiej Brytanii – jak pisze Hatherley – trudno uznać rozdział Pulp za zamknięty. Z tych samych powodów dla kolejnej generacji atrakcyjna jest oferta Massive Attack, grupy nieukrywającej politycznego zaangażowania i wykorzystującej każdą okazję do protestów przeciwko naruszaniu praw człowieka. Czy nawet Morrisseya, niegdyś lidera otwarcie politycznych The Smiths, w te wakacje zapowiadającego wielki koncert w Krakowie.

Teoretycznie powinniśmy na nich wszystkich patrzeć jak na dinozaury. Problem w tym, że ciągle mają do zaoferowania coś, czego na współczesnej scenie brakuje. Jedyne, co łączy Jarvisa Cockera z dinozaurami, to „Leftovers", pełna podtekstów erotycznych jak wiele innych jego piosenek: „Spotkałem ją w muzeum paleontologii/ Powiedziałem: jeśli interesują cię dinozaury/ Znam okaz godny zainteresowania".

Ekonomia nostalgii

Oczywiście lewicowe poglądy nie wykluczają życia na kapitalistycznym rynku, a wszystkie te powroty to także próba zarabiania na własnym wizerunku: niegdyś grup pokoleniowych, dziś klasyków. Współczesne mechanizmy zarabiania na nostalgii w masowej skali opatentowano właśnie z myślą o dinozaurach rocka. Wprowadzał je Michael Cohl, młody biznesmen z branży koncertowej. Zauważył pod koniec lat 80., że choć członkowie The Rolling Stones są już po czterdziestce, to grupa ma sporo fanów, więc warto im zorganizować stadionową trasę, która mogłaby być ich... pożegnaniem (szerzej pisaliśmy o tym w POLITYCE 13/18). Tournée okazało się żyłą złota, a dalsze próby monetyzacji wszystkich znanych nazw i nazwisk z lat 60. i 70. – w tym następne światowe trasy Stonesów – wypełniły w przemyśle muzycznym cztery kolejne dekady.

Ekonomia zajmuje się z definicji dzieleniem ograniczonych zasobów, a nowych gwiazd dawnej epoki w sposób oczywisty nie przybywa, co najwyżej te stare działają pod nowymi nazwami. Przemijanie napędza rynek. Zobaczymy to latem tego roku na przykładzie Oasis, bodaj największej legendy brytyjskiej sceny lat 90. Zawiesili działalność 16 lat temu, po kolejnej bójce między kierującymi zespołem braćmi Noelem i Liamem Gallagherami, słynącymi z takich sporów – odwołano wtedy w ostatniej chwili zaplanowany koncert i zwrócono niedoszłym widzom za straconą okazję po 15 euro.

Kiedy w ubiegłym roku grupa ogłosiła reaktywację, okazało się, że obowiązuje stara rockowa zasada: do miłości do Oasis przyznaje się po latach większe grono niż przed zawieszeniem działalności kupowało ich bilety. Rozpoczęta w ubiegłym roku sprzedaż wejściówek na 17 stadionowych koncertów na Wyspach Brytyjskich zakończyła się jednak skandalem. A fani ze zdziwieniem konstatowali, że to już nie początek wieku, kiedy bilety na duże koncerty można było kupić po 15 czy 30 funtów. Teraz system sprzedaży firmy Ticketmaster wykorzystał mechanizm dynamicznego kształtowania cen biletów (opłata zmienia się w zależności od popytu). A ponieważ na 1,4 mln dostępnych wejściówek czekało ok. 14 mln chętnych, ceny błyskawicznie poszybowały do góry. „To uczucie, kiedy czekasz w kolejce do zakupu od czterech godzin i dowiadujesz się, że cena biletu wzrosła właśnie ze 148 do 355 funtów z powodu »dużego zainteresowania«. Jak to możliwe, że coś takiego jest w ogóle legalne?" – pisał jeden z fanów.

Na tym się nie skończyło. Tego samego dnia do sieci zajmujących się odsprzedażą biletów z drugiej ręki trafiły oferty po kilka tysięcy funtów! Rekordowe ceny sięgnęły w pewnym momencie wartości pięciocyfrowe. Sprawą zajęła się Competition and Markets Authority (odpowiednik naszego UOKiK), która po kilkumiesięcznym śledztwie uznała, że fani zostali wprowadzeni w błąd polityką cenową giganta, sprawą zainteresował się rząd brytyjski, a Lisa Nandy, minister kultury, mediów i sportu, zapowiedziała wprowadzenie ograniczeń w windowaniu cen biletów na cieszące się popularnością imprezy muzyczne i sportowe. Trasę, która zaczyna się także tego lata – koncertem w Cardiff 4 lipca – będzie śledzić cały muzyczny świat.

W tym czasie świat mody przeżywa właśnie wtórną falę fascynacji przełomem wieków, czyli ostatnim okresem nieskażonym social mediami, kiedy gwiazdy wyglądały bardziej naturalnie niż dziś. Młodzież biega więc po ulicach w rozszerzanych dżinsach lub bojówkach, podając sobie powyborcze memy ze „Świata według Kiepskich". Do kin wracają filmy Lyncha i mająca ćwierć wieku „Amelia". Chciałoby się to wszystko skwitować popularną frazą: „Który mamy rok?", znaną z filmu „Jumanji". Trzeba by jednak od razu dodać, że nawet ten film pochodzi z lat 90.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 54c79bd13b

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa

Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze

Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)

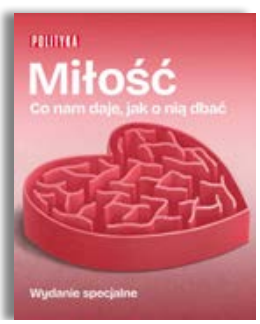

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 54c79bd13b

Trzeba robić crossovery

Podziały są na całym świecie, to jest duch czasów. Ale na przykład na planie filmowym pracuje mnóstwo osób, o różnych poglądach, i jakoś dają radę i pracować, i siedzieć razem na przerwie w barobusie – mówi scenarzysta Paweł Demirski przed premierą serialu „Aniela" Netflixa.

Paweł Demirski (ur. w 1979 r.) – dramatopisarz, scenarzysta i reżyser. Autor ponad 30 sztuk, z których wiele, w reżyserii Moniki Strzępki, przeszło do najnowszej historii polskiego teatru i współtworzyło polską debatę społeczno-polityczną. Jako scenarzysta ma na koncie seriale „Artyści" (TVP, 2016 r.), „Udar" (Viaplay, 2024 r.) i „Anielę", którą można oglądać w Netflixie od 11 czerwca. W obsadzie m.in. Małgorzata Kożuchowska, Jacek Poniedziałek i Cezary Pazura.

ANETA KYZIOŁ: **– W swoich spektaklach stawialiście z Moniką Strzępką przez lata diagnozy polskiej demokracji. Wasze „K." z poznańskiego Teatru Polskiego sprzed prawie dekady działo się nawet podczas nocy wyborczej, a bohaterowie byli wzorowani na Kaczyńskim i Tusku. Co się wydarzyło w ubiegłą niedzielę?**

PAWEŁ DEMIRSKI: – Miałem taką intuicję już jesienią, że wygra Nawrocki, bo to był idealnie dobrany kandydat. Też z taką myślą, żeby w drugiej turze na niego zagłosował rosnący już wtedy elektorat Konfederacji. To było od początku obliczone na długi marsz i ten długi marsz w efekcie dotarł tam, gdzie miał dotrzeć. Ten męski, maczystowski wizerunek Nawrockiego, z boksem, ustawkami, kibolstwem, ze znajomością z ludźmi z miasta – to działa na wyobraźnię męskiego młodego elektoratu, internetowej manosfery. Ale nawet bez tego kontekstu, jak się patrzyło na zestawienie Nawrockiego z Trzaskowskim – człowiekiem potwornie zmęczonym, który wyglądał przez większość kampanii, jakby nie miał siły i ochoty brać w tym wszystkim udziału... Swoje zrobiły też media, które ciągle powtarzają, że Polska jest podzielona.

A nie jest?

A może już nie trzeba tego mówić? A może ona wcale nie jest taka podzielona albo można nazwać nowe linie podziału, zmienić dynamikę, kierunki? Dlaczego liberałowie nawet nie próbują rozmawiać z polską wsią? Tak jakby nie umieli sobie wyobrazić, co to są za ludzie, jakby nie mieli z nimi żadnego kontaktu. A przecież wieś w 2023 r. dawała sygnały, że rezygnuje ze stawiania na PiS. Kolejna rzecz – szkoły. Mam 16-letnie dziecko, więc wiem, jak to wygląda. Toczy się jakieś idiotyczne walki o kanony lektur, ale już nie o program takich przedmiotów, jak biznes i zarządzanie, gdzie uczy się tylko neoliberalnych, wolnorynkowych reguł, czy HiT, gdzie się wkłada uczniom do głów konserwatywną wizję historii i współczesności jako normę. A potem zdziwienie, że młodzi głosują na Konfederację. Chyba należy się pokusić o taką tezę, że generalnie Polska jest konserwatywna, a szkoły

© PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, NETFLIX, VIAPLAY

eprasa.pl 54c79bd13b

Filip Pławiak, Małgorzata Kożuchowska i Lila Vasina w serialu „Aniela”. Obok: **Jerzy Bończak, Anna Seniuk i Jacek Poniedziałek (na łóżku) w serialu „Udar”.**

kształcą w kierunku konserwatywno-neoliberalnym. Czyli Mentzen.

Ważnym tematem pańskich sztuk, a teraz seriali, jest historia awansu społecznego. Czy opowieść o Nawrockim – z blokowiska i kibolstwa, przez doktorat, na pałace – to taka opowieść? Ona przemawia do ludzi?

Mamy klasowe społeczeństwo, a lęki klasowe są wzmacniane przez obie strony politycznej barykady. Po stronie KO największym deficytem jest deficyt wyobraźni: straszyli tymi cechami Nawrockiego, które wielu ludziom spoza inteligenckiej bańki mogą się podobać – boks, ustawki, przekręty – zamiast podkreślać, że on od dawna jest częścią establishmentu, że szefował, z nadania PiS, rządzącego przez ostatnie lata krajem, IPN-em, który miał roczny budżet 500 mln zł. To była polityczna funkcja, doskonale opłacana. A oni grali na tę różnicę między chłopakiem z nizin, bez wielu możliwości awansu, a człowiekiem dobrze urodzonym i gruntownie wykształconym. Nie ujmując Trzaskowskiemu wiedzy i znajomości języków, on się może dziś kojarzyć z nepotyzmem, dziedziczeniem statusu. Co tu można było ugrać?

Kibolstwo i sutenerstwo nie działają jako odstraszacz?

Te histeryczne reakcje liberałów na środowiska kibicowskie, kibolskie, na przemoc – to też świadczy o oderwaniu od rzeczywistości. I o tym, że ludzie się nawzajem nie znają, nie rozumieją przez to innych niż własne kodów kulturowych i wszystko oceniają poprzez własne. Ja, podobnie jak Nawrocki, wychowywałem się na gdańskim blokowisku i wiem z własnego doświadczenia, podobnie jak wielu Polaków, że w latach 90. i początkach 2000. na blokowiskach przemoc była wszechobecna, wspólnototwórcza, była wejściem do grupy, tak to funkcjonowało. A brutalna była też policja, która podjeżdżała pod ławki i trzepała wszystkich równo za sam wygląd. To jest też część polskiego dziedzictwa i zamykanie na to oczu jest przeciwskuteczne. Państwo w wielu kręgach nie kojarzy się dobrze, Polaków za to charakteryzuje radykalna zaradność – są w stanie załatwić wszystko wszędzie, z ominięciem państwa, a nierzadko i prawa. Z tego też wynika m.in. brak powszechnego oburzenia na afery i przekręty PiS czy na przejęcie kawalerki przez Nawrockiego. A umówmy się, że bańki inteligenckie też mają swoich bohaterów, którym wybaczają różne niewłaściwie zachowania.

Będąc wystawianym dramatopisarzem, analizował pan i komentował na gorąco i wprost życie społeczne. Kilka lat temu zmienił pan branżę, a seriale to inna materia, inny rytm. Nie żal panu czasem tej zmiany?

Trochę tęsknię. Do tego stopnia, że przyjąłem propozycję ze Starego Teatru w Krakowie i pomiędzy scenariuszami piszę dla nich sztukę, premiera jest planowana na koniec przyszłego sezonu. Z teatrem żegnałem się powoli, ostatecznie trzy lata temu. Początkowo było dużo frustracji, bo proces produkcyjny serialu bywa koszmarnie długi. Teraz mam np. kumulację: w grudniu ubiegłego roku premiery doczekał się w Viaplay „Udar”, niedawno dołączyło „W imię Jakuba S.” zrealizowane w Teatrze Telewizji, a Netflix pokaże serialową „Anielę”. Prace nad nimi trwały od bardzo dawna, a ja mam już kilka kolejnych projektów na różnych etapach. Ale coś za coś. Serialowa widownia jest dużo większa, bariery wejścia dla widza dużo mniejsze, bo teatr, przy wszystkich próbach inkluzywności, otwarcia, dla wielu grup społecznych pozostaje poza zasięgiem, nie tylko finansowym, ale też kulturowym. Przy tym ja się jakiś czas temu obraziłem na teatr. Miałem poczucie, że tam już nie ma pomysłów, nie ma kierunku działania. Wiem, że jest płynna rzeczywistość, ale chaos decyzyjny w polskich teatrach zaczął mnie bardzo męczyć. No i niedofinansowanie. Są w tym kraju teatry, których roczny budżet jest niższy niż jednego filmu fabularnego, i to raczej z tych niszowych, niezależnych, niż mainstreamowych.

A czegoś panu brakuje w świecie serialowym?

To jest inny proces, inny widz, więc też inne podejście do formy czy tematów, ale nadal można niuansować, proponować ▶

REKLAMA

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ rozmaite konwencje. Tak, wydaje mi się, jest w przypadku „Anieli". To konwencja czasem z przymrużeniem oka, nieco bajkowa. Sporo jest tam przerysowania, czarnego humoru, ale i dramatu. Zastanawiałem się kiedyś, o co chodzi z tymi serialami z PRL, dlaczego one działały i ciągle działają? Nie wszystkie, ale np. „Czterdziestolatek" czy niektóre odcinki „Alternatywy 4" są wciąż świetne. Chodzi właśnie o konwencję – to nie jest realizm psychologiczny, który zdominował polskie kino. Tym, co działa, jest ten trochę wybajkowany wymiar, przesunięcie w stronę lekkości, bajki, obyczajowej satyry. Bohaterowie są nieco szaleni i wychodzą cało z każdej opresji. Ta konwencja wydaje mi się ciekawa.

Trochę szaleństwa i optymizmu na trudne czasy?

I jeszcze trochę grubego humoru. Mnie w ogóle nie ciągnie do realizmu. Teraz myślę o nowym serialu i też czuję, że on będzie „dopalony", w trochę inną stronę niż „Aniela", ale też nie czysty realizm. Kłopot w tym, że nie zawsze konwencja jest czytelna dla widza. Podobnie jak ironia.

Mimo wychowania na serialach Gruzy, filmach Barei, mimo statusu kultowego, jaki ma „Dzień świra" Koterskiego?

Seriale z PRL mają status świętości, to jest kanon. One są już opowiedziane i kanonizowane. Nowsze rzeczy nie mają z nimi szans konkurować na starcie… Ale może to też wynika z tego, że dzisiejszy widz serialowy jest przyzwyczajony do produkcji amerykańskich czy brytyjskich, ich jest najwięcej, a polskie są mniej liczne i przez to jakby egzotyczne? Zagranicznym więcej wybaczamy, nie przeszkadza nam to, co krytykujemy w polskich, np. informacyjne dialogi, łopatologicznie tłumaczące widzom sytuację, które są też w tych topowych amerykańskich serialach. Tam machamy ręką, w naszych – krytyka i słabe oceny na Filmwebie. Jesteśmy krytycznym narodem.

„Aniela" to pański pomysł czy zlecenie od Netflixa?

Jak to w serialach, efekt końcowy jest wypadkową wielu gustów i wrażliwości. Dla scenarzysty to jest tak zaskakujące, że aż fascynujące, jak różne wnioski mogą ludzie wysnuć na podstawie tej samej napisanej na papierze sceny. Ale pomysł początkowy był mój. Chciałem opowiedzieć historię zderzenia dwóch skrajnych światów – w tym przypadku wielkomiejskiego blichtru ze środowiskiem blokowiska. Bo to jest mój odwieczny temat: ja się zawsze czuję niedopasowany, nie na swoim miejscu. Najpierw to był sport, potem wszedłem w kulturę, w teatr, gdzie też nie do końca pasowałem, bo nie przeczytałem tego, co należało itd. Teraz znowu zmieniłem branżę i też jestem z zewnątrz. A z drugiej strony wracam czasem na rodzinną gdańską Żabiankę i poczucie obcości wcale nie mija, bo teraz jestem dla kolegów z podwórka, którzy mają zakłady naprawy aut, człowiekiem z Warszawy, z kultury. Jest taki raper z Poznania Paluch, ma swoją wytwórnię BOR – Biuro Ochrony Rapu – nagrał teledysk „Szaman", który mnie jakoś zainspirował. I pomyślałem, że to byłby fajny materiał na serial: Paluch grałby nauczyciela techniki w technikum elektrycznym, który próbuje robić rap z dzieciakami.

I z tego zrobiła się Małgorzata Kożuchowska, ucząca polskiego w gastronomiku i promująca młode talenty raperskie?

Pomysł na tę historię i główną bohaterkę dojrzewał, a że temat bycia obcym w nowych społecznościach jest moim tematem, wpadłem na pomysł dodania takiego crossoveru. I tak do Netflixa przyszedłem, już wiedząc, że to będzie kobieca postać, a konkretnie Aniela, strącona z wyższych sfer na blokowisko, gdzie musi się zmierzyć zarówno z nową rzeczywistością, jak i sama ze sobą. Jej sytuacja jest źródłem komizmu, ale jednocześnie dramatycznych wydarzeń w tej historii. Pomysł na to, kto powinien zagrać główną rolę, pojawił się na etapie pierwszego odcinka. Wszyscy byliśmy przekonani, że to powinna być właśnie Gosia – aktorka kompletna, która, jak widać, nadal potrafi zaskakiwać widzów i wychodzi poza schematy. Od razu znaleźliśmy wspólny grunt i pracowaliśmy też razem nad rozwojem postaci Anieli.

Doświadczenie zdobyte przy pracy nad „Udarem" i „Artystami" pomagało czy przeciwnie?

Przy „Artystach" byłem o krok od sprzedania praw do stworzenia amerykańskiej wersji. Telewizja Polska, która dysponowała tymi prawami, się z Amerykanami nie porozumiała. To był dla mnie bardzo trudny moment. Pierwszy raz napisałem serial sam, odbiór był bardzo pozytywny i to zainteresowanie zakupem praw – od razu format! I nic z tego nie wyszło. Prawa niesprzedane, telefon z propozycjami się nie rozdzwonił. Dostałem jedną wiadomość od producenta: „Hej, fajny serial", ale się nie zorientowałem, że to była zachęta do rozmowy i temat umarł. Dopiero Maciek Kubicki z Telemarku zaczął się ze mną spotykać, w końcu z tych spotkań narodził się „Udar", a teraz projektów i producentów jest tak dużo, że nigdy w życiu tak dużo nie pracowałem.

„Udar" był wypowiedzią autorską i niszową, ironiczną i terapeutyczną opowieścią o klasie kreatywnej w multikryzysie. „Aniela" to rozrywka grubsza i bardziej masowa. Da się w polskich warunkach iść obiema ścieżkami naraz?

Mam w pracach i adaptacje powieści, i autorski serial oraz film fabularny. Przy „Udarze" poznałem ludzi, z którymi chcę kontynuować pracę, jak operator Paweł Flis. Zrobił zdjęcia do mojego Teatru Telewizji „W imię Jakuba S.", i to było świetne, bo jako filmowiec z krwi i kości wniósł nową perspektywę. Ja najbardziej kocham, jak jest *crossover* – ludzie z różnych środowisk coś tworzą razem. I o tym jest też „Aniela". Moje scenariusze i seriale, też te dla szerszej widowni, zawsze będą miały w sobie polityczność, choć nie w taki oczywisty, mocny sposób jak sztuki i spektakle. Tu nośnikiem fabuły jest postać, im bardziej skomplikowana i niejednoznaczna, tym większym jest wyzwaniem dla prostych podziałów. To jest to, co jako człowiek przychodzący z teatru, który przerobił już wiele tematów, konwencji, jest bardzo związany z rzeczywistością, z debatą społeczną, mam światu filmowemu do zaoferowania.

Da się zmniejszyć podziały?

Podziały są na całym świecie, to jest duch czasów. Ale np. na planie filmowym pracuje mnóstwo osób o różnych poglądach i jakoś dają radę i pracować, i siedzieć razem na przerwie w barobusie. Socjolog Jonathan Haidt pisał o tym, że jak amerykańscy kongresmeni mieli obowiązek mieszkać w Waszyngtonie, to siłą rzeczy często się spotykali także na nieformalnych uroczystościach, więc poznawali się jako ludzie, dzięki czemu byli w stanie się w wielu kwestiach dogadać. Kiedy ten obowiązek zniknął, widzą w sobie nawzajem tylko przeciwników politycznych. Problemem jest może więc to, że brakuje miejsc, w których można by się spotykać z ludźmi spoza swoich baniek. Trzeba robić crossovery.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 54c79bd13b

Wietnamczyk Sang Ngô Thanh – bohater dokumentu poszukujący amerykańskiego ojca

Saga Sanga

W wietnamskiej kulturze ojciec zapewnia podstawową tożsamość. Człowiek bez ojca jest jak dom bez dachu – mówi Weronika Mliczewska, reżyserka dokumentu „Dziecko z pyłu", który zdobył główną nagrodę 65. Krakowskiego Festiwalu Filmowego.

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– W „Dziecku z pyłu", podążając za swoim bohaterem, porusza pani istotną kwestię Amerasians, dzieci spłodzonych i pozostawionych w Wietnamie przez amerykańskich żołnierzy. Jak ten temat do pani trafił?**

WERONIKA MLICZEWSKA: – Przyjechałam do Wietnamu, żeby zrealizować krótki dokument na zlecenie. Przez jakiś czas miałam tam swoją bazę, więc po prostu zaczęłam się rozglądać, słuchać ludzi. Poznałam Hunga Phana – on także występuje w „Dziecku z pyłu" – oraz Duńczyka Briana Hjorta, którzy wspierają Amerasians w poszukiwaniach rodzin mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Hung pomaga wykonywać testy DNA, Brian dzięki swoim kontaktom mógł przesyłać testy do Europy i dalej do USA. To nielegalne, więc może się odbywać głównie dzięki łańcuchowi ludzi służących pomocą. Brian umożliwił mi kontakt z Amerasians, którzy wciąż szukali swoich ojców lub ich bliskich. Zaskoczyło mnie, że niemal wszyscy reagowali na rozmowy bardzo emocjonalnie. Gdy pytałam o nieobecnych ojców, często zaczynali płakać. To sprawiło, że – choć to ludzie w dojrzałym wieku – dostrzegłam w nich dzieci z silnymi traumami, uzależnione od wyidealizowanej figury ojca. Zdałam sobie sprawę, że to wcale nie jest temat dotyczący przeszłości, ale kwestia jak najbardziej aktualna. To echo wojny nadal trwa w ich życiu. Bohatera szukałam trzy lata. Byłam cały czas w kontakcie z Brianem i Hungiem, którzy mówili mi o wszystkich sytuacjach, w których udało się odnaleźć amerykańską rodzinę, czasami ojca, czasami przyrodnie rodzeństwo. I w momencie, w którym poznałam Sanga, poczułam, że to jest właściwa osoba, że nie muszę szukać dalej.

Myślała pani o tym, by zrobić film z kilkorgiem bohaterów?

Początkowo zastanawiałam się, czy podążać za kilkoma osobami. Ale taki film już był, w 1999 r. szwedzki reżyser Erik Gandini nakręcił dokument „Amerasians", który właściwie bardziej przypominał reportaż telewizyjny. Nie chciałam powielać takiego schematu, wolałam wejść w jednostkową historię, bo wierzyłam, że ona będzie w stanie odzwierciedlić te relacje sił, zależności, wojny. Choć w ogóle nie wiedziałam, dokąd ta historia nas zaprowadzi. Nie wiedziałam, czy Sang dostanie wizę do Stanów Zjednoczonych, czy poleci, czy jego ojciec dożyje ich spotkania, bo był już wtedy bardzo schorowany. Ale czułam intuicyjnie, że Sang jest przede wszystkim bohaterem bardzo wrażliwym, bardzo świadomym duchowo. Zapytałam, czy chce odnaleźć ojca, żeby mu się rzucić do gardła, czy żeby go przytulić? Odpowiedział, że nigdy go nie obarczał winą i że mu wybacza, choć jego życie było bardzo trudne z powodu sytuacji rodzinnej. A że był przy tym bardzo otwarty na pracę z kamerą, którą w naturalny sposób ignorował, stwierdziłam, że nieważne, dokąd zaprowadzi nas droga, ale na pewno będzie to podróż, w której widzowie będą mogli się odnaleźć.

Zgodził się na film bez problemu? Miał przecież świadomość, że to będzie duże emocjonalne obciążenie.

Wcale nie musiałam go namawiać. Cieszył się, że wreszcie ktoś będzie jego głosem. Chciał być usłyszany. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że ta historia niesie momenty, w których będą ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 54c79bd13b

▶ podejmowane decyzje mające wpływ na całe jego życie. Dla mnie to była wielka odpowiedzialność, żeby tę opowieść w odpowiedni sposób poprowadzić. Żebym rzeczywiście mogła być jego głosem i nie nadużyła jego zaufania. Dlatego nasza współpraca była transparentna. Zawsze tłumaczyłam, dlaczego coś kręcimy, dlaczego to jest ważne. Powiedziałam też, że będziemy pewnie podążać za nim przez kilka lat, nie wiem ile, ale że to na pewno długa droga. Akceptował to i stał się częścią rodziny. To była naprawdę bliska relacja. Gdy Sang przyjechał do Stanów Zjednoczonych, czułam, że rozumiem go w tych chwilach zagubienia, bezradności, wiedziałam, jak może myśleć i jakie mieć w sobie pytania.

Może dlatego, że to również pani doświadczenie jako podróżniczki i dokumentalistki: być w obcym miejscu, bez znajomości języka, a jednocześnie próbować je poznać i zrozumieć.

Z jednej strony tak, robiłam badania terenowe w najdalszych zakątkach świata, przekraczając swoje granice, ale mam przygotowanie antropologiczne. A pracując nad tym dokumentem, miałam wsparcie producenta Chi-Minha De Leo, który ze swoją ekipą był od początku, tłumaczył mi nie tylko język, lecz także kulturę, uświadamiał, jak zrobić film z perspektywy Sanga. Dla mnie to ważne, żeby mieć w sobie pokorę, niczego nie narzucać, za to uważnie słuchać. W tym konkretnym przypadku było to szczególnie istotne, bo temat Amerasians jest zazwyczaj opisywany i pokazywany z tej amerykańskiej strony.

Od 1989 r. w Stanach Zjednoczonych działał Amerasian Homecoming Act, na mocy którego od 20 do 30 tys. Wietnamczyków mogło wyjechać do USA. Większość z nich nie miała jednak szansy poznać swoich amerykańskich bliskich. Dziś także metryka działa na niekorzyść takich spotkań. Jak wyjątkowa jest zatem sytuacja Sanga, który nie tylko odnalazł ojca, lecz także został przez niego zaakceptowany?

Ta historia jest teraz tym bardziej niezwykła, że za sprawą Donalda Trumpa zostały zatrzymane wszystkie programy pomocowe, łącznie z Homecoming Act. Sang jest jedną z ostatnich osób, którym udało się wyjechać do Stanów Zjednoczonych na spotkanie z ojcem. Brian Hjort opowiadał o sytuacji z marca tego roku: kobieta odnalazła bliskich, sprzedała dom, spakowała walizki i niemal w przeddzień wyjazdu dostała telefon, że jednak nie może wyjechać, bo ten program imigracyjny został skasowany. Samo to, że ojciec zaakceptował Sanga, jest bardzo rzadkie. A bez takiej akceptacji wyjazd do USA jest dziś niemożliwy: ktoś z amerykańskiej rodziny musi wykonać oficjalny test DNA, autoryzowany przez rząd, i tylko to aktywuje ścieżkę wyjazdu dla Amerasians. W latach 90. to było łatwiejsze, ów element akceptacji nie był aż tak istotny i wtedy można było naginać zasady, co zresztą Wietnamczycy czasami wykorzystywali, żeby uciec z kraju w poszukiwaniu pracy.

Weronika Mliczewska – reżyserka, scenarzystka i producentka filmów dokumentalnych, autorka książki „Na początku jest koniec. Na szlakach duchowości Majów". Debiutowała w 2016 r. krótkim metrażem „Speechless in Japan", za który otrzymała nagrodę na festiwalu w Pune. Jej „Dziecko z pyłu" zdobyło trzy nagrody na Krakowskim Festiwalu Filmowym, w tym Złoty Róg dla najlepszego filmu w międzynarodowym konkursie dokumentalnym.

Sang chyba nie marzył o samym wyjeździe?

Nie, on miał absolutnie czyste intencje. Dla mnie to było istotne, bo nie chciałam robić filmu o amerykańskim śnie czy nawet o emigracji. Sang nie chciał wyjechać do Ameryki, żeby zarobić – a on i jego rodzina są naprawdę bardzo biedni. Chciał tylko spotkać swojego ojca, poczuć, że wreszcie został zaakceptowany, że już nie jest tym wykluczonym człowiekiem z marginesu społecznego. Bo sam akt akceptacji już zmienił jego pozycję. W wietnamskiej kulturze ojciec zapewnia podstawową tożsamość. To jest bardzo mocno zakorzenione w ich podejściu do życia. Mawiają, że człowiek bez ojca jest jak dom bez dachu.

Czy Torresowie, amerykańska rodzina Sanga, również łatwo zgodzili się na zdjęcia?

Przekonanie ich było chyba najtrudniejsze w tym filmie. Sang bardzo tego chciał, ale jego ojciec ogromnie się wstydził, że ma niechcianego syna, o którego istnieniu na dodatek przez dekady nie wiedział. Wstydził się, że nie pamięta jego matki. To była sytuacja, jakiej nie potrafił sobie w ogóle wyobrazić. Przekraczała wszystkie jego przekonania, bo to gorliwy chrześcijanin, nastawiony raczej przeciwko imigrantom, choć nie nazwałabym go rasistą. To długo trwało, na dodatek była pandemia, więc nasze rozmowy ograniczały się do telefonów. Przekonywałam ich, by odważyli się stanąć w prawdzie. Wreszcie zgodzili się z nami współpracować, a ojciec po raz pierwszy w życiu zaczął rozmawiać ze swoimi dziećmi o wojnie, o swoich wspomnieniach. Aż w pewnym momencie powiedział, że to także dla nich ważny film, bo będzie mógł służyć za przykład dla innych weteranów, by akceptowali swoich synów i swoje córki pozostawione w Wietnamie czy na innych frontach, bo przecież takie rzeczy dzieją się cały czas i podobnych przypadków jest dużo więcej.

Nie było tak, że obecność kamery wymuszała na nich takie, a nie inne zachowania?

Kiedy zaprosili nas, aby kamera towarzyszyła im przy pierwszym spotkaniu rodzinnym, gdy Torres senior powiedział wszystkim dzieciom o istnieniu Sanga, wydawało mi się, że kamera pomagała im, aby mogli się otworzyć przed sobą nawzajem. Nie dało się wycofać, uciec, przemilczeć. W filmowaniu Sanga z jego amerykańską rodziną było jednak dużo momentów niewygodnych. Takich, gdzie różnice kulturowe aż bolały, a widz może czuć się nieswojo. Być może rodzina amerykańska chciała dobrze wypaść, ale przez tę fasadę przezierały zdania i gesty wypowiedziane mimochodem – to w nich ukryte są tropy świadczące o poczuciu wyższości kulturowej, a także nieprzepracowanych traumach wojennych. Pomimo że biorą odpowiedzialność za swoją przeszłość, to wciąż nie potrafią zobaczyć

eprasa.pl 54c79bd13b

świata z perspektywy drugiej osoby. A program Homecoming Act, o ile pomagał finansowo, o tyle na pewno nie był uwrażliwiony na różnice kulturowe i asymilację. Mój film nie jest jednak rozliczeniem przeszłości, staram się nie oceniać. Bliższe jest mi stwierdzenie, że na wojnie nie ma wygranych, i najbardziej cierpią zwykli ludzie: po dwóch stronach.

Przez wiele lat zajmowała się pani tematem duchowości. „Dziecko z pyłu" jest także opowieścią o poszukiwaniu drugiego człowieka, które staje się właściwie sensem życia.

Wiele razy pytałam Sanga, dlaczego na własne życzenie ładuje się w tak trudną sytuację. Bo przecież nie jest możliwe, żeby po 50 latach nieznajomości dwie obce sobie osoby, z barierą językową i całym bagażem życia, spotkały się i nagle zbudowały relację ojciec – syn. Odpowiadał, że nadzieja na spotkanie ojca przez lata trzymała go przy życiu. Że gdy odeszła jego matka – a zmarła młodo, wyczerpana pracą w obozie resocjalizacyjnym – czuł, że nie ma już po co żyć, chciał popełnić samobójstwo. Nie zrobił tego, bo wierzył, że uda mu się odnaleźć ojca. To poszukiwanie stało się w gruncie rzeczy poszukiwaniem własnej tożsamości. Jakby bez tej cegiełki nie udawało mu się zbudować w pełni wartościowego życia. Dopiero gdy nawiązał kontakt z amerykańską rodziną, sprawy w jego życiu zaczęły się lepiej układać.

Ale wciąż decydował się na wyjazd, jakby wyruszał w poszukiwaniu absolutu.

Ja bym powiedziała, że wyjechał w poszukiwaniu bezwarunkowej miłości – takiej, którą dostają dzieci od rodziców. Poczucie braku tej miłości definiowało Sanga przez całe życie. Jednak dramat polega na tym, że w dorosłym życiu nie da się już jej doświadczyć. Sang przez większość filmu jest dzieckiem w skórze dorosłego. Dopiero na końcu zmienia swój stosunek do ojca, potrafi być krytyczny. Czy w poszukiwaniu absolutu nie chodzi o to, aby do niego dążyć?

Dlatego zostawia pani swojego bohatera w zawieszeniu?

Była to decyzja: kiedy skończyć film dokumentalny? Czy życie napisze ten koniec i kiedy? Zaczęłam zadawać sobie pytania, czy rzeczywiście koniec powinien być taki, jakiego instynktownie oczekujemy. Czyli czy powinien być odpowiedzią na pytanie: czy Sang wrócił do Wietnamu, czy został w USA? Po rozmowach z Sangiem zrozumiałam, że nie o to chodzi w jego drodze. Sanga najlepiej definiuje stan „pomiędzy". Pomiędzy kulturami, do których nigdy nie przynależał i być może nigdy nie będzie. Kiedy uniesiemy się ponad potrzebę przynależenia, to otwierają się nowe tropy, mówiące nam o tym, co tak naprawdę nas definiuje i co jest dla nas najważniejsze. Dlatego nie chciałam dopowiedzeń, ta historia wciąż trwa, a stawką jest wolność. Dla mnie jako reżyserki najważniejsze było to, że Sang był gotów zmierzyć się ze swoją przeszłością i ją uzdrowić. Może nie odbyło się to tak, jak sobie wymarzył, ale w efekcie swoich decyzji mógł się uwolnić od wyidealizowanej figury ojca oraz traum wojny, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, a dzięki temu na nowo zdefiniować swoje miejsce w kulturze, w swoim życiu, w swojej rodzinie. Jeżeli mamy szansę i odwagę, żeby się tego podjąć, to wydaje mi się, że zawsze jesteśmy wygrani.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

© MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

25 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 24 lata wsparliśmy 392 naukowców kwotą ponad 7 130 000 zł

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe
i świętuj z nami 25. urodziny!

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: **polityka.pl/stypendia**

Już tylko do 13 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2025

KOPIPOL

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025

Dr Irena Eris

CONSULTRONIX

zaks sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy

Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni

TVP I info_

tokfm

FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 54c79bd13b

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Michał Żebrowski wraz z żoną pojawili się w lokalu wyborczym w Brzegach, maszerując w rytmie poloneza w strojach z filmu „Pan Tadeusz". Błąd. Właściwszą melodią byłoby „Kryminalne tango".

●

Żabka wprowadziła do sklepów kosmiczne jedzenie, czyli specjalne dania Mateusza Gesslera z okazji lotu Polaka na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Każdy, kto jada w Warsie, wie, że czasami też jest totalny odlot.

●

Uwaga: 12 lipca TVP pokaże koncert z okazji 30-lecia zespołu Ich Troje. Brawo, Woronicza. Prezesi się zmieniają, zły gust pozostaje.

●

Koniec serialu „Królowie" w TVP. W role Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka wcielali się Krzysztof Świłpa i Michał Kaszyński. Nie znam. Ale przecież lubimy władców, których nie znamy.

●

Polsat rezygnuje z programu „Bitwa o palety", którego prowadzącym był Zygmunt Chajzer. Zasady były trochę jak w kebabie syna. Uczestnicy walczyli o coś, czego zawartości nie znali.

●

Hanna Lis pogratulowała Karolowi Nawrockiemu, kazała narodowi czytać więcej Gombrowicza, Żeromskiego, następnie wezwała do jedności, a nie podziałów oraz zarzuciła odklejenie warszawskich elit – co pięknie całością swego wpisu zilustrowała.

Paulla, wokalistka, której jedynym sukcesem było sezonowe podobieństwo do Edyty Górniak, wyznała, że nigdy nie chciała być celebrytką. Moim zdaniem sukces osiągnęła.

●

Widownia nadawanego w TVP od 25 lat serialu o lekarzach „Na dobre i na złe" zmalała o 90 tys. Takie są konsekwencje prób obniżenia składki zdrowotnej.

●

22-letnia Maja Klajda zajęła trzecie miejsce podczas konkursu Miss World 2025 w Indiach. Brawo. Są jeszcze wybory, które da się zrozumieć.

© PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

„Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało!!! Demokracja przede wszystkim. Gratulacje ode mnie i mojego psa". To Zbigniew Boniek. Pies również skumał, że wszystko schodzi do jego poziomu.

●

Twarzami akcji „Moje sklepy. Znamy się" zostali Cezary Żak i Remigiusz Wierzgoń. Chodzi o sieć Groszek, Euro Sklep i ABC. Jakoś nie wierzę. Cezary opowiadał mi, że jest twarzą diety. Własnej.

●

Fryderyk Chopin ściany wschodniej, czyli Zenek Martyniuk, nagrał przed wyborami filmik z Karolem Nawrockim. Jak mówi teoria muzyki, fałszowanie w duecie jest łatwiejsze do ukrycia niż fałsz solo.

●

Tuż przed wyborami TVP zmieniła ramówkę i pokazała serial „Furioza", przedstawiający świat kiboli i brutalnych ustawek. Jacek Kurski zapowiadał swój rychły powrót. Jego duch już wrócił.

●

„Reprezentują sobą wszystko, co jest przestarzałe w telewizji. Ten rodzaj sztywniactwa, sztampy i nudy". To Marcin Wolniak z plotek.pl o tzw. Cichopkach. Brawo. Witamy pierwszego dziennikarza na pokładzie.

●

Sławomir Kowalski po trzech miesiącach przestał być naczelnym serwisu plotkarskiego TV Republiki – blaskonline.pl. Nie dziwię się. Pisanie w kółko o Jarosławie Kaczyńskim musi być nużące.

●

Przemysław Czarnek wyszedł ze studia Trójki, gdyż oburzyły go pytania Renaty Grochal. Mówił za to o „Niagarze kłamstw i szamba". Znając Przemka, ta poezja będzie za rok na maturze.

Andrzej Chyra pokazał mapę gmin głosujących na Karola Nawrockiego i oznajmił: „Obrażanie ludzi wyższością moralną tak się kończy". Pełna zgoda. Niższość moralna jest zdecydowanie atrakcyjniejsza.

eprasa.pl 54c79bd13b

FELIETON

Sulej

Góra odczarowania

Mountainhead to górska posiadłość Soupera, jednego z bohaterów filmu Jessego Armstronga o tym samym tytule. I nawiązanie do „Fountainhead" (polski tytuł: „Źródło"), słynnej powieści filozofki libertarianizmu Ayn Rand z 1943 r., w której autorka ponad wszystko stawiała indywidualizm, wolny rynek oraz racjonalny egoizm jako jedyną sensowną etykę. Pewnego dnia na „chłopacki weekend" umawiają się w Mountainhead wieloletni kumple. Wszyscy są miliarderami, poza gospodarzem – milionerem, który bardzo chciałby zaimponować kolegom. Sensem życia tej paczki jest dopisywanie kolejnych zer do stanu posiadania, progres, władza, rywalizacja i poczucie fajności. Film ogląda się niemalże jak współczesną odpowiedź na „Źródło", ale – uwaga: spojler! – jest to satyra.

Nie mogłam się też wyzbyć skojarzeń z „Czarodziejską górą" Manna. Tu też mężczyźni spotykają się w kurorcie, żeby odsapnąć od świata, i toczą rozmowy filozoficzne oraz egzystencjalne. O ile jednak Mann nie problematyzował męskości, o tyle Armstrong czyni ją głównym tematem – i jest to męskość, której nie uratuje żadna „czarodziejska góra". Ci oligarchowie albo lepiej – jak mówią Amerykanie, zwracając uwagę na ich komitywę i chłopięcość – *broligarchs* (*brothers + oligarchs*) nie umieją okazywać uczuć, mierzyć się z miłością i śmiercią, z niepewnością i odpowiedzialnością za swoje czyny. Ich piaskownica jest rozmiaru świata, ale wciąż noszą krótkie spodenki. Jak śpiewa w swoim najnowszym singlu „Manchild" Sabrina Carpenter, „mężczyźni-dzieci" nie mają pojęcia, czym są mądrość i przywiązanie. Uciekają w wymyślone światy, które mogą kontrolować, i bawią się tylko ze sobą. Może i są inteligentni, ale też wybitnie głupi: popisują się przed sobą, zazdroszczą sobie nawzajem, śmiertelnie obawiają się wstydu i porażki, trwają w wiecznych grach o władzę.

> Patriarchalna męskość wciąż ma władzę. Ale miota się komicznie na szczytach świata w walce o boski status.

Oglądając „Mountainhead", trudno się uwolnić od skojarzeń z politycznym teatrem współczesności, gdzie grupa facetów się przepycha, brata, prowadzi podchody, a my, małe żuczki, usiłujemy coś z tego zrozumieć, choć najprawdopodobniej są to rzeczy błahe, wynikające z próżności i niedojrzałości.

Patriarchat uwielbia kobiecość i męskość w tej właśnie formie. Kobiety zdążyły już zauważyć, że muszą wyjść z roli dziecka, żeby się uwolnić z podległości. Mężczyznom trudniej spostrzec własną krzywdę, bo z pozoru są beneficjentami – przecież to oni decydują, co jest ważne i naturalne. A przynajmniej tak było do tej pory. Ostatnio ogłoszono kryzys męskości, co ja wolę nazywać kryzysem patriarchalnego zarządzania męskością.

Emancypacja kobiet zaczyna uświadamiać niektórym mężczyznom, że ich obecna męskość jest zbudowana na niedojrzałości i lęku. Wielu jednak, zamiast iść w stronę nowych na nią pomysłów, postanawia wyprzeć zachodzące zmiany. Przyjmują, że feministki chcą zająć ich uprzywilejowane miejsce, trzeba więc je szybko zagonić z powrotem do tradycyjnej kobiecości – tam, gdzie są niegroźne. A jeśli nie chcą wracać, to zmusić je albo zniszczyć. Radykalnie patriarchalna męskość nie obawia się jedynie radykalnie patriarchalnej żeńskości.

Jednak patriarchalna nierówność nie jest prawdą o naszej kulturze. To zaledwie fragment zróżnicowanych społecznych systemów stwarzanych przez ludzkość w dziejach – mamy wrażenie, że wygrała, bo przyszła z całą mocą razem z kolonizacją, kapitalizmem, globalizacją, westernizacją. Patriarchat zwyciężył przemocą w imię progresu, postępu. Ale czy na zawsze?

Tożsamości płciowych jest multum, a dokładniej – całe spektrum. Patriarchat nie lubi spektrum, bo w niebinarnej logice trudno ludzi dzielić i nastawiać przeciw sobie. Żeby odeprzeć atak, uruchamia kryzysowy PR: wojny, incele, *tradwives*, miliarderzy, kult władzy i pieniądza, manipulacje, nazywanie „poprawnością polityczną" wszystkiego, co stara się ochronić to, co bezbronne.

Żyjemy w czasach dojrzewającej żeńskości, chociaż jeszcze półtora wieku temu to, co teraz mogą osiągnąć kobiety, wydawało się niewyobrażalne. Zbliżamy się, razem z innymi tożsamościami ze spektrum, które umknęły z patriarchalnej narracji, żeby puścić w ruch epokę całkowitej zmiany paradygmatów. Patriarchalna męskość – biała, cis-hetero, uprzywilejowana – wciąż ma władzę. Ale miota się komicznie na szczytach świata w walce o wzajemne uznanie i boski status. My, kobiety, mężczyźni i wszyscy „pomiędzy", spragnieni dojrzałego, odpowiedzialnego świata, którzy chcemy być sobą wedle innych społecznych reguł, możemy żywić nadzieję, że zmiana w końcu się dokona. My nią jesteśmy. O ile – przed czym dobitnie przestrzega film „Mountainhead" – jeden chłopiec z drugim w ferworze ekscytacji i rywalizacji nie wysadzą nam świata w powietrze.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 54c79bd13b

Orliński

Rozmowa w Katedrze

Znaczną część życia spędzam, dyskutując z nieznajomymi o polityce w internecie. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że bywają bardziej destrukcyjne nałogi. No, ale zgadzam się, że to jakby alkoholik się pocieszał, że przynajmniej nie jest morfinistą. Wszyscy nałogowcy mają swój żargon, który wymusza na nas specyficzną dwujęzyczność. Inaczej rozmawiam z „ziomkami z meliny", którzy bez zbędnego tłumaczenia rozumieją skróty, takie jak „NRx" albo „l/acc", a inaczej ze zwykłymi ludźmi, których w internecie nazywamy „normikami" (*normies*).

Felietony z natury rzeczy pisze się dla normików, więc naprawdę nie zawracałbym państwu głowy naszymi pogaduszkami spod e-budki z cyberpiwem, gdybym nie miał ważnego powodu. Otóż wybraliśmy sobie właśnie prezydenta, który wprost się deklaruje jako polski odpowiednik Trumpa (*Polish MAGA*). Nie da się odpowiedzieć na pytania typu „czym się różni MAGA od tradycyjnego amerykańskiego republikanizmu" ani wyjaśnić „konfliktu Muska z Trumpem" bez określeń takich jak NRx właśnie. Dlatego, drogie normiki, możecie się nie interesować naszą cybermeliną, ale ona interesuje się wami. Właśnie nam wybrała prezydenta, za chwilę być może wybierze parlament.

Nowi reakcjoniści paradują w dresach z kapturem. A my, obrońcy tradycyjnej demokracji, lądujemy w Okopach Świętej Trójcy.

NRx to skrót od neoreakcjonizmu, nurtu kojarzonego głównie z Curtisem Yarvinem, filozofem samoukiem. Jego najważniejsze publikacje ukazywały się nie w szacownych periodykach, tylko na forach i blogach. Był obecny na inauguracji drugiej kadencji Trumpa w uznaniu jego zasługi dla ponownej wygranej.

Tradycyjna „reakcja" kojarzy nam się z wyfraczonym dżentelmenem z bokobrodami à la Zygmunt Krasiński czy Paul von Hindenburg. Nie mieli nowych propozycji, po prostu marzyli o cofnięciu historii. Zazwyczaj byli przy tym co najmniej hrabiami, jeśli nie wręcz udzielnymi książętami, więc mieli dość konkretny interes – obronę własnych feudalnych przywilejów. Neoreakcjonizm działa odwrotnie. Propaguje utopijną wizję ustroju, który należy zbudować na gruzach obecnego. W praktyce sprowadza się mniej więcej do tego samego, neoreakcjoniści za ideał uważają pruską monarchię oświeconą w stylu Fryderyka Wilhelma, czyli chcą cofnąć historię o 250 lat.

Teraz jednak to my, obrońcy tradycyjnej demokracji, lądujemy w Okopach Świętej Trójcy jak jakiś hrabia Henryk. Nowi reakcjoniści paradują już nie we frakach, lecz w szortach, sandałach i dresach z kapturem. Pozornie nie bronią przywilejów, bo każdy ma spreparowany życiorys o tym, jak to dorobił się wszystkiego ciężką pracą. Choć zwykle się okazuje, że jego ojciec miał kopalnię szmaragdów albo – jeszcze lepiej – był dyrektorem miejskiej spółki wodociągowej. Nie szkodzi! To my jesteśmy elitami, które oni chcą zniszczyć. Yarvin używał określenia „Katedra", obejmującego uniwersytety, media, lekarzy, nauczycieli, naukowców. W Polsce czasami mówi się o „Salonie".

Tradycyjny torysowski konserwatyzm, który wyłonił się z klęski XIX-wiecznego reakcjonizmu, żył w zgodzie ze światem akademii. Pogodził się też z republikańską zasadą przekazywania władzy – czasem rządzą ci, czasem tamci. Neoreakcjoniści chcą wywrócić stolik. Gdy tradycyjna prawica woła: „Przecież to wywoła chaos!", oni z radością kiwają głową, zażywając kolejną dawkę ketaminy.

NRx stał się światopoglądem cyberoligarchów Krzemowej Doliny. Wyznają go Elon Musk, Peter Thiel czy Marc Andreessen. To dlatego kontrolowane przez nich „algorytmy" promują prawicowe treści. Wielu influencerów, którzy kiedyś byli „normalni", teraz prześciga się w szczuciu na uchodźców, osoby trans i lekarzy trujących nas szczepionkami. Za gadanie głupot są nagradzani zwiększonymi zasięgami, a więc lepszymi zarobkami.

Zasadnicza różnica między drugą a pierwszą kadencją Trumpa polega na tym, że w pierwszej otaczał się tradycyjnymi prawicowcami, w drugiej zaś wygrał dzięki wsparciu NRx. Symbolizuje to choćby różnica wiceprezydentów: Mike Pence był republikaninem starej daty, J.D. Vance to zdeklarowany neoreakcjonista. Drugą kadencję Trump zaczął od niszczenia Katedry. Nawet jeśli ktoś go powstrzyma, pewne skutki będą nieodwracalne, np. amerykańskie uniwersytety nieprędko się podniosą od zadanych im ciosów.

Niektórzy kibicują temu z pozycji lewicowych. Skrót „l/acc", czyli „lewicowy akceleracjonizm", oznacza przekonanie, że wywrócenie stolika przyniesie triumf socjalizmu, bo stara prawica pobije się z nową. Co jest jeszcze głupsze od neoreakcjonizmu, bo to w historii przetestowano już wielokrotnie. Pod koniec Republiki Weimarskiej niemieccy komuniści myśleli, że Hitler szybko upadnie i wtedy wkroczą oni, cali na czerwono.

Jakieś kilkanaście lat temu jedno i drugie było tylko ciekawostką foro-blogową. Teraz niestety „l/acc" zaczął być widoczny na marginesie polskiej polityki. Niewiele tego, ale mogło to być owo 0,5 proc., które zadecydowało o drugiej turze. Tak jak w felietonie pisanym przed nią, teraz też nie mam pomysłu na optymistyczną puentę. Dziś nawet bardziej niż wtedy. Przykro mi!

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 54c79bd13b

Chutnik Plebanek

Nie wstyd się wstydzić

Wstyd odpala w umyśle i bez ostrzeżenia zagarnia ciało. Czerwienimy się ze wstydu, płoniemy, nie wiemy, gdzie oczy podziać. Świecimy oczami za siebie, za innych. Polszczyzna usłużnie podsuwa porównania i związki frazeologiczne, widać, że obznajomiona z tym stanem.

Wstydu się uczymy, kiedy dostrzegamy, że na świecie istnieją też inni. To oni dyktują normy, a potem służą za lustro. Ale nie takie jak w przymierzalniach sieciówek, gdzie wyglądamy osobliwie szczupło w spodniach za 99 zł. Lustro społeczne to lustro bezlitosne. Jesteś z nami albo przeciw nam. Publiczne wyśmianie to najskuteczniejsza forma odrzucenia. Po czymś takim samuraje popełniali seppuku. W naszym kręgu kulturowym znany jest kodeks honorowy z 1919 r. opracowany przez Władysława Boziewicza. Wiele w nim smaczków, a jednym z nich jest stwierdzenie, że „rozszerzanie i powtarzanie wiadomości mogących chociażby zadrasnąć miłość własną danej osoby jest również obrazą". Z tego powodu można się nawet pojedynkować. Toż to wstyd pyszczyć na drugiego.

W XXI w. wstyd odchodzi do lamusa. Zastępuje go turbonarcyzm i postawa „ja wam pokażę".

Wstyd zrytualizowany jest ludzkim wynalazkiem. W stadach innych zwierząt przywództwo opiera się zwykle na doświadczeniu i mądrości. W grupach dużych ssaków rządzą samice, tak jest wśród żubrów, słoni, lwów, hien i bonobo, a także w matriarchalnej społeczności morskich zwierząt, jak wieloryby, orki czy delfiny. Nasze jelenie też gromadzą się wokół samic, matek, babek. Matrony wiedzą, jak chronić i podtrzymać życie, a to jest nadrzędnym celem gatunku.

Wstyd nieustannie fluktuuje, jego postać zmienia się w zależności od epoki, klasy społecznej. Międlenie czapki w rękach było przed wojną oznaką wiejskiego pochodzenia, wówczas uznawanego za gorsze. Dziś wstyd nawet o tym pisać (jednak piszemy dla dobra sprawy). Nie tylko ubranie, ale i jego brak bywa powodem do wstydu. Słynny w psychoterapii jest sen, gdzie śniący staje nagi przed tłumem. Dlaczego to tak niepokoi? Odpowiedzi można szukać w baśni o nowych szatach króla. Ten ostatni uwierzył oszustowi podającemu się za najlepszego z krawców. Mistrz miał odziać władcę w szaty tak piękne, że mogliby je dostrzec tylko wybrani. Sam król ich nie widział, a mimo to wyszedł w nich do poddanych. Tłum zastygł w udawanym podziwie i tylko pewien chłopczyk krzyknął: „Król jest nagi!".

Nagi, czyli pozbawiony sztafażu funkcji. Nagi, czyli głupi, bo dał się nabrać oszustowi. Może tego się boją ci, których prześladuje sen o nagości – że okażą się miernotą, choć w portfelu wizytówka, a pod domem służbowy samochód? „Nagość, która bywała czymś oczywistym jeszcze w XVIII wieku, jako »naturalność« staje się w XX stuleciu znaczącą konwencją kulturową; zamiast uwalniać, zdaje się przykuwać do reguł kultury ustanowionych już nie tyle przez pojęcie wstydu, ile przez proces utowarowienia zestetyzowanych obrazów ciała. Nudysta być może prowadzi jakieś gry ze wstydem, ale zapewne bardziej szuka wyrazistych, choć przelotnych odmian tożsamości" – pisze prof. Roch Sulima w „Powidokach codzienności".

Tożsamość mebluje nam życie, bo nadaje status i wyznacza miejsce w ludzkim stadzie. Definiuje nas do tego stopnia, że nawet jeśli wyskoczymy z ubrań, wciąż nie jesteśmy wolni, a jedynie przeglądamy się w „lustrze własnej kultury", jak podsumowuje Sulima. Dodaje, że nagość bywa też figurą walki politycznej. Odsłonięte ciała, zamiast spocząć w grajdołach, wędrują bulwarami wielkich miast. Albo lądują na plakatach, jak ten Partii Kobiet z 2007 r., na którym członkinie prezentowały się bez ubrań w myśl hasła: „Nie mamy nic do ukrycia".

Ukrycie się i samobiczowanie znamy wszyscy aż za dobrze. Ale wstyd może równie dobrze leżakować latami, by odpalić z nagła potężnym fermentem, najczęściej w postaci agresji. Bierna czy całkiem otwarta, potrafi rządzić ludzkim życiem, każąc udowadniać sobie i innym, że jest się najlepszą. Upokorzenia z przeszłości i związany z nimi wstyd często prowadzą do perfekcjonizmu. Albo brutalnego pokazywania innym, „kto tu rządzi".

„Czego nie zabrania prawo, zabrania wstyd" – łudził się Seneka Starszy. Już nie w tych czasach. W XXI w. wstyd odchodzi do lamusa. Zastępuje go turbonarcyzm i postawa „ja wam pokażę". Musi to rezonować z dużą liczbą ludzi zawstydzonych i tym wstydem straumatyzowanych, którzy nie mieli możliwości się z nim uporać. Dowodem tego jest krajobraz polityczny ostatnich lat. Fraza „wstyd za mój kraj" powraca wśród emigrantów i podróżujących, ilekroć znowu ktoś palnie niestrawnego bon mota na Wiejskiej, aż wieść niesie się ponad granicami. Wstyd za kogoś to wyjątkowo trudne uczucie. Ale jest nadzieja. „Urodzić się głupcem to nie wstyd. Wstyd tylko głupcem umrzeć" – pisał Erich Maria Remarque w powieści „Trzej towarzysze".

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 54c79bd13b

Zadecydowały błędy w ordynacji

Trzaskowski przegrał wybory, bo podobno Nawrocki miał lepszy sztab, który stworzył produkt bardziej autentyczny, polski. Naszpikowany zagranicznymi nowinkami produkt zaproponowany przez sztab Trzaskowskiego okazał się dobry dla dużego miasta, ale mało praktyczny i za delikatny na wieś i Polskę powiatową.

Rozstrzygającym ciosem w Trzaskowskiego miało być uparte nagłaśnianie przez jego sztab afer i skandali związanych z Nawrockim, co zamiast tego ostatniego osłabić, ostatecznie przekonało do niego część wyborców. Nie wiadomo, czy wyborcy Nawrockiego uznali, że tych afer i skandali nie było, czy przeciwnie – że bardzo dobrze, że były, bo dzięki nim Nawrocki prezentował się korzystnie na tle nieciekawego Trzaskowskiego. Ten drugi, nie posiadając wyłudzonej od chorego staruszka kawalerki ani znajomości w gdańskim półświatku, mógł się pochwalić jedynie kompromitującą znajomością z Tuskiem oraz znajomością kilku języków obcych.

Oczywiście nie ma gwarancji, że niemówienie w kółko o skandalach Nawrockiego wystarczyłoby, żeby jego zwolennicy w niego zwątpili i na niego nie zagłosowali. Nie wiem, może sztab Trzaskowskiego w decydującym momencie kampanii powinien pójść na całość i zacząć Nawrockiego chwalić? Powiedzieć o nim coś kompromitująco miłego po to, żeby zdemobilizować jego elektorat?

Według mnie ten sztab mógłby także przemilczeć pewne kontrowersyjne fakty obciążające Trzaskowskiego. Niepotrzebnie ujawniono m.in. informacje o jego inteligenckim pochodzeniu, wykształceniu, kwalifikacjach, braku nałogów czy doskonałych kontaktach w UE. Czy naprawdę trzeba to było Trzaskowskiemu wyciągać w momencie, gdy dramatycznie walczył o pozyskanie zaufania jak największej liczby Polaków?

Mimo to uważam, że przegraną Trzaskowskiego spowodowały nie błędy jego sztabu, lecz błędy w ordynacji, która jest trochę zbyt demokratyczna, bo umożliwia w drugiej turze głosowanie osobom popierającym tego czy innego kandydata nie z powodu jego zalet, ale z powodu nienawiści do jego rywala.

Ponieważ taka praktyka wzmaga złe emocje i wypacza wyniki, jestem za tym, żeby ewentualna nowa ordynacja w celu wzbudzenia pozytywnych emocji nakazywała wyborcom składanie pisemnych oświadczeń, że kandydat, na którego zamierzają głosować, podoba im się i reprezentuje ich interesy, co wzmocni w tym kandydacie przekonanie, że podoba się on nie tylko sobie, i w konsekwencji doprowadzi do wzrostu jakości i atrakcyjności naszej demokracji.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

eprasa.pl 54c79bd13b

Literacko w Sopocie

SALON POLITYKI

Kolejny raz serdecznie zapraszamy Państwa do Sopotu na nasz Salon POLITYKI, który tym razem odbędzie się w ramach Pleneru Czytelniczego Hestii, czyli dorocznego przedwakacyjnego wydarzenia skupiającego miłośników literatury. Plener tradycyjnie odbywa się w Parku Hestii, przy ul. Bitwy pod Płowcami 66. Tam też **w sobotę 14 czerwca o godz. 12.30** zapraszamy na rozmowę naszej dziennikarki Joanny Cieśli „Wartościowa książka, czyli co?" z Michałem Rusinkiem, Marią Strzelecką oraz Wojciechem Bonowiczem.

Plener Czytelniczy startuje o godz. 10; wstęp i udział we wszystkich wydarzeniach są bezpłatne. Szczegółowy program znajdą Państwo na Facebooku: www.facebook.com/LiterackaPodrozHestii

© MATEUSZ NAPIERALSKI

Mural w pobliży Parku Szczęśliwickiego, autorstwa duetu DarMa, czyli Dariusza Paczkowskiego i Magdaleny Czyżykiewicz-Janusz

W sercu i pamięci

Niebawem (26 czerwca) będziemy obchodzić 99. rocznicę urodzin naszego nieodżałowanego przyjaciela **Mariana Turskiego**, świadka epok, dziennikarza, historyka, oświęcimiaka; człowieka o niezwykłej wrażliwości, życzliwości i cieple. Marian Turski zmarł 18 lutego 2025 r., żegnało go liczne grono przyjaciół i osób, dla których był po prostu autorytetem. Bo głos Mariana – w tym Jego słynne jedenaste przykazanie „Nie bądź obojętny" – był słyszalny na całym świecie.

Niezwykle wzruszyło nas zatem, kiedy dowiedzieliśmy się, że podobizny naszego przyjaciela zaczęły pojawiać się w przestrzeni publicznej: na murach, skrzynkach, drzwiach… W tym niedaleko siedziby naszej redakcji, w pobliżu parku Szczęśliwickiego na warszawskiej Ochocie. Za wszystkim stoi 3Fala – grupa zaangażowanych społecznie artystów street art i graffiti, której przewodzi Dariusz Paczkowski. Ich prace – w tym portrety Jerzego Waldorffa, Jerzego Ficowskiego, Mary Berg, Tadeusza Rolkego czy Jacka Kuronia – można podziwiać i w miejskiej przestrzeni, i na Facebooku: @3fala.art

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

22 lata temu, a konkretnie w 24. numerze z 2003 r., Alicja Brzezińska, Witold Ćwiek i Barbara Pietkiewicz w artykule „Kociołapy" opisywali problem ówczesnych związków partnerskich – wówczas chętniej nazywanych konkubinatem.

Raport konkubinat

Kociołapy

„Słowa konkubina, konkubent brzmią brzydko, pachną patologią. Lepsze już wydaje się: na kocią łapę, na kartę rowerową, choć w tych określeniach nie ma za grosz szacunku należnego u nas wyłącznie parom zamężnym.

(...)

W badaniach z 1988 r. 51 proc. Polaków stwierdziło, że nie zna żadnego nieformalnego związku, w 1993 r. takich osób było tylko 10 proc. Jak pokazują dane z mikrospisu z 1995 r., w Polsce żyje 310 545 osób w związkach nieformalnych. To ostatnie oficjalne dane i taką liczbę podaje prof. Krystyna Slany, autorka książki »Alternatywne formy życia małżeńsko-rodzinnego w ponowoczesnym świecie«, choć zastrzega, że jest ona bardzo przybliżona. Dotychczas nie ujmowano w spisach informacji o prawnym, ale także o faktycznym statusie cywilnym obywateli.

(...)

Przez ostatnie dziesięć lat polski Kodeks rodzinny i opiekuńczy dostosowywano do zobowiązań międzynarodowych i problemów wyznaniowych. Ale nie znajdujemy w nim wciąż ani słowa o konkubinatach. Co gorsza, brak w nim nawet definicji rodziny, podobnie zresztą jak w konstytucji. Już sam ten fakt stał się powodem do odmowy wolnym związkom prawa do tytułowania się rodziną, nawet gdy wychowują wspólne dzieci. Wprawdzie inne przepisy, w tym ustawa o pomocy społecznej, zezwalają na korzystanie z niektórych świadczeń, to jednak trochę za mało.

Gdy SLD objawił zamiar ustawowej regulacji problematyki konkubinatu i związków homoseksualnych, wywołał burzę – pojawiły się katastroficzne wizje moralnie upadłej Polski.

(...)

Większość Polaków, choć akceptuje prawo mężczyzny i kobiety do zalegalizowania konkubinatu, odmawia im jednak prawa do adoptowania dzieci. Za taką adopcją opowiada się jedna trzecia respondentów. (Badania CBOS z marca 2002 r.). Niemal tyle samo raczej zgadza się, żeby taka adopcja była możliwa. Podobna grupa jest przeciwna. (...) Trzy czwarte respondentów (76 proc.) w tym samym badaniu uważa, że pary homoseksualne nie powinny mieć prawa do legalizacji swojego związku, w tym dwie trzecie to osoby w tej sprawie bardzo zdecydowane. Tylko co siódma byłaby skłonna uznać, że również konkubinaty homoseksualne powinny mieć prawo do legalizacji".

eprasa.pl 54c79bd13b

TREND

Masz złe przeczucie? Wystarczy jedno pociągnięcie – w ten sposób promuje się dziś akcesoria do samoobrony dla kobiet.

W obronie własnej

Brutalna napaść i zabójstwo Lizy, 25-letniej Białorusinki zimą 2024 r., a potem seria ataków na kobiety w centrum Warszawy podziałały na zbiorową wyobraźnię. Tym bardziej że towarzyszyła im obojętność innych ludzi. Kilka osób przeszło obok, podobno ktoś coś krzyknął, ostatecznie nikt nie zareagował.

Dane mówią, że 84 proc. Polek doświadczyło molestowania w przestrzeni publicznej (raport Fundacji na rzecz Równości i Emancypacji STER). Choć działaczki na rzecz praw kobiet wskazują na potrzebę większej edukacji mężczyzn w radzeniu sobie z agresją i emocjami, to na rosnącą potrzebę bezpieczeństwa odpowiedział – a jakże – rynek, oferując akcesoria i gadżety, które mają pomóc się obronić przed napaścią. Pewnym klasykiem są już zestawy złożone z gwizdka, młotka bezpieczeństwa, latarki, maski CPR do sztucznego oddychania – i dodatkowo z etui na pomadkę ochronną. Reklamowane są jako jednocześnie „stylowe", „eleganckie i praktyczne". Dostępne w wielu kolorach, można je podpiąć do kluczy, torebki czy plecaka.

Agata Szczerbiak – dziennikarka i redaktorka POLITYKI, pisze głównie o zdrowiu reprodukcyjnym, programach społecznych i demografii.

Na rynku od lat 80., głównie w USA, dostępne są też tzw. alarmy bezpieczeństwa. Podobny produkt, pod nazwą **Hearo**. Podręczny Alarm Osobisty, wprowadzili w tym roku na polski rynek Karol Żurawski i Adrian Battig. – *Zrobiliśmy research. Okazało się, że sporo znajomych w naszym otoczeniu ma ten sam problem, czyli nawet jeśli nosi coś ze sobą do obrony, to nie wie, jak tego użyć. Postanowiliśmy wprowadzić coś, co jest proste w obsłudze* – mówi Żurawski.

Ten mały gadżet, przypominający zawieszkę albo klucz hotelowy, po wyciągnięciu zawleczki emituje dźwięk o natężeniu 135 dB – tak głośny jak syrena strażacka lub młot pneumatyczny z bliska – oraz światło stroboskopowe o sile 200 lumenów. Producenci podpowiadają, żeby nie zostawiać go na dnie torebki, tylko trzymać przy niej, traktować jak zawieszkę, by w każdej chwili był pod ręką. Alarm ma przede wszystkim zdezorientować napastnika. Wywołać u niego szok. – *To narzędzie, które może pomóc obronić się bez wchodzenia w konfrontację fizyczną. Nazywam to „pierwszą linią obrony"* – przekonuje Karol Żurawski. I dodaje: – *Produkt się przyjął, ale są też negatywne komentarze. Część osób uważa, że na pewno nie pomoże, że to za mało, że nikogo nie odstraszy, nie zwróci niczyjej uwagi, bo taka w Polsce panuje znieczulica.*

Z legalnych i dostępnych akcesoriów obronnych wciąż popularne są także: długopis taktyczny albo kubotan (krótkie narzędzie do samoobrony w postaci pałeczki), paralizator o natężeniu do 10 mA (często występuje w wersji zapakowanej, wygląda jak miniaturka perfum lub pomadka) czy pałka teleskopowa. – *Tej ostatniej ani gazu pieprzowego nie polecam. Trzeba bowiem dobrze nauczyć się ich obsługi, w innym wypadku mogą zostać użyte przeciwko nam. Czynnik wspólny przy wszystkich narzędziach do samoobrony to 100-procentowa pewność, że chcemy ich użyć* – podkreśla Jakub Rausch, instruktor Krav Magi i samoobrony. Najtrudniejszym bowiem elementem skutecznej samoobrony jest przełamanie się przed zrobieniem krzywdy drugiemu człowiekowi. – *Nie da się skutecznie obronić przed atakiem fizycznym, nie zadając bólu drugiej osobie* – zauważa.

Złota zasada pozostaje taka sama – to ucieczka. Krzyk jest dobrym narzędziem obrony, ale trudno go z siebie wydobyć w sytuacji silnego stresu. – *Przede wszystkim jednak, i tego nie zastąpi żadne narzędzie, chodzi o to, żeby atakowane osoby chciały się bronić i miały w sobie wolę walki* – podkreśla instruktor. A to, jak reaguje w stresie nasza głowa, da się przećwiczyć na kursach samoobrony. – *Wszystkim, którzy uważają, że to nie ma sensu, bo mężczyźni są silniejsi fizycznie, powiem jedno: samoobrona to nie walka sportowa. Wszyscy mamy te same wrażliwe miejsca: oczy, krtań, genitalia. Celowanie w nie może dać nam przewagę i uratować z opresji.* ■

© MATERIAŁY PRASOWE, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54c79bd13b

WIRAL

Cisza powyborcza

Nazajutrz po wyborach skończył się w sieci etap analizowania kampanii, a zaczął etap analizowania przyczyn porażki. Obrodziło ekspertami. Michał R. Wiśniewski w jednym z felietonów zwrócił słusznie uwagę, że przydałaby się w Polsce „cisza powyborcza", chociaż wirtualny zgiełk też ma swoje zalety, bo oddaje emocję chwili i dokumentuje „mądrość etapu". Co zapamiętamy? Na pewno „pojedynek na żyletki", sformułowanie, które utrwali się w polszczyźnie jako najkrótszy opis drugiej tury wyborów AD 2025. Będzie znakiem czasu również fraza „o tym były te wybory", przywoływana pod koniec wyścigu już głównie ironicznie. W związku z nadmiarem rekordowo długich debat dużo mówiło się też o tym, który kandydat „ustał" (czyli przetrwał), kto dowiózł, zaorał, kto kogo znokautował. Pozostanie też wreszcie ślad czerwonych korali **Joanny Senyszyn** i jej licznych naśladowczyń. No i snus Karola Nawrockiego (jak to ujął Szymon Hołownia: „Lepszy trzask niż strzał w dziąsło").

„Używki i ustawki" to może nie najlepsze hasło wyborcze, ale dobry skrót kilku afer.

A hasztagi? Na ostatniej prostej starły się opcje #TylkoNawrocki i #TylkoNieTrzaskowski z #TylkoNieNawrocki i #Trza. To ten twardszy elektorat. Osieroceni po pierwszej turze wyborcy lewicy nie byli tacy przekonani. Ale dopingowali się i zmuszali. Jak pamiętamy, w 2023 r. Beata Szydło nawoływała: „Zamknij oczy, zaciśnij zęby i zagłosuj na PiS". Demokraci, którym nie po drodze z Rafałem Trzaskowskim, namawiali do głosowania, posługując się hasztagiem #możnazmiską. W domyśle: w razie mdłości.

Prócz wesołych akcentów jest też, a może przede wszystkim, niewesoła obserwacja: jakaś część wyborców ma teraz satysfakcję, że inna część przegrała i zwyczajnie się smuci. „Libki jęczą, aż miło poczytać" – widać tu i ówdzie. Antropolożka i publicystka Olga Drenda napisała na Facebooku: „Nawet realnie śmieszne, bo świadczące o dystansie memy skończyły się jakoś po pierwszej turze, a wraz z nimi potencjał do »komentowania rzeczywistości«. Potem zaczął się już tylko zły śmiech, triumfatorski lub szyderczy". Zaczął się i nie ustał.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Dokąd ciśniemy

W popularnej ostatnio „Casablance" Sentino rapuje: „Bądź lepiej *nice*, co tak ciśniesz, ty chamie?". *Nice* to z angielskiego „miły". Ale „ciskać" lub „cisnąć" to czasowniki tak wieloznaczne, że przydałby się krótki przewodnik. Te najprostsze znaczenia związane są z rzucaniem przedmiotami (ciskaniem). Kolejne mówią o gnębieniu, zrzucaniu na kogoś ciężkich obowiązków (o „ciśnięciu podatkami" pisał już Adam Naruszewicz) lub wywieraniu presji. Jak w opublikowanym w POLITYCE tekście Ziemowita Szczerka o wojnie w Ukrainie: „W zachowaniu mocnej pozycji pomogła Zełenskiemu też Polska, która zdecydowała się nie cisnąć zbytnio na kijowskie władze w związku z tragicznym incydentem w Przewodowie". W kontekstach sportowych „ciśnięcie" oznacza po prostu walkę. „Paryż 1:0. Szybko poszło, ale oblężenie bramki Interu było skuteczne. Teraz zobaczymy, czy będzie autobus czy będą też cisnąć dalej" – to komentarz z platformy X podczas meczu drużyny Paris Saint-Germain. „Autobus" to w kontekście piłki nożnej defensywny styl gry (przypominający parkowanie autobusu przed własnym polem karnym). A ponieważ to dość świeży mecz, dodajmy, że cisnęli dalej, aż pognębili rywali w stosunku 5:0.

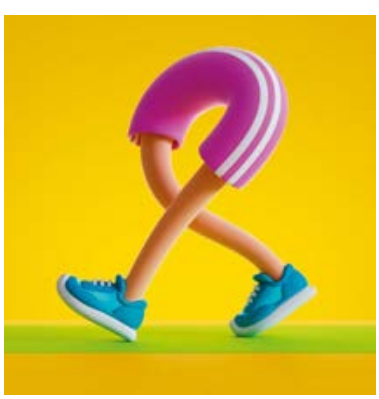

Wraz z dodaniem „po" do „cisnąć" wychodzimy już wyraźnie poza utarty słownik. „Pocisnąć komuś" to wyjechać, wygarnąć, obrazić. „Codziennie pocisną mi, by potem pionę tu zbić" – to Peja. „Nawrocki pocisnął Hołownię" – to już z komentarzy po ostatniej kampanii. „Ciśnij, ziom, mamy szare" – to z kolei z mema z samochodem prowadzonym przez psy, które nie widzą zielonego i czerwonego. A ciśnięcie jako przemieszczanie się – niekoniecznie samochodem, bo można cisnąć i pieszo – to bodaj najpowszechniejsze dziś slangowe znaczenie tego słowa. Kiedyś skupiano się na tym, że to buty cisną („Trzewiki lepiej zawsze przymierzyć, ażeby nie cisnęły" – pisała Maria Dąbrowska), teraz mówimy „cisnąć z buta". W tę stronę ciśnie polszczyzna.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Żyję pięć lat z rapu, nawet się nie staram,
Jesteś lame. Jak bierzesz, to za dokonania.
Koza, NCGDS, 2025 r.
lame – ktoś słaby, nudny, lamus

eprasa.pl 54c79bd13b

„Gdyby nas rozprasować, bylibyśmy więksi niż Rosja” – powiedział mi kiedyś z kamienną twarzą dumny Czarnogórzec.

Piętnastominutowy (k)raj

Kilka lat temu głośno zrobiło się o koncepcji 15-minutowych miast. W takim mieście podstawowe potrzeby da się zaspokoić w kwadrans spaceru lub przejażdżki na rowerze. Pomysł szczytny, ale dlaczego nie pójść o krok dalej? A może wakacje w 15-minutowym państwie?

Oczywiście jest w tym pewna przesada: to długość – niestety – jazdy samochodem, co więcej, wyłącznie poza szczytem sezonu. Nie zmienia to faktu, że Czarnogóra oferuje niezwykłe bogactwo krajobrazów i doznań na niewielkiej przestrzeni. Mniej więcej kwadrans wystarczy, by ze stolicy dotrzeć nad malownicze Jezioro Szkoderskie, a stamtąd już tylko kilkanaście minut dzieli nas od wód Adriatyku. Czarnogóra, nomen omen, ma wiele do zaoferowania także miłośnikom gór. „Gdyby nas rozprasować, bylibyśmy więksi niż Rosja” – powiedział mi kiedyś z kamienną twarzą dumny Czarnogórzec.

Z Polski łatwo tam dolecieć, ale dla spragnionych przygód jest ciekawsza opcja: zbudowana za czasów Jugosławii linia kolejowa Belgrad–Bar gwarantuje zapierające dech w piersiach widoki. Jako miłośniczka socmodernizmu zamiast plaż w Barze oglądam dom towarowy z lat 80. przypominający trzy meksykańskie kapelusze, które rozsiadły się na centralnym placu miasta (przy okazji warto zgłębić nurt muzyczny yu-mex, mariaż lokalnych melodii z rytmami i estetyką prosto z Meksyku). Zwolennikom tradycyjnych atrakcji z pewnością spodobają się położone nieopodal ruiny starego Baru. Po drodze warto dać się namówić lokalnym sklepikarzom na szklankę świeżego soku z granatu.

Ten drugi najmłodszy kraj w Europie, formalnie niepodległy od 2006 r., szczyci się bogatą tradycją. Czarnogórcy uważają się za naród honorowy: za bitnych górali, którzy nigdy nie zostali pokonani przez Turków Osmańskich. Jeszcze niedawno funkcjonowało tu prawo klanowe – dziś jego przejawy widać przede wszystkim w silnych więzach rodzinnych i przyjacielskich. Jugosłowiański stereotyp głosił z kolei, że Czarnogórcy są wyjątkowo leniwi, stąd wiele niewybrednych żartów, choćby ten o rekordzie Czarnogóry w biegu na sto metrów, który wynosi... 67 m.

Aleksandra Wojtaszek
– bałkanistka, dziennikarka, tłumaczka, doktor literaturoznawstwa. Autorka monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa” oraz zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację” (Czarne 2023).

Kraj zamieszkuje zaledwie 600 tys. osób, a mimo to także krajobraz etniczny jest tu niezwykle złożony. Sami Czarnogórcy nie stanowią nawet połowy mieszkańców. Po piętach depczą im Serbowie, ale relacje między tymi dwoma narodami bywają napięte: dla jednych to bracia, dla innych zupełnie odrębne tożsamości. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, uczestniczyłam w kłótniach rodzinnych, w których jeden z braci deklarował się jako Serb, a drugi jako Czarnogórzec.

Na czarnogórskim wybrzeżu najwięcej uwagi przyciąga malowniczy Kotor i frenetyczna imprezowa Budva, ale moim faworytem pozostaje zamieszkany głównie przez Albańczyków **Ulcinj**. Tutejsza twierdza była niegdyś gniazdem siejących postrach piratów. Według legendy jedną z ofiar korsarzy był sam Cervantes – to właśnie pobyt w tutejszych kazamatach oraz relacja z miejscową kobietą miały zainspirować go do napisania „Don Kichota”. W żydowskiej historii Ulcinj zapisał się jako miejsce śmierci i pochówku Sabataja Cwiego – twórcy jednego z najbardziej kontrowersyjnych nurtów mesjanistycznych w judaizmie. Miasto do dziś szczyci się wielokulturowością i otwartością – w 1999 r., gdy Czarnogóra otworzyła swoje granice dla uchodźców z Kosowa, w Ulcinju na jednego mieszkańca przypadało pięciu uciekinierów.

Czarnogóra to jednak nie tylko morze: kilkanaście kilometrów od wybrzeża przycupnęła Cetynia, historyczna stolica kraju. To niewielkie, ale klimatyczne miasteczko szczyci się imponującą liczbą muzeów i starych ambasad. Stąd zaś niedaleko na szczyt Lovćen, skąd rozpościera się niezwykły widok na „morze gór”. Na samym szczycie mieści się mauzoleum władyki i pisarza Petra Njegoša, jednej z najważniejszych postaci w czarnogórskim panteonie. A przecież są jeszcze Kolašin, Durmitor, Perast... Mogłabym tak długo, ale lepiej przekonać się samemu. W końcu to tylko 15 minut. ■

eprasa.pl 54c79bd13b

Historia, jakich wiele – w wieku 40 lat rzucił wszystko i pojechał robić wino. Na greckiej wyspie.

Sok z kamienia

Jérôme Binda urodził się we Francji – bynajmniej nie w rodzinie winiarskiej. Po mamie przejął zainteresowania artystyczne, ukończył akademię sztuk pięknych, zajmował się grafiką i wzornictwem. Do Grecji pojechał tak ot, na wakacje – i wpadł jak śliwka w kompot. Zahipnotyzowały go światło, energia wiatru, ciemna toń Morza Egejskiego, którą Homer porównywał przecież do wina, nietknięta ręką człowieka natura. W końcu z żoną i malutkim dzieckiem postanowili osiąść na jednej z tutejszych wysp – Tinos. Odwiedziłem ją tej wiosny i już się Bindzie nie dziwię.

Każda grecka wyspa ma swoją osobną fizjonomię. Santorini wybucha ze wszystkich krańców jak gwiazda, Karpathos wyrasta z morza jak płetwa rekina, Naksos zdaje się śpiącym w wodzie żółwiem. Leżące w północnej grupie Cyklad Tinos jawi się jako wielki ciemny głaz, który pod kątem osunął się w granatową toń. Przez stulecia wyspa miała charakter głównie rolniczy – uprawia się tu groch, pomidory i słynne na całą Grecję karczochy. Nie ma lotniska ani wielkich hoteli, więc nie rozwinęła się w tych stronach masowa turystyka, która zdominowała choćby oddalone o pół godziny promem Mykonos. Nie ma też szczególnie malowniczych plaż, dlatego przybywają tu raczej majętniejsi wczasowicze, doceniający jedne z najlepszych w Grecji restauracji. Poza tym Tinos znana jest z klasztorów, urokliwych, typowo cykladzkich wiosek z bielonymi domami oraz charakterystycznych zdobnych gołębników.

Dopóki się patrzy na Tinos z perspektywy restauracyjnego tarasu nad wodą, wyspa wydaje się wręcz idylliczną oazą dla sybarytów. Kilometr od morza natura uderza jednak swoją surowością. Na suchym płaskowyżu Falatados 500 m n.p.m. karłowatą roślinność smaga przez większość roku porywisty północny wiatr meltemi. W kwietniu miał siłę 9 st. w skali Beauforta, a najbardziej na sile przybiera w miesiącach letnich.

Kluczowym epizodem greckiej kosmogonii była tytanomachia – walka starych bogów z nowymi, zakończona triumfem młodego pokolenia bogów olimpijskich. Wedle niektórych wersji polem zmagań była właśnie wyspa Tinos, czego pamiątką mają być niezwykłe granitowe głazy narzutowe rozsiane po Falatados. Jérôme Binda od razu poczuł niezwykłą aurę tego miejsca. Zaczął od wyszukiwania małych winnych ogródków, przyczajonych na kamiennych tarasach budowanych w dawnych wiekach tak dla zagospodarowania trudnego terenu, jak i dla ochrony przed szaleńczym wiatrem. Niektóre winorośle mają ponad sto lat. W tych winniczkach Binda odnalazł tradycyjne cykladzkie odmiany winorośli, jak aspro potamisi, rozakí, koumarianó, koundoura. I zaczął z nich robić antycznymi metodami, wyciskając winogrona nogami i butelkując zupełnie bez siarki, jedne z najbardziej niezwykłych win całej Grecji. Pachnące śródziemnomorskim sadem pełnym słodkich brzoskwiń, moreli, pigw i opuncji, ale i pieczonym jabłkiem, skórką chleba, rumiankiem, piwonią, dalią i jeszcze rosołem; pełne smaków słonych, słodkich, gorzkich. A do tego tak mineralnych, że są zupełnie jak sok wyciśnięty z kamienia...

Tinos okazała się dla winorośli nową ziemią obiecaną, która już rzuca wyzwanie o wiele sławniejszej Santorini. Od kilku lat działa tu kultowa winiarnia **T-Oinos**, której czerwone Mavrotragano Rare jest dziś najdroższym winem w Grecji (210 euro), a białe Assyrtiko Clos Stegasta z pewnością jednym z najwspanialszych. Świetne wyniki osiągają już sąsiedzi Bindy – ateńskie małżeństwo Irina i Michalis z posiadłości Volacus, kilkakrotnie nagrodzone w prestiżowym konkursie Great Greek Wines. Kolejny świetny producent to Vaptistis, a w zeszłym roku otwarto nową winiarnię – Messarea. Wyspa Tinos stała się dla winomanów godna specjalnej wycieczki. ■

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Domaine de Kalathas O Zontanos 2022, 287 zł (naturalrascal.com)
Domaine de Kalathas To Kokkinaki 2022, 287 zł (naturalrascal.com)
Domaine de Kalathas Un Été Grec 2022, ok. 55 euro (internety zagraniczne)
Volacus Malagousia 2024, ok. 23 euro (internety zagraniczne)
T-Oinos Clos Stegasta Assyrtiko 2022, ok. 90 euro (internety zagraniczne)

© ARCHIWUM PRYWATNE, ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK, GEORGE VDOKAKIS, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 54c79bd13b

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Cień Macierewicza

Dawno, dawno temu, na początku poprzedniej dekady, Polska chciała mieć wielki narodowy program śmigłowcowy. Chodziło o znalezienie uniwersalnej maszyny, która służyłaby armii, policji itd. **Jak pisze na polityka.pl Marek Świerczyński, plan znowu się wysypał: MON już nie stawia na Black Hawki z Mielca. Podniósł się rwetes, że „rząd Tuska zrywa zamówienia". I to z Amerykanami! Rzecz w tym, że sprawcą totalnego zamieszania był Antoni Macierewicz**, który nie chciał Caracali z Francji. Wtedy ruszyła lawina, skutki odczuwamy do dziś.

Religia na świadectwie?

Koniec roku szkolnego tuż-tuż, a dyrektorzy nadal nie wiedzą, czy ocena z religii (lub etyki) powinna liczyć się do średniej. Według rozporządzenia MEN – nie powinna. Ale trybunał Julii Przyłębskiej uznał je w maju za niezgodne z konstytucją. Wiceministra edukacji Katarzyna Lubnauer radzi zignorować to orzeczenie. Łatwo powiedzieć (napisać na X), **tymczasem szóstka z religii to szansa na świadectwo z wyróżnieniem, a młodzież sporu MEN z TK nie pojmuje. „Dzieci patrzą i się za was wstydzą!", pisze Dariusz Chętkowski.**

Francja walczy z porno

We Francji właśnie weszła w życie tzw. ustawa SREN, która pozwala blokować łamiące prawo strony internetowe bez decyzji sądu. Grupa Aylo, operator najpopularniejszych serwisów z pornografią, w ramach protestu wyświetla użytkownikom komunikat, że rząd wkracza w ich prywatność. To woda na młyn zwłaszcza dla prawicy, która na całym Zachodzie walczy dziś o wolność i z cenzurą. **Czy porno doprowadzi do wojny, a może i nowej obyczajowej francuskiej rewolucji, pisze Agata Czarnacka.**

Troskliwa narratorka

W podkaście „Polityka o książkach" Justyna Sobolewska rozmawia z Joanną Bator o jej nowej książce (zbiorze wykładów) i o powieści, która właśnie powstaje. Co robić, kiedy rzeczywistość nam dopieka? Lepsze bieganie czy ćwiczenia na „wioślarzu"? Czy taniec pomaga w pisaniu? I co pisarka robi, kiedy nie pisze? Kim jest troskliwa narratorka? A co Joanna Bator sądzi o sztucznej inteligencji? Uwaga: tematy poważne, ale śmiechu dużo. Rozmowa do słuchania i oglądania na polityka.pl, YouTube i Spotify.

Jak zarządzać pieniędzmi?

Z polskiej szkoły się tego nie dowiemy, a w dorosłości zwykle za to płacimy (dosłownie). Na szczęście można tę umiejętność opanować. Jak się do tego dobrze zabrać, radzi **w naszym podkaście „Jak się (na)uczyć" Karolina Nowicka, znana w mediach społecznościowych jako Pani od oszczędzania. Oglądamy rachunki i wyciągamy wnioski.** Trochę pracy trzeba wykonać, ale z czasem się opłaci (dosłownie).

© ADAM CHELSTOWSKI/FORUM, SHUTTERSTOCK (2), LESZEK ZYCH (2)

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 54c79bd13b

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Dr Irena Eris

HOTEL SPA
POLANICA ZDRÓJ

Ponadczasowa elegancja w modnym kurorcie

Zanurz się w szykownych wnętrzach luksusowego Hotelu SPA Dr Irena Eris Polanica Zdrój urządzonych z dbałością w stylu art déco.

Hotel proponuje szereg aktywności: zajęcia fitness, nordic walking, grę w tenisa czy squasha, lecz i sama okolica obfituje w niezliczone atrakcje turystyczne warte zobaczenia.
Największym atutem hotelu jest wyjątkowo bogata oferta SPA, dzięki której z łatwością się zrelaksujesz, a najwyższej jakości zabiegi pielęgnacyjne na twarz i ciało oraz masaże zaproponowane przez Kosmetyczny Instytut Dr Irena Eris uwolnią od stresu, zregenerują i dodadzą skórze blasku.
Z kolei wykwintna kolacja w Restauracji Art Déco lub bardziej kameralna, przy świecach i z menu degustacyjnym, w Restauracji Dekompresja to propozycja na romantyczny weekend, nie tylko we dwoje.

DrIrenaErisSPA.com

Albatros travel

NOWOŚĆ

Wielka podróż przez Chiny i Hongkong

Fantastyczna podróż szybkimi kolejami przez największe atrakcje Państwa Środka od Pekinu i Szanghaju po Hongkong i Makau.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Pekinu. Zwiedzanie Świątyni Nieba i kolacja powitalna. **Dz. 3** Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto i Wzgórze Węglowe. **Dz. 4** Pekin. Sklep z perłami, Wielki Mur Chiński, Pałac Letni i kaczka po pekińsku. **Dz. 5** Pekin – Szanghaj. Szybki pociąg do Szanghaju i rejs po rzece Huangpu. **Dz. 6** Szanghaj. Budynek Jin Mao, bazar Yuyuan i ulica Bund. **Dz. 7** Szanghaj – Zhujiajiao. Wycieczka po mieście kanałów i wieczorny pokaz akrobatyczny. **Dz. 8** Szanghaj – Guilin. Lot do Guilin, system jaskiń Pałacu Natury i wizyta w tradycyjnej herbaciarni. **Dz. 9** Guilin – Longji – Guilin. Tarasy ryżowe w Longji i wizyta u lokalnej rodziny. **Dz. 10** Guilin – Yangshuo. Rejs po rzece, wycieczka rowerowa i zwiedzanie wsi, a także możliwość obejrzenia plenerowego pokazu świetlno-teatralnego. **Dz. 11** Yangshuo – Guilin – Hongkong. Szybki pociąg do Hongkongu i czas na relaks. **Dz. 12** Hongkong. Zwiedzanie miasta z rejsem po zatoce Victoria Harbour, Mount Victoria, świątynia Man Mo i lokalny targ. **Dz. 13** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Makau. Kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 10/04, 09/10 2026 | od 15.998,-

NOWOŚĆ

Tajwan – wyspa skarbów

Fascynująca podróż do kraju, w którym tysiącletnie tradycje i religijne rytuały harmonijnie współistnieją z pulsującym rytmem nowoczesnych metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tajpej. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 3** Tajpej. Zwiedzanie miasta: Muzeum Narodowe, Hala Pamięci Czang Kajszeka i wieżowiec Taipei 101. **Dz. 4** Tajpej – Taichung. Szybka kolej, rezydencja Wufenglin i nocny targ Feng Chia.
Dz. 5 Taichung – Jezioro Słońca i Księżyca. Świątynia Wenwu i rejs po jeziorze Sun Moon. **Dz. 6** Jezioro Słońca i Księżyca – Kaohsiung. Spotkanie z lokalnymi społecznościami i tradycyjny styl życia. **Dz. 7** Kaohsiung – Tainan – Kaohsiung. Największy posąg Buddy na Tajwanie oraz wycieczka po Tainanie: ulica Anping i starożytny fort. **Dz. 8** Kaohsiung – Taitung. Wizyta w dzielnicy artystycznej Pier-2 i na farmie kakao. **Dz. 9** Taitung – Hualien. Wycieczka rowerowa przez pola ryżowe i wizyta w muzeum Bento. **Dz. 10** Hualien – Yilan – Tajpej. Punkt widokowy Qingshui, lokalny obiad i plantacje herbaty. **Dz. 11** Tajpej. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Pingxi. **Dz. 12** Wylot z Tajpej do Warszawy. **Dz. 13** Powrót do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 29/03, 01/11 2026 | 15.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL22**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 54c79bd13b